WYŚNIONA.

WYŚNIONA.

FANTAZYA PROZĄ — NIBY POWIEŚĆ

przez

Teod. Tom. Jeża.

WARSZAWA.
Nakładem MICHAŁA GLÜCKSBERGA Księgarza,
ulica Nowy-Świat Nr. 55 nowy.

1877.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Октября 1877 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska Nr. 20.

Potrzebuję się przedewszystkiem wytłómaczyć z tytułu: „Wyśniona“ Gotów kto pomyśleć, że opowiadać zamyślam własny lub czyjś sen. Bynajmniej. Takim nie jest mój zamiar. Zamyślam, nietyle opowiadać, ile opisywać, i nietyle opisywać, ile przedstawiać, wziąwszy sobie za przedmiot istotę, przeczuwaną oddawiendawna. Do przeczuwania-to owego odnosi się wyśnienie, zaklęte w tytule. Śnić można na jawie tak dobrze jak w stanie cierpienia; śnić można sposobem zbiorowym, tak samo jak pojedynczo. Nie zawsze też śni się o rzeczach niemożliwych. Pra-pra-pra-dziadkom i pra-pra-pra-babkom naszym piastunki opowiadały naprzykład o takich butach, w których, co zrobisz krok—to mila. Śniło się im na jawie i wyśniły się: koleje żelazne. Nie sąż-to buty owe? Zdobycze, jakie postęp zrealizował, wszystkie prawie tkwiły oddawiendawna w aspiracyach ludzkości, w postaci rojeń sennych. A kryształowe pałace!.... A zaklęte królewny!....

Zaklęta królewna stanowi przedmiot rojeń, jeden z najulubieńszych i z najpowszechniejszych. Od czasów najdawniejszych przewija się ona ustawicznie w snach — senna istota, upragniona, wyglądana i przeczuwana — świecąc nakształt gwiazdy przewodniej, nad czołem ducha ludzkości połyskującej.

Zaklęta owa królewna jestto—jak mi się widzi—ideał niewiasty, który ludzkość z duszy całej oglądaćby pragnęła.

Ideał niewiasty!

A!.... rzecz ważna ogromnie.

Historya niewiasty oczekuje na historyków i, jak się zdaje, nie rychło się ich doczeka. Można ją jeno w grubych wykazać zarysach. Na początku kondycya kobiety nie różniła się od kondycyi mężczyzny w niczem innem, tylko w tem, co z natury rzeczy wynikało. Tradycye, odnoszące się do chwil zarania organizacyi społecznej, przedstawiają kobietę, nie jako niewolnicę, lecz jako towarzyszkę mężczyzny: ta, którą chrystyanizm przyjął, wyraźnie to powiada. Bóg stworzył Adama i dał mu Ewę za towarzyszkę i postawił ich w warunkach równości zupełnej, jeżeli zaś zaznaczył przewagę moralną, to tą obdarzył kobietę. Ojciec rodzaju człowieczego używa raju, i aniby mu do głowy przyszło skosztować owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego, gdyby nie Ewa. Ewa odważa się

na to—kosztuje sama i towarzyszowi do kosztowania daje. Wpływ przewagi moralnej pierwszej kobiety naraża pierwszą parę na grzech— to prawda; lecz wykazuje się całkowicie i nie pociąga za sobą, ze strony Pana Boga, kary, odmiennej dla niewiasty, aniżeli dla męża. Stwórca, w sprawiedliwości swojej, uważa ich za winnych jednakowo. Wygnani razem z raju, razem idą na życie w pocie czoła, ze świadomością dobrego i złego, zdobytą przez niewiastę.

Tradycya ta, jestto jedna z najpierwszych form, pod jakiemi występują najdawniejsze senne rojenia ludzkości o niewieście. Chrystyanizm nadaje im formę drugą, wciela je w postać przecudną małżonki cieśli, matki Zbawiciela, która bosą stopą rozgniata głowę węża. Ewa zdobywa wiedzę, Marya dobro.

Mimo to, kobieta dostaje się w niewolę. W formie tej wyraziły się pierwotne usiłowania ludzkie na drodze uporządkowania się towarzyskiego Gdyby ludzie nie byli ludźmi, to uporządkowaliby się odrazu, jak mrówki, jak pszczoły, jak małpy, i tam dalej. Nie czyniliby prób żadnych. które wyjść musiały z siły pięści. Niewoli uległa nie sama jeno niewiasta. Los jej podzielili i mężczyzni o tyle, o ile przemocy odeprzeć nie mieli możności. Narody całe, całe warstwy społeczne idą w jarzmo Nemrodów, mężów dużej ręki, mających

jeno na baczeniu siebie i otaczających się wszystkiem, co przemoc utrwalić i zapewnić na korzyść ich wyłączną może. Niewiasta idzie w poniewierkę. Sfery nemrodowe przedstawiają ją ze strony najgorszej, nazywają ją bramą piekielną, skorpionem, przedstawiają ją jako źródło i początek wszystkiego złego na świecie; niemniej przeto przypuszczają wyjątki, ludzkość zaś, ze swojej strony, śni wciąż o królewnie zaklętej, którą fantazya wyzwala z uroków jak może i umie, a zawsze w końcu na tronie sadza i długie jej życie nadaje.

Że fantazya bałamuci trocha, to powiedzieć śmiało można, bez ubliżania twórcom legend, baśni, poematów i dramatów. Pomimo usiłowań wszelkich na drodze twórczości poetycznej, ideał śnionej nie stanął jeszcze ku wszechwidzeniu.

Myślicie może, czytelnicy łaskawi, że ja go postawić zamierzam? Jako żywo! Czuję go, ale czuję niemniej, że chociażbym się wziął na pazury aż do pokrwawienia się, chociażbym przejął się nim do szpiku kości, nie zdołałbym na jaw go wyprowadzić w całej onego wspaniałości poważnej i czystości niepokalanej.

Przyznam się — próbowałem razy parę śnienia moje wcielić w postać niewieścią, i nie mogłem dokazać tego. Opanowywała mnie z przyczyny tej melancholia czarna. Pocieszałem się jednak tem,

że najwięksi mistrze doznali na drodze tej niepowodzenia.

Zadania jednak trudne rozwiązują się przez przybliżenie.

Owoż—sprobuje raz jeszcze!

Dlatego zaś, żeby próbie, którą podejmuję tym razem, nadać nacisk konieczności, wypisuję na czele kreacyi niniejszej tytuł „Wyśniona.“

Wyśnionej mojej na imię Zofia Antonina Anna Helena — imię królewskie, poczwórne. Będziemy ją jednak nazywali pierwszem, a to z tej przyczyny, ażeby za każdym razem, ilekroć na scenę wyjdzie, nie powtarzać litanii całej imion chrzestnych, zapisanych w metryce kościoła parafialnego w miasteczku Przyręble.

Miasteczko Przyręble oddalonem jest o pół mili od wioski Kalinowa, w której ona na świat przyszła: o mil pięć od miasta Łyczaków, zapisanego w geografii powieściowej, jako miasto znaczne, stolica kraju, licząca mieszkańców płci obojga, według ostatniego spisu ludności, 97,321. Rzecz prosta, miasto z ludnością tak liczną, przytem stolica, nie mogło nie posiadać instytucyj i zakładów, mających przed sobą zadanie niesienia krajowi korzyści wszechstronnych. To się rozumie samo przez się, i dlatego też nie będę się nad tem rozwodził.

Rozpiszę się obszerniej nieco nad miejscem urodzenia bohaterki naszej.

Kalinowa, wioska o dwudziestu paru chatach włościańskich, leży nad rzeką Bystrą, która, wziąwszy początek swój w górach, wpada pod Łyczakowem do rzeki głównej, formując pod Kalinową wytok, oblewający wzgórze. i przyjmujący w siebie strumień płynący w głębi parowu. Korzysta na tem wielce topografia Kalinowy pod względem obrazowym. Wioska rozrzuca się nad Bystrą malowniczo, cerkiew zaś, cmentarz, zabudowania folwarczne, karczma, most na rzece, młyn na potoku. szkoła i dwór—układają się w sposób taki, że pejzażysta mógłby mieć w nich model do kilku obrazków wcale wdzięcznych. Dwór, zwłaszcza staroświecki, pod strzechą słomianą, z gołębnikiem na środku podwórza, opierający się o ogród cienisty, schodzący do rzeczki i ozdobiony we fronton architektury zaniedbywanej coraz-to bardziej w budowlach nowoczesnych, nadawał się na obraz szczególnie. Ogród przedstawiał mieszaninę, nie był to bowiem ani park, ani sad wyłącznie; posiadał aleję cienistą, lipami sadzoną, gaik jaworów rozłożystych. trawnik przed drzwiami parapetowemi i obszary całe zajęte drzewami owocowemi, w doborowych gatunkach jabłek, gruszek śliwek, wisien. czereszni. Do sadu fruktowego przylegał ogród warzywny. okolony porastającym licyną rowem od pola. Nad przeciwległym brzegiem rzeki wznosiło się lasem okryte wzgórze, które optycznie zdawał się

tworzyć ogrodu ciąg dalszy, idący do góry i zlewający się z czarnym lasem. Las ów jednak stanowił część wolną, a nawet, na wiosnę mianowicie, nie można było wprost z ogrodu dostać się do niego. Bystra rozlewała się, pełnem płynąc korytem, rozbijała sią z szumem wielkim o sterczące z jej dna kamienie; za to latem i najesieni też same kamienie służyły do przedostania się na drugą stronę. W punkcie jednym brzeg tworzył zatokę otoczoną skałami, wznoszącemi się nad zagłębionem w tem miejscu dnem. Zatoka ta oddawała usługę pstrągom i ludziom: pierwszym służyła, jako miejsce spoczynku, gdy takowego znużone nawigowaniem przeciw prądowi potrzebowały, drudzy mieli w niej latem kąpiel wyborną.

Dwór, pod względem urządzenia wewnętrznego. nie odznaczał się niczem osobliwszem. Był to dwór, jak wszystkie wogóle dwory szlacheckie: obszerny i wygodny; jeżeliby zaś co wnim na szczególne zasługiwało zanotowanie, to czystość, nie pozorna lecz rzeczywista, rozciągająca się do wszystkich kątów, zakamarków i miejsc ukrytych, przebijająca się we wszystkiem i na wszystkiem, czystość, nazywająca się schludnością, która przybysza od pierwszego przekroczenia progu ogarniała i nie wysłowioną lubością napełniała. W każdym pokoju i pokoiku można tam było oddychać piersią pełną, nie obawiając się, ażeby zmysł powonienia

poraziła woń jakaś niewłaściwa, lub też, ażeby do płuc dostał się miazmat jakiś, wychodowany pod kanapą, pod łóżkiem, pod fortepianem lub za piecem. Sufity w pokojach miały wysokość stosowną, piece zimą nie dymiły, okna się otwierały w każdej roku porze, co się zaś umeblowania tyczy, to w takowem postrzegać się dawało usiłowanie połączenia prostoty z komfortem i gustem, ze względem na trwałość. Widocznie właściciel nie lubił wyrzucać pieniędzy na filigrany, ani też na obicia nietrwałe. W meblach przeto, żeniło się stare z nowem: to, co służyć jeszcze mogło, służyło; sprzęty zaś, które kapitulacyę wysłużyły, zastępowały się przez inne na urząd robione, a nie sprowadzone, ani z Paryża, ani z Drezna, ani z Wiednia nawet. To też zarzucić-by im można niejedno pod względem mody; ale pod tym jednym względem tylko: co się bowiem tyczy symetryi, w ustawieniu, w rysunku pokoju każdego—w tym względzie do zarzucenia było nie wiele. Przyozdobienie ścian mogło się nie podobać nie jednemu, ale to dlatego, że nie było w niem obcego nic. Składały się na nie utwory pendzla i ołówka swojskiego, dobrane starannie i z pewną myślą przewodnią, znamionującą nie sam jeno wyłącznie smak estetyczny. To samo widzieć się dawało w saloniku i w bibliotece. Wszędzie swojskość występowała na pierwszym planie.

W tym-to dworze przyszła na świat nasza Zofia Antonina Anna Helena.

Nie umiem podać przyczyny, dla której rodzice poczwórne jej dali imię: dlatego może, że była jedynaczką. Tłómaczenie to atoli nie nadaje się: jak bowiem przewidzieć mogli, że więcej dzieci mieć nie będą? Takie jej imię nadali, i koniec — i wezwali w intencyi rodzicielskiej wróżki wszystkie, jakie jeno do wezwania są, ażeby jej kolebkę otoczyły, składając u wezgłowia dzieciny dary stosowne: piękność, dobroć, rozum i szczęśliwą dolę. Możnaby z poetą powiedzieć: „Gdy był księżyc na młodziku, kąpała ją matka w mleku,“ nie uczyła jednak „czarów siła,“ a zajęła się starannie i całkiem na seryo wychowaniem córki od samego jej na świat przyjścia.

Rodzice bohaterki naszej, państwo Kalinowscy — szlachta z rodu, chociaż nie wprost z hetmańskiego—byli to sobie ludzie zwyczajni, pełni chęci jak najlepszych, obok tego jednak (i to ich odznaczało) pełni jeszcze chęci „chęci jak najlepsze“ w czyn wprowadzać. To ostatnie stanowi rzadkość pomiędzy potomkami Sarmatów. „Chęci jak najlepszych“ jest u nas tyle, że, choć je na wagony zabieraj i po całej kuli ziemskiej rozwoź! — pozostałoby jeszcze dla nas niemało. Nie nam braknie tego dobrego. Braknie nam na chęci do wprowadzania chęci owych jak najlepszych w czyn. Gdyby nie to — ba!..

rajem-by ziemia nasza kwitła. Owoż państwo Kalinowscy wyróżniali się pomiędzy spółrodakami moimi tem szczególniej, że nie zbywało im, najpierw na owej chęci ogólnej, następnie i na tej drugiej, której brak dotkliwy czuć się nam daje we wszystkiem niemal. Skutkiem tej chęci drugiej, państwo Kalinowscy małopomału doszli do tego, że wyróżnili się śród sąsiadów w niejednym względzie.

A najpierw, wiele, bardzo wiele rzeczy wzięli na seryo.

Kiedy zmienioną została pańszczyzna (Kalinowa leży w krainie Lodomeryą zwanej) i wraz z nią to. wszystko, co ją z łona dziejów „wypośrodkowało“ państwo Kalinowscy zaczęli od tego, że postarali się o jaknajwszechstronniejsze wyjaśnienie sobie faktu tego. Zkąd się on wziął? Jakim sposobem przyszło do niego? Czy nie jest to jeden z owych kaprysów dziejowych, który, jak przyszedł tak odejdzie, zostawiając po sobie jeno wspomnienie, przykrości dla jednych, niezaspokojonych apetytów dla drugich? Wzięli to wszystko pod rozwagę gruntowną i doszli do tego przeświadczenia, że jestto jeden z objawów postępowego kroczenia ludzkości ku sprawiedliwemu rozkładowi ciężarów społecznych.

— Dzieci nasze w innym będą żyły świecie...— rzekł pan.

Pani uznała słuszność uwagi małżonka.

A że nie mieli dzieci więcej, tylko jedną córeczkę, która w chwili przewrotu onego w piątym znajdowała się roczku, więc uwaga ta odniosła się do niej całkowicie.

— Potrzeba, ażeby Zosia miała rozum...—rzekła pani.

— Ale jaki?... tu sęk...—odrzekł pan.

Panią zastanowiło i zdziwiło orzeczenie męża. Nie wiedziała ona, że rozum a rozum, są to dwie rzeczy, tak nieraz różne, iż jedna obala drugą. Pojęcie o rozumie przechodziło przez koleje rozmaite. Sami przypominamy sobie czasy owe, w których dosyć było umieć po łacinie, ażeby za mędrca uchodzić.

— Łacinnik... phi!...—powiadam.

Następnie dołączać się poczęło do tego wymaganie znajomości języków nowożytnych, nadające sankcyę rozumu wszystkim zamożniejszym, to jest takim, co posiadali środki do trzymania guwernerów i odbywania podróży zagranicę. Język francuzki, zwłaszcza, cieszył się uznaniem wielkiem. Gmin szlachty drobniejszej, do którego należał pan Marcin Kalinowski, z zazdrością spoglądał na szczęśliwców przemawiać mogących językiem Bossueta, Woltera i Rousseau'a. Pan Marcin był sam w tym duchu wychowany i z języków obcych znał jeszcze niemiecki, który atoli nie liczył się, znał go bowiem ze

szkół na to jedynie, ażeby się módz od biedy rozmówić z cesarsko-królewskim urzędnikiem, nie czuł jednak do niego pociągu i przy nim, pomimo, że mu przez lat szesnaście wykładano łacinę i grekę, nie nauczył się ani po łacinie, ani po grecku. Wychodził on z owych sławnych szkół, operujących głowy młodzieży lodomeryjskiej przez trzy ćwierci wieku, a mających służyć za model w rodzaju swoim. Szczęściem dla niego, wyniósł ze szkół owych klepkę w głowie zdrową. Dla tego-to gdy się o rozumie dla córki zgadało, zapytał:

— Ale jaki?...

Ważne, zaiste, pytanie! Ważne do rozwiązania zadanie!

Iluż to ojców rozwiązuje zadanie to *per fas et nefas!*—ot tak, byle je rozwiązać jako tako. Gdyby pan Marcin miał syna, możeby i on, w odniesieniu do córki zawołał, jak to się woła często dziś jeszcze przez usta rodziców poważnych: „Proszę mości dobrodzieja, na co jej rozum zda się!...“ Możeby i pan Marcin tak zawołał; że jednak syna nie miał, więc począł się głęboko zastanawiać nad kwestyą wychowania jedynaczki, i po gruntownej rozwadze, podszytej kilkoma wyczerpującemi z małżonką rozmowami, wyrobił sobie rodzaj programatu wychowawczego, który zamierzył do córki zastosować. Co się samego wychowania tyczy, utworzył dla niego kodeks moralności praktycznej,

wychodzącej z punktu zamiłowania dobra dla dobra samego, dlatego, że jest ono pięknem najwyższem. Piękno pociąga ku sobie ludzi sposobem naturalnym. Mocą pociągu tego idzie się ku dobru, mimowolnie niejako. Przychodzą tu ku pomocy idea porządku i pożytku i wytwarza się spółka potężna. podtrzymująca człowieka na drodze obowiązku względem siebie samego i względem bliźnich. Owóż, zastosowując programat ów, zmienił wnet w czyn to wszystko, co z punktu stanowiska, jakie zajmował, było dla niego przystępnem.

Stanowisku jego, w fundamentach onego, zabrakło pańszczyzny. Sprawiło mu to przykrość niejaką w pierwszej chwili. Nie dał atoli przykrości owej trwać długo. Zgruntowawszy powody, dla których wypadek ów nie przyszedł jako prosty kaprys dziejowy, pojął też, że własna jego korzyść wymaga postawienia się śród sąsiadów włościan w charakterze sąsiada życzliwego, To mu, jako punkt wychodni posłużyło. Wszedł z włościanami w stosunki bezpośrednie, zawiązał z nimi rodzaj spółki faktycznej, brał proporcyonalnie do zamożności swojej udział w ponoszonych przez gminę ciężarach, których się nie wahał na majątku intabulować i prędko doprowadził stosunek do życzliwości wzajemnej, na której strona jedna i strona druga wychodziły świetnie. Gmina Kalinowa zabezpieczyła się od wszelkich plag, dogryzających

ludności wiejskiej w Lodomeryi, mianowicie zaś: od lichwy—włościanie nie potrzebowali pożyczać, posiadając kassę własną; od processów—czasu na takowę nie mieli, będąc ustawicznie zajęci pracą; od głodu—ten im nie zagrażał, albowiem gospodarowali racyonalnie, mając do tego podnietę w szkółce wiejskiej, w której dostatecznie opłacany nauczyciel kształcił rolników-obywateli. We wszystkiem tem tkwił palec pana Marcina, który, jak raz z miejsca ruszył, tak równym chodem szedł a szedł, budował a budował, nie wyzyskiwał a wyzyskiwał, jeżeli nie w innym względzie, to w tym, że otoczył jedynaczkę swoją atmosferą moralną, nawskróś czystą, w której ona podrastała i rozwijała się. Gdzie jeno dziewczę spojrzało, na kroku każdym, w oczy się mu rzucały: dobro, piękno, porządek i pożytek.

Rzecz naturalna, pan Marcin pracował, pani Marcinowa pracowała, ze służby i czeladzi—a było tego tyle właśnie, ile utrzymanie dworu w czystości i porządku wymagało — każde pracą zajęte było: wszystko to oddziaływało na umysł dziewczęcia, które też, od pierwszych życia swego chwil, nawyku do pracy nabierało, nie nasiąkając do niej wstrętem owym naturalnym, wyrabiającym się w dzieciach, co-to zapatrują się na matki, zabawiające się fatałaszkami, i na ojców, trawiących czas na ciągnieniu dymów z cybucha i na przesiady-

waniu przy zielonych stolikach. Ten ruch, ten szmer zajęcia ustawicznego, jaki małą Zosię otaczał, stanowił przygrywkę niejako do piosnki, przy której usypiała, kołysał ją do życia, nie rozwiązywał jednak zagadnienia, tyczącego się rozumu, w jakiby ją opatrzeć wypadało.

We względzie tym rzecz nie została udecydowaną od razu. Pani Marcinowa nie zrozumiała doniosłości zapytania.

— Jakiego rozumu!... — zareplikowała. Jakiego?...

Przesunęły się jej szybko przed oczami przykłady panien „dobrze wychowanych“ i dziwiła się zapytaniu mężowskiemu. Przytoczyła nazwisk kilka.

—A!...—machnął pan Marcin dłonią na odlew.

— Cóż chcesz!... Róbmy, jak ludzie robią...

— Koniecznie?...

— A no... Zosia wyjdzie za mąż i...

— I rozpocznie się dla niej życie—podchwycił pan Marcin—w którem, kto wie azali jej nie wypadnie się z twardym łamać losem... Czy zaręczysz, że dostanie się jej na męża człowiek zacny, prawy i rozumny?... Czy zaręczysz, że jej na zabezpieczenie przeciwko zwrotom fortuny bodaj Kalinowa pozostanie?...

Pani Marcinowa ramionami wzruszyła, z akcentem oznaczającym, że ręczyć się nie podejmuje.

— A widzisz... potrzeba więc pomyśleć o tem... — zakonkludował pan Marcin.

Zosia, jak w poprzednim widzieliśmy rozdziale, otoczoną była przykładami, przez które bezpośrednio odbierała świadomość dobra i które tem samem służyły jej jako pryzmat do zapatrywania się na złe. Świadomość dobrego i złego przychodziła do niej jednym i tymże samym przewodem, oddziaływając, jedna dodatnio, druga ujemnie. Wywierać to musiało wpływ jak najlepszy na moralność dzieweczki. Wprawiała się do pracy: to grunt; na gruncie zaś tym formowały się pojęcia samodzielnie, sposobem przyswajania sobie wyobrażeń, o tem, co się godzi i o tem, co się nie godzi. Ojciec, naprzykład, nikogo nie krzywdził: i ona więc nie odważyłaby się skrzywdzić nikogo za skarby żadne; matka, ani też nikt z otoczenia nie kłamał: i ona też kłamstwem się brzydziła. W ten sposób wyrabiał się w duszyczce jej grunt, pod zasiew cnót wszelakich, obiecując plon bogaty. Robiło się to bez affektacyi, bez frazesów, bez rusztowań sztucznych—samo przez się. Rodzice, którzy pragną—a którzyż tego nie pragną!—dać dzieciom wychowanie moralne, powinni sami przykładem im świecić. Stanowi to filozoficzny wychowania ka-

mień, który państwo Kalinowscy bez trudu znaleźli.

Pozostawała kwestya rozumu.

We względzie tym zachodziła trudność olbrzymia.

Wszystko do około rozbrzmiewało: precz z rozumem!...

Rozum dla kobiety?... Horrory!...

Okrzyk ten ciągnął się echem z czasów dawniejszych!...

Umysły poetyczne wyidealizowały kobietę pod postacią kwiatka, ptaszka, motylka, któremu dosyć było listki ubarwić, piórka polotnością opasać i skrzydełka ozłocić, ażeby zachwycał, w niebo porywał. Dla dawniejszych czasów to wystarczało. Nie rozumiano potrzeby wiedzy w ogólności; mężczyzna nawet poprzestawał na polorze; fachowość zaś wymagała szczupłego grona specyalistów, z pomiędzy których sam jeno zawód kapłański werbował się regularnie, reszta zaś wpadała dorywczo i przypadkowo, ten na drogę adwokacką, ów na lekarską, inny na inżenierską i t. d. Adwokaci i lekarze prosperowali — tych społeczeństwo potrzebowało; inne zawody pozostawały w stanie drzemki—nic do czynienia nie miały. Rzemieślnicy, kupcy, właściciele ziemscy obchodzili się bez nauki bezpiecznie, uważając ją za rzecz. o ile zbyteczną, o tyle zbytkowną. W takim przeto stanie

rzeczy, nauka dla kobiety pomyśleć się nie dawała; jeżeli zaś z rodziców niektórzy o edukacyi córek marzyli, to nie inaczej, jak o polorze. Spotęgowanie ponętności: oto zadanie, jakie upatrywano w edukacyi kobiecej. Była to reminiscencya czasów niewoli, w których kobiety uczono tańczyć i śpiewać, z bębenkami i bez takowych, ku jak największej panów i mężów uciesze. Czasy owe minęły; reminiscencya onych pozostała pod postacią tolerancyi edukacyjnej, zacieśnionej do sfery literackiej. Muzyka, taniec, rysunek, języków parę i troszka czegoś nieczegoś: oto i edukacya skończona. Dodawano dotego zarząd domu i robótki. Czytanie książek służyło za zaokrąglenie. Polor wychodził na tem dobrze. Panienki urabiały się na istne pieścidełka, miłe oku, miłe uchu, najmilsze zaś fantazyi kawalerów, którzy jednak, poza tem wszystkiem, co na pokaz było, szukali realnego gruntu w posagu. Panny posażne, na dziesięć jedna, trafiwszy na męża człowieka uczciwego, wychodziły nieźle na edukacyi tego rodzaju; dla nieposażnych wyjścia nie było — choć siadaj i płacz! Wyszła za mąż — wprzęgła się w jarzmo i wykierowała się na czupiradło; nieznośne drugim i sobie; nie wyszła za mąż — jeszcze gorzej: rozbija się po świecie, nie wiedząc co począć z figurą swoją.

Kwestya przeto rozumu, jakim się miała głowina Zosi umeblować, była kwestyą, która pana Marci-

na zafrasowała wielce. Udzielił uwag swoich pani Marcinowej, i ta zafrasowała się także.

— Nauczaj ją tymczasem czytać, pisać i rachować—rzekł p. Kalinowski do żony—co zaś do czynienia będzie dalej, pomyślimy.... Trzeba się może i z ludźmi poradzić.... Ten nasunie to, ów owo.... z tego się coś ułoży....

Był to praktyczny tymczasowy środek zaradczy. którego się pani Marcinowa oburącz chwyciła.

Nauczenie czytania. pisania i rachowania poszło jej z wielką łatwością. Dziecko okazało się pojętnem; przyswoiło sobie elementarne początki z łatwością wielką i okazało,do czytania zwłaszcza, rodzaj apetytu, którego, niestety! zaspokoić nie miało czem. Dziecinna literatura nasza, uboga obecnie, uboższą jeszcze była lat temu dwadzieścia pięć. Jestto świadectwem, jak mało ważono wychowanie dzieci. Ćwierć wieku temu, nie było nic prawie, coby się dla siedmio-ośmioletniego nadawało dziecka, to zaś, co było, odnosiło się do towarzystwa o pojęciach odmiennych, o odmiennych celach i zadaniach życia. Należało jednak poprzestawać na tem, co się pod rękę nasuwało. Zosia czytała, czytała, czytała. Szczęściem dla niej, w otaczającym ją świecie znajdowała rodzaj antidotum przeciwko moralności sztucznej wydzielającej się z książeczek dla dzieci, które kursowały pomiędzy 1850 a 1860 rokiem. Dziecko to przełknęło i rość poczęło. Jak

powiadam jednak, zajęcia domowe, w których Zosia udział brać mogła, staranność około siebie samej, do czego ją p. Kalinowska od dzieciństwa najwcześniejszego przyuczała, neutralizowały szkodliwość, jaka spłynąć mogła z czytania, nauczającego. nie myśleć, lecz roić. Kiedy już skończyła lat siedm, p. Marcin przyjął do niej, nie guwernantkę, lecz nauczyciela. Wypadło to niby z konieczności rzeczy. Sąsiad, właściciel Przyrębla, pan Jan Kanty Szawelski, miał dwóch chłopców, z których młodszy był rówiennikiem Zosi. Zgadało się o wychowaniu dzieci.

— Mości dobrodzieju — mam z chłopcami kłopot.—Miałem do nich nauczyciela—oddalić musiałem, z powodów różnych, które żonę moją irytowały. Trafia się człek stateczny, cóż kiedy drogi!....

— Przecie?—zapytał p. Marcin.

— Tysiąc złotych, to za wiele.

— Edukacyi dobrej dosyć opłacić nie sposób.

— Tak—hm—mości dobrodzieju. To się tak powiada—jednakże—gdy przyjdzie co do czego.—Tysiąc złotych, to grosz. I za co? Za to, że mi będzie za smarkaczami bąkał. Cenię ja. mości dobrodzieju, edukacyę, ale opłata za nią ma granice swoje.

— Jak się nazywa ten nauczyciel?

— Kowalski.

— Nie możnaby się z nim widzieć?

— Czy asan dobrodziej chciałbyś go do Zosi?— zapytał p. Szawelski ze zdziwieniem.

— Nie byłbym od tego, gdybym poznał, że człowiek przyzwoity i ukwalifikowany.

— Co do kwalifikacyi, to ta, zdaje się, nic do życzenia nie pozostawia. Posiada języki, umiejętności, gra na fortepianie.... Tylko dyabelnie drogi, ale wracając do tego, co asan dobrodziej wspomniał, to mnie się wydaje, że do Zosi wypadałoby przyjąć raczej guwernantkę.

— Jeżeli trudno o guwernera dobrego, to o guwernantkę tem bardziej.

— Prawda. Jednakże....

Pan Marcin nie uważał za rzecz potrzebną wdawać się z sąsiadem w dyskussyę. Chodziło mu tylko o zabranie znajomości z panem Kowalskim, co mu z łatwością przyszło, wziął bowiem jeno adres i pojechał do Łyczakowa. gdzie przebywał p. Kowalski, będący bez miejsca chwilowo. Porozumienie pomiędzy niemi nastąpiło bardzo prędko. Pan Marcin znalazł w p. Kowalskim człowieka ukwalifikowanego jak najzupełniej, jednego z pedagogów owych z powołania, którzy na to, zdaje się, stworzeni zostali, ażeby dzieci nauczać, oddając się nauczaniu z zamiłowaniem, z upodobaniem i z właściwym akcentem. Pan Hugon Kowalski miał lat czterdzieści kilka, znał języki: francuzki dobrze, łaciński nieźle, niemiecki doskonale, z umiejętności

każdej, do przygotowania dzieci potrzebnej, tyle, iż był w stanie obowiązkowi swemu odpowiedzieć, posiadał przytem muzykę, nie był to więc człowiek uczony, ale dawał wszelką rękojmię nie popsucia edukacyi w fundamentach; obok tego miał pociąg szczególny do rzeczy ojczystych, do dziejów i literatury. Ugoda nastąpiła od pierwszego słowa. Poprzedziła ją długa pogadanka, w której p. Marcin zgłębić się starał nauczyciela, mającego wprowadzić dziecko jego do świątyni wiedzy.

— Co pan myślisz o nauce dziewczyny?—zapytał go wciągu rozmowy.

— Myślę, panie, że dziewczyna ma i potrzebę i prawo uczyć się tak samo jak chłopiec....

Ściągało się to zapewne do nauki elementarnej, do tej, którą pan Hugo wykładać się zobowiązywał. Wyrazy te atoli zafrasowały p. Marcina. Uścisnął nauczycielowi dłoń serdecznie i umówił się z nim co do chwili przyjazdu jego na wieś. W mieście zaopatrzył się w książki, mappy, globusy, wzory kaligraficzne, nuty i t. d., słowem we wszystko, co pomoc naukową stanowi, i odjechał do Kalinowy, dziękując ślepemu trafowi za nastręczenie człowieka, który wydawał mu się odpowiednim.

W przeciągu dni trzech. jeden z pokoi dworu w Kalinowy zmienił się na izbę szkolną. Na środku onego stanął stół, przy nim krzesła; na ścianach do koła pojawiły się mappy i półeczki na książki;

globus zajął miejsce na środku stołu; jeden z kątów zasłoniła tablica czarna z przywieszoną do niej łapką zajęczą. Obrazów kilka, zegar i firanki dopełniały zaopatrzenia izby, tak w ozdoby stosowne, jak w sprzęty odpowiednie.

Pan Kowalski przyjechał; nauka się wnet rozpoczęła.

Zosia, przysposobiona oddawna do potrzeby uczenia się, rozpoczęła naukę z zapałem. Pan Kowalski umiał zapał ten moderować, ani go ostudzając, ani też rozdmuchując zbytecznie. Dziewczyna pojmowała z łatwością i chłonęła w siebie wiedzę. Nauczyciel przywiązał się do elewki, pomimo, że ta ciekawością, płci swojej właściwą, powodowana często go w niemały wprawiała kłopot. Radził sobie jednak, jak mógł, ciesząc się olbrzymiemi, jakie czyniła, postępami.

Kurs nauk z panem Kowalskim zakreślony obejmował lat trzy, w ciągu których uczennica przejść miała nauki według programatu szkół przygotowawczych, z włączeniem do niego języka ojczystego i historyi ojczystej, jako też muzyki. Program ten, pomimo powściągania dziewczyny w zapędzie ze strony nauczyciela, wystarczył jej na dwa lata. Po skończeniu roku drugiego, p. Kowalski oświadczył państwu Marcinowstwu, że córka skończyła ich zakreśloną programatem edukacyę i zapytał: co ma z nią dalej robić.

— A cóż robić! trzeba uczyć chyba—odrzekł pan Marcin.

— Stosunków? proporcyj? logarytmów? algebry? geometryi? historyi naturalnej?

— Na cóż jej to wszystko!—zawołała pani Kalinowska.

— Gimnastyka umysłowa — odpowiedział pan Marcin.

— Matematyka zaprowadza w głowie porządek—dodał p. Kowalski.

— Ostudza może serce—wtrąciła pani.

— Serce miałaby ostudzać! nauka? czysta nauka? Matematyka, nauki przyrodnicze, miałyby ostudzać serce? Co spólnego, proszę pani dobrodziejki, mieć może z sercem, dajmy na to, binom Newtona, albo chemia. albo fizyka, albo botanika, albo zoologia?

— Nauka, przecie, absorbuje—reklamowała pani Marcinowa.

— Absorbuje rzemieślników nauki, specyalistów, zagłębionych wyłącznie w dociekaniu i studyowaniu,i to o tyle jedynie, o ile człowiek, z wewnętrznego usposobienia swego, nie ma pociągu do życia uczuciem. Ileż to uczonych głęboko, lekarzy naprzykład, kochało i kocha tkliwie żony i dzieci! Jędrzej Śniadecki, naprzykład.... Nie, nauka serca nie ostudza, chyba, iż ma ostudzanie na celu, zapomocą urabiania w duszy egoizmu. Taką jednak,

ani matematyka, ani z naturalnych nauk żadna, nie jest i być nie może.

— Myślisz więc pan, że można Zosię uczyć tego wszystkiego?—zapytał p. Marcin.

— Panie! można! śmiało! na odpowiedzialność moją.

— I pan podejmiesz się?

— Nie uczyć, lecz przysposabiać—podchwycił p. Kowalski. Podprowadzę ją jeszcze trochę, drogę jej pokażę, do umiejętności kilku wstępy poczynię. A potem....

— Cóż potem?—zapytał p. Marcin.

— Ha! starać się potrzeba. Gdybym ja miał córkę taką jak Zosia, to bez butów-bym sam chodził, a na nią łożył, niechby się uczyła. Bo to, niewiadomo, co być może z tego.... Zdolności są.

Zdolności w rzeczy samej, wielkie były — i pamięć, i objęcie—uczyła się dobrze i z gustem, przytem atoli, pomimo, że w dziesiątym życia swego wieku, posiadała już nauki w zakresie, wyznaczonym dla kobiety jako edukacyjne maximum, pomimo to, ani dzieckiem być nie przestawała, ani też kobiecości się nie pozbywała. Trzeba ją widzieć było raniuteńko, letnią porą, gdy, z łóżeczka się zerwawszy, wybiegła na ogród i na trawniku boso po rosie hasała, przyśpiewując sobie:

„Oj roso moja, roso!
Jakże mi dobrze boso!
Wiatr ścichł, słonko nie pali,
A ja dalej-że, dalej!“

Zataczała koła, puszczała się w zygzak. Niekiedy układała na trawie dwa prątki nawkrzyż i, zakasawszy się po kolana, skakała w sposób taki. ażeby, bez dotknięcia prątków, w każdym z kątów stopą stanąć. Przy ćwiczeniu tem służył jej do znaczenia taktu znany przyśpiewek:

„Ej, na górze siedzi zając.
Nóżeczkami przebierając,
Gdybym takie nóżki miała,
I ja-bym tak przebierała,
Jak ten zając.“

Widząc ją tak, aniby się domyśleć można, że się z logarytmami wdaje, że się nad zrównianiami drugiego, trzeciego stopnia, z jedną, z dwiema, z trzema niewiadomemi zastanawia, że o ciałach prostych i złożonych rozmyśla, że anatomię porównawczą na uwagę bierze. Wszystko to nie przeszkadzało jej bynajmniej używać życia w pełni całej. Hasała do dnia na murawie; w ciągu dnia, po razy kilka, jeżeli tylko pogoda sprzyjała, chodziła w pole z ojcem: używała kąpieli w Bystrze, obmywała lalkę,

naprawiała sobie odzież i bieliznę; słowem, pędziła żywot, nie pozostawiający jej chwilki jednej na oddawanie się próżnowaniu czy to fizycznemu, czy umysłowemu. Czy traciła co na tem?

Ach! traciła.

Dziewczynki w jej wieku, pobierające edukacyę według metody homeopatycznej, mając zbywającego czasu dużo, zaprzątają umysł, raz słówkiem jakiemeś z powietrza zachwyconem, znów frazesem podsłuchanym. to znów widowiskiem jakiemeś zagadkowem, albo też obrazową narracyą jakąś wyczytaną ukradkiem w książce zakazanej. Zajęcie to służy im do przenikania się pragnieniami często imże samym nie pojętemi i z pragnień owych urabia się głębia świecąca w ich oczętach. Dziewczyna marzy—a o czem? Marzycielstwo to zagadkowe rozstrzyga się później w życiu pod postacią romansową, częstokroć taką, która, bawiąc obojętnych, nie sprawia ani rodzicom przyjemności, ani też samej marzycielce zadowolenia. To Zosia nasza traciła, albowiem w chwilach swobodnych, lub też nad igiełką, zamiast oddawać się rozmyślaniom niezdrowym znajdowała niewyczerpaną do rozmyślań kopalnię w przedmiotach naukowych, wysnuwanych z pierwszego lepszego, jaki jej do głowy przychodził. Przychodził jej naprzykład do głowy bławat: wnet go odnosiła do właściwej familii, szykowała w szeregu roślin grupę centuryj; przy-

pominała sobie azali nie wypadł jej z pamięci gatunek który; sprawdzała niekiedy w zielniku, niekiedy zaś przenosiła się na łan żyta i obchodziła z bławatkami, jak z dobrymi swoimi znajomymi, znajomymi nietylko z widzenia, ale też z natury. Wiedziała, że z bławatków przyrządza się woda na oczy; wiedziała niemniej, że wiją się z nich wianuszki i wiążą bukieciki, które stanowią ozdobę dziewcząt wiejskich. Wiedza jedna nie przeszkadzała bynajmniej drugiej, ale za to przeszkadzała rojeniom dziewczęcia błąkać się po manowcach, kreślonych czarodziejską różdżką romansu. Powracała z pola w wianuszku z bławatkiem na głowie, z piosenką na ustach i z myślą tak czystą jak kryształ najprzeczystszy.

Co traciła w kierunku jednym, to zyskiwała w drugim; porównając zaś stratę i zysk, zapytać warto: co zostawało—czy zero? czy też korzyść dodatnia?

Umysł jej rozwijał się i bogacił zarazem. Pan Kowalski pozostał z nią jeszcze nad założone pierwsze lat trzy, aż oświadczył państwu Kalinowskim:

— Puśćcie mnie już... Naciągnąłem płótno, pozakładałem farby na obrazie... do kończenia dzieła nie czuję już sił w sobie... Zosia jest małą uczoną... może zostać...

— Wielką—dokończył pan Marcin żartem.

Wielką?.. nie wiem... Jednakże — tu ramionami ruszył—kto odgadnie, co przyszłość chowa?.. Zagadki tej nie godziłoby się zostawiać bez rozwiązania... Byłby to grzech przeciwko Duchowi Świętemu.

— Cóż począć!.. Akademii przecież dla niej w Kalinowej otwierać nie mogę...

— Jeżeli do proroka góra nie przychodzi, to prorok idzie do góry...

Pan Marcin westchnął głęboko.

— Cóż robić, panie dobrodzieju—odezwał się Kowalski, ramionami ruszając. Gdybyś pan dobrodziej miał syna, to nie wahałbyś się...

— Syna... hm...

— Nie wahałbyś się łożyć na niego z ostatniego, chociażby tylko o połowę był mniej zdolnym aniżeli Zosia...

— Zapewne... No... sprobuję...

— Sprobój przynajmniej...

Edukacya w zakresie szkół średnich przedstawia się pod postacią węzła gordyjskiego, nad rozwiązaniem którego łamią sobie ludzie głowy i łamać je długo, zdaje się, jeszcze będą. Rzecz byłaby do rozstrzygnięcia łatwą, gdyby w układaniu programatów uwzględniać nie należało uczniów najmniej zdolnych. Chodzi głównie o właściwe ze-

stosunkowanie nauk realnych i nauk literackich, dla nadania edukacyi całokształtu pełnego i stosownie zaokrąglonego. Szkoły średnie służą dla ogółu obywatelskiego, mają przeto za zadanie nadawać edukacyę wszechstronną, oznajamiać młodzież z wiedzą we wszystkich onej przejawach, przygotowywać ją do życia we wszystkich onego kierunkach; powinien tam módz czerpać zasoby: rolnik, rzemieślnik, przemysłowiec, handlarz, mąż stanu, urzędnik; uczony winien tam módz znaleźć świadomość powołania swego do tej lub do owej gałęzi wiedzy; szkoły średnie powinny być w taki urządzone sposób, ażeby, kończący je, a wybierający się na drogę naukową, nie pomylił się i nie poszedł na wydział teologiczny, zamiast na matematyczny lub na prawny. Podział szkół średnich na realne i humanitarne nie jest właściwym: jestto wyminięcie zadania, nie zaś rozwiązanie onego. Chodzi tu, jak się zdaje, o jakiś przesąd, drogi rutynistom, o jakieś eliminacye, których uskutecznienie ułatwiłoby zaprowadzenie harmonii w programatach szkolnych. Pedagogowie we Francyi narzekać poczynają gorzko na grammatykę; gdzieindziej znów domagają się uproszczeń w wykładzie matematyki; w ogólności użalają się na przeładowanie programatów szkolnych. Powtarzam wszakże, iż rozwiązanie zadania nie przedstawiałoby trudności, gdyby poziom zdolności młodzi uczącej się

był o tyle wysoki, iżby się dało ładować w głowy wszystko, co człowiek ukształcony znać nieodzownie powinien.

Ba! gdyby-to uczeń każdy tak był zdolny, jak bohaterka nasza...

Dzięki uzdolnieniu swemu, Zosia z rąk pana Kowalskiego wyszła zaopatrzona we wstępy, które jej edukacyę średnią ułatwiły ogromnie.

Naturalnie, przenieść się pani Kalinowska musiała do Łyczakowa. Ofiara ta stała się konieczną. A była to ofiara rzeczywista dla kobiety, która nie miała pstro w głowie i której życie na wsi, wśród zajęć gospodarskich, wystarczało jaknajzupełniej. Na wysłanie dziecka samego nie mogli się państwo Kalinowscy odważyć. Umieszczać zaś ją na pensyi znaczyłoby to samo, co wkładać jej pęta na nogi i kazać iść. Na pensyi uczyć się już nie miała czego. Więc matka przenieść się do miasta musiała i zamieszkać z córką dla nauki na czas nieograniczony. Pan Kowalski wielką im we wszystkiem był pomocą. Wyszukał nietylko schludne z trzech pokoików i kuchenki składające się mieszkanko, położone w części miasta, najlepsze pod względem sanitarnym przedstawiającej warunki, ale podawał im skazówki co do przeprowadzania edukacyi.

— A hm—mówił—gdybyśmy Zosię naszą mogli za chłopca przebrać i do szkół wkręcić... Ale o czemeś podobnem ani myśleć... Niemało jeszcze

wody upłynie, zanim ludzie do tego przyjdą rozumu, iż potrzebę rozumu przyznają kobiecie...

— Nie zaprzeczają przecie wyraźnie...

— Gdzie tam, nie!.. Oto wie pani co mi ćwiekiem w głowie tkwi... Chodzi mi o wybranie takich professorów, którzyby nauczanie Zosi na seryo wzięli...

— Professorowie mieliby rzecz podobną brać nie na seryo!..

— Cóż pani chcesz! — odrzekł z westchnieniem. Uczoność nie broni ludzi od ludzkich ułomności... Gdybyś pani była magnatką... a!.. byłoby co innego... Magnatom i waryatom wszystko wolno. Wziętoby to za dziwactwo i starano się dogodzić takowemu... Pani zaś dziwactw dopuszczać się nie wolno... Kalinowa nie daje do tego prawa...

— Mój Boże! — zawołała strwożona nieco kobieta.

— Trzeba tò przezwyciężyć... Gdzie przejść nie można, tam przeleść należy... Przedsięweźmiemy niektóre środki ostrożności i swego dokażem... Dla Zosi potrzeba czterech professorów: do nauk fizycznych, do matematyki, do języków i historyi literatury powszechnej, przytem metra muzyki. Na professorów wziąćby można uczniów uniwersytetu, mianowicie do nauk fizycznych i dò matematyki, które, jako ścisłe, wymagają przedewszystkiem wykładu ścisłego...

W literaturze i w historyi — ciągnął dalej zacny pan Kowalski — wielkiego znaczenia jest pogląd indywidualny; wyszukać przeto należy ludzi wytrawnych i sumiennych, ażeby w obsłonach nauki nie podawali niedorzeczności.... Nad historyą i literaturą polską Zosia, na podstawie tego, co odemnie przejęła, będzie sama pracowała.... Dotkliwie jej czuć się da niemożliwość przystępu do gabinetu fizycznego i laboratorium chemicznego, dla assystowania przy doświadczeniach: lecz na to rady niema: będzie musiała professorowi na słowo wierzyć: zresztą będzie zwiedzała gabinety i muzea: niech się przypatruje, pyta, dowiaduje. Byle rozpoczęła i w tryb weszła, to się to wszystko z czasem samo niejako ułoży.

— Niechże pan professorów wyszuka—poprosiła pani Kalinowska.

— A no.... rzecz naturalna—odrzekł pan Kowalski.

Jął się szukania i trafił na trudności niemałe, z któremi łamać się musiał. Najtrudniej przychodziło mu wyperswadować tym, którym można było wykłady powierzyć, że to nie zabawka żadna, lecz postanowienie stałe i niezłomne. Uczeni mężowie zapatrywali się na to, jak na kaprys przechodni i śmieli się, kiedy była mowa o kursie pełnym.

— Pobawi się, znudzi się i edukacyę ukończy—mówili o Zosi.

— Matka z nią.... będzie pilnowała—odpowiadał p. Kowalski.

— Babie znudzi się prędzej niż dziewczynie.

— Spróbować jednak nie zawadzi.

Rozpoczęła się tedy próba w warunkach jaknajgorszych, bo z niewiarą w powodzenie ze strony professorów. Próba wszakże trwała nie długo. Professorowie od pierwszych lekcyj przekonali się, że mają przed sobą uczennicę, o ile dobrze przysposobioną, o tyle chętną i pojętną. Przywiązali się przeto mimowolnie, a raczej ona ich przywiązała i, wykładając zrazu od niechcenia, wykładali następnie wcale na seryo. Rozkład przedmiotów pozostawiał wiele do życzenia; wysoka opłata lekcyj prywatnych nakazywała ograniczać je do godzin niewielu; zachodziły ustawicznie trudności do zwalczenia, pomiędzy któremi jedną z nienajpośledniejszych były koszta ogromne, jakie ponosić należało nie dla innej przyczyny, tylko dla tej, że chodziło o edukacyę kobiety. Na samą opłatę lekcyj szło rocznie około trzech tysięcy złotych reńskich, to jest, więcej aniżeli intrata, jaką Kalinowa dawała. Koszta utrzymywania się w mieście pochłaniały półtora tysiąca. Wydatki nieprzewidziane wynosiły cyfrę poważną. Obrachowując to wszystko, wypadała w rezultacie alternatywa taka: albo cofnąć kobiety do Kalinowy i, powiedziawszy córce „siedź grzybie. póki cię kto nie zdybie,“ czekać

na kawalera, albo też—długi zaciągać. Pan Marcin znalazł się naraz w sytuacyi trudnej, która zmusiła go w myśli ważyć następstwa przewidzieć się nie dające. Widział przed sobą ryzyko i brał je naprzód, jako rzecz handlową. Edukacya mająteczek nadszarpnie: czy przyniesie co w zysku? Na końcu zapytania tego świeciło wielkie X; do wynalezienia tego X przedstawiał się jedynie zawód nauczycielski, któregoby się Zosia chwycić musiała w ostateczności,—zawód piękny, apostolski, ale utrapiony, z przykrościami ogromnemi połączony i wcale nie taki, jakiegoby rodzice pragnąć mogli dla dziecka jedynego. To jedno, zresztą nic! Ćwierć wieku temu, karyera kobiety, z wyjątkiem drogi artystycznej, dla niepowołanych zamkniętej, nie przedstawiała wyboru innego. Która nie posiadała fistuły w gardle, usposabiającej do wydawania tonów słowiczych; która nie miała talentu muzycznego, albo scenicznego, wymagającego edukacyi specyalnej a wcale nie naukowej: przed tą w świecie otwierało się zawodów mnóstwo w przyczepieniu się do mężczyzny. Samoistność nie istniała dla niej. Wybór nie zależał od niej. Co się z brzegu trafiło, za to chwytać należało i spuszczać się zresztą na Opatrzność. Z tego więc punktu rozpatrywane następstwa edukacyi Zosi, nakazywały panu Marcinowi zabrać corychlej żonę i córkę do domu i dać nauce za wygraną.

Lecz dla pana Marcina istniał drugi jeszcze zapatrywania się punkt. Był to człowiek przedewszystkiem sprawiedliwy; nie krzywdził nikogo: miał-że krzywdzić dziecko własne!.. i to w czem?—w tem, co człowieka uczłowiecza najbardziej; i to, dlaczego?—dlatego, że pan Marcin rezultatu przewidzieć nie może.

— Przypuśćmy—powiadał sobie—że ją z Łyczakowa zabieram i w Kalinowej do zamążpójścia konserwuję.... Wychodzi za mąż i dostaje człowieka, który Kalinowę z dymem puszcza: ona pozostaje, z mężem, z dziećmi. ale, i bez Kalinowy i bez rozumu.

We względzie tym przedstawiały się przypuszczenia same, tworząc pewien rodzaj labiryntu, do wyjścia z którego za nitkę przewodnią służyła jedynie p. Marcinowi sprawiedliwość.

Naprawiał więc sprawiedliwość społeczeństwa, utrudniającego kobiecie przystęp do świątyni wiedzy; łożył na edukacyę córki, i ile razy odwiedzał ją w mieście, zawsze jej przynosił słowo zachęty.

Zosia się uczyła, korzystała, rozjaśniała umysł, opierając wiedzę na silnej podstawie faktów doświadczonych i sprawdzonych, nie zaś na chwiejnych słupkach twierdzeń, nie mających podstawy żadnej. Im zaś więcej się nauczała, tem mocniej utwierdzała się w tej rzetelnej skromności, która cechuje ludzi prawdziwie oświeconych, uczyła się

bowiem, nie dla popisów, nie na okaz, ale dla tego, że do nauki parła ją potrzeba wewnętrzna, ta potrzeba, która ludzkości służy za podnietę do kroczenia drogą postępu, która w legendowej matce rodzaju człowieczego wzbudziła apetyt do owocu drzewa wiadomości dobrego i złego.

Uczyła się dziewczyna.

W Łyczakowie skończyła lat trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście nareszcie. Z dziecka zrobiła się panna, i to panna nie lada jaka. Wyrosła pięknie, rozwinęła się wspaniale. Ani chemia, ani fizyka, ani anatomia porównawcza, ani fizyologia nie przeszkodziły naturze w doprowadzeniu osobistości jej do wzrostu naturalnego a zupełnego, nie wykradły ani jednego rysu, przyozdabiającego niewiastę we wiośnie życia. We względzie tym wszystko na swojem znajdowała się miejscu, tworząc całość harmonijną, a wielce ponętną. Zosia była piękną skończenie; przedstawiała postacią swoją istotę rodzaju niewieściego idealną, służyć mogącą za podnietę do natchnienia dla rzeźbiarza, malarza, poety. Owiewał ją nawet obłok ów, który się tak ludziom w młodych dziewczętach podoba, obłok naiwności, wydzielający się w rówiennicach jej z niewiedzy, w niej—z poczucia skromności. Spoglądała na świat boży ciemno-szafirowemi oczami, nad którerni puszyły się ciemne brwi, zdobiące czoło gładkie, uwieńczone warkoczem płowym zło-

tawego odblasku. Usta miała karminowe, rozkoszne, nosek kształtny, płeć białą rumieńcem okraszoną, biust rozwinięty pysznie, kibić wyniosłą i powiewną: krótko mówiąc, taka jaką była, wystąpić mogła korzystnie w handlu na panny na wydaniu. Nie posiadała posagu łakomstwo wzbudzającego; posiadała za to liczko gładkie, które nierzadko posag zastępuje i któreby matkę niejedną zniewoliło do puszczenia córki jedynaczki na loteryę zamężcia, a to tembardziej, że, co się Zosi tyczy, posiadała jeszcze zaletę jedną, służącą w pannach za przynętę. Była — że się tak wyrażę — nawskróś poetyczną, rozmiłowaną w utworach wieszczów naszych, których kochała, wielbiła i rozumiała.

— Matematyka! anatomia! fizyologia, poezya! — ktoś z przekąsem zawołać gotów.

Na to odpowiedź taka:

Niemasz istot bardziej antipoetycznych, nad pasibrzuchów, niemających o matematyce, anatomii, fizyologii pojęcia najmniejszego. Tacy drzemią, gdy im w słuch wpadają ogniste strofy Grobu Agamemnona, ziewają przy Ojcu Zadżumionych, śpią przy Muzyce Wojskiego lub Jankiela. Antipoetyczność istotna tkwi w braku zmysłu odpowiedniego. Jak ktoś nie słyszy, dlatego że ma defekt w organie słuchu, tak znów inny nie odczuwa poezyi, dlatego że w organizmie mózgu, w systemie nerwowym, albo mu czegoś brak, albo też jest coś nie tak, jak

należy. Organizm człowieczy, znajdujący się w stanie normalnym, usposobiony jest do przyjmowania wszelakich wyobrażeń i wrażeń, jakie się przejawiły pod postacią nauki i sztuki. Najgłębszy matematyk rozumieć może malarstwo; najzawziętszemu naturaliście fizyologia, ani anatomia nie przeszkadzają do zachwycania się muzyką. Dlaczegóżby wobec nauk ścisłych poezya, będąca muzyką, malarstwem, rzeźbą, najwyższą sztuki expressyą, znajdować się miała na indeksie! Czemużby się ona jedna godzić z nauką nie miała! W rzeczy samej, tak nie jest. Zaprzeczanie poezyi prawa obywatelstwa śród przejawów ducha ludzkiego, pochodzi nie od rzeczywistych uczonych, lecz od kalek, cierpiących na defektowność organiczną. Znam dwóch uczonych zblizka, znakomitych w fachu swoim: jeden jest chemik, drugi anatom. Chemik Słowackiego całego prawie na pamięć umie; dla anatoma Pol jest półbożkiem, listy zaś tego ostatniego, pisywane do mnie z teatru anatomicznego, nawskróś przesiąkłe są poezya. Nie! Zwrót nowoczesny, nawołujący na drogę wyłącznie utylitarną, a występującą przeciwko poezyi, pod pozorem, że poezya przeszkodę wiedzy realnej stanowi, jest symptomatem chorobliwym, który przeminie. Możliwości spółistnienia naukowości i poetyczności dowodzą fakta jaknajrealniejsze: spółcześnikiem Kopernika był Kochanowski; z rąk Śniadeckich wy-

szli Mickiewicz i Słowacki. Jedno nie przeszkadza drugiemu; owszem: wiedza poezyę ogładza, podnosi, usubtelnia, wymaga od niej piękna doprowadzonego do stopnia doskonałości najwyższej, jaka się osiągnąć da zapomocą takich materyałów, jak myśl, fantazya i mowa. Oświata jest wybredną; poezya, ażeby ją zadowolnić mogła, musi być wysoką.

Bohaterka przeto nasza śmiało poetyczną być mogła i była nią w rzeczy samej. Mickiewicz ją zachwycał; Słowacki w niebo unosił; Krasińskim nalubować się dosyć nie mogła. Dostarczali jej oni chwil wypoczynku duchowego i tem samem dodawali siły w kroczeniu drogą nauki, na której przeszkód i trudności miała wiele, ach! jak wiele.

Przekroczyła zakres kobiecie dozwolony.

W siedmnastu leciech życia swego, zostawiła daleko za sobą najuczeńsze sawantki, literatki, professorki, filozofki, których Łyczaków posiadał kilka w dobrym gatunku. Były to kobiety wykształcone, a raczej wydmuchnięte ponad poziom ukształcenia niewieściego, dzięki uzdolnieniom wrodzonym, na podstawie których, sposobem chwytanym, nabyły wiadomości o tem i o owem, szczególnie zaś w kierunku historyczno-literackim. Brały biedaczki to, co brać się dawało, resztę odgadywać musiały. Odgadywanie, które ludzkość na manowce zawiodło, nie mogło i ich na prostą wyprowadzić drogę. Szły jednak, każda drogą swoją, wytyczoną

według jakiegoś modelu kobiet znakomitych. Ta udawała tę, owa ową. Jedna naśladowała wzór, wzięty z żywota narodowego; druga sprowadzała sobie wzory z zagranicy. Pracowały, pisały, drukowały, nauczały, dyskutowały, robiły co mogły, tworząc w mieście sferę oddzielną, nabrzmiałą naukowością straszną. Co w sferze tej krążyło niedorzeczności, to jednemu chyba Bogu wiadomo.

W sferę tę, z konieczności rzeczy, wejść musiała pani Marcinowa, gdy w Łyczakowie zamieszkała. Uczyniła to nie dla siebie, lecz dla Zosi, która szczególnie zainteresowała panią Eleonorę Bablewską, autorkę powieści kilku i dzieł paru filozoficznej treści. Pani Eleonora przyjęła dziecko łaskawie; dowiedziawszy się, w jakim przybywała celu, udzielała rad, przestróg i zachęty.

— O, ucz się, moje dziecko—mówiła—ucz się.... Mężczyzni odmawiają nam uzdolnień umysłowych, nadających się do przyjęcia nauki. To nieprawda; żeby zaś nieprawdy tej dowieść, nie masz na to środka innego, jeno ten, ażeby do nauki się brało kobiet jak najwięcej.

Ze słów powyższych wydawaćby się mogło, że Zosia zdobyła sobie w pani Bablewskiej protektorkę wytrwałą i życzliwą. Owoż nie. Stało się wręcz przeciwnie. Pani Eleonorze nie podobał się program naukowy Zosi. Wejrzała weń, nie zrozumiała; pojąć nie mogła funkcyj, szeregów, formuł matematyki czystej; ramionami wzruszała: nie rozu-

miała, na coby to przydać się mogło; wyobraziła sobie, że nie jest to nic innego. tylko szereg łamigłówek. wymyślonych dla nadania nauce owej cechy tajemniczości, jaka ją otaczała za czasów Magów.

— Biedna dziewczyna! — odzywała się o Zosi z politowaniem.

Gdyby otwartą była, powiedziałaby: „Nie mam o tem wyobrażenia najmniejszego, a przecie jestem kobietą głęboko uczoną — napisałam dzieło filozoficzne, tak przychylnie przyjęte przez krytykę.“ gdyby zaś jeszcze otwartszą była, to dodaćby powinna, że—byli tacy, którzy dzieło jej krytykowali. Otwarcie przeto nie powiadała, co mianowicie i dla czego, nie podoba się jej w edukacyi Zosi, tylko się krzywiła, nosem kręciła i utrzymywała, że są granice, poza które kobieta przekraczać nie powinna. są nauki, których ona tykać nie może bez „zwalania świetlanej szaty niewieściej.“

— Niech szata ta—słowa jej—jaśnieje białością: niech jej nie pstrzą hieroglify.

Kiedy zaś jej tłómaczono, że hieroglify owe są to formuły matematyczne, które, gdyby żadnego innego nie niosły pożytku, to ścisłością i konsekwentnością swoją oddziaływając na umysł, wprowadzają w myślenie ścisłość i konsekwentność. odpowiadała:

— Formą jednak zabijają treść, stanowiącą grunt myślenia, która, gdy jest, to sama już, bez gimnastykowania się po iksach i igrekach, znajdzie sobie formę odpowiednią i wcieli się w nią.

Co się odcinania tyczy, w tem pani Eleonora była mistrzynią; nikt jej nie sprostał; najbardziej kutych łyczakowskich dyalektyków w kąt zapędzała; co zaś wyrzekła, to, chociaż niejeden racyi jej nie przyznawał, krążyło jednak po kursie dobrej monety. Gdy przeto, mówiąc o Zosi, powiedziała raz, że „szkoda dziewczyny.... nic z niej nie będzie“ — wyrzeczenie to utrzymało się, otoczyło dziewczynę pewnym rodzajem światła fałszywego, krążyło latami po Łyczakowie, i wkońcu, po czterech leciech, kiedy wartość jej człowiecza do wysokiej podniosła się potęgi, do uszów jej doszło przez usta kucharki.

— Nic z panienki nie będzie—rzekła ta ostatnia, kierując z politowaniem głową na widok figur geometryi analitycznej, w których się Zosia rozpatrywała.

— Zkądże wiesz o tem?—zapytała Zosia od niechcenia.

— Zkąd? mój Boże! kiedym u p. Bablewskiej służyła, tom słowa te z ust jej sama słyszała nie raz, i nie razy dziesięć.

Zosi płomień do twarzy uderzył.—Odrzekła:

— Nie mówiła tego do ciebie.

— Do mnie nie, ale przy herbacie—powtarzała gościom tyle razy, żebym lat więcej zdrowia mieć nie chciała. I to prawda jak mi Bóg miły.... Panienka lepiejby zrobiła, gdyby zamiast z książkami się mordować, za kawalerami patrzała.

Zosia nic nie odpowiadała. Kucharka milczenie panny wzięła snadź za pozwolenie do gadania i prawiła dalej:

— Gdyby pannuńcia ino zechciała, toby za pannuńcią kawalerowie *czeredoju* chodzili.... Taka młoda!.... Mój ty mocny Boże! Ot, co to gadać długo: znam jednego takiego, i młody, i przystojny, i bogaty, coby za panniuńcię życie dał.

Kucharka w tym guście tarabaniła. Zosia milczała, pod wrażeniem przykrości, jaką sprawiło jej powtórzenie słów p. Bablewskiej.

Rozkład życia pań naszych w Łyczakowie bardzo był prosty. Wstawały rano, latem o czwartej, zimą o siódmej, spać szły nigdy później jak o jedenastej. Pani Marcinowa domowy zarząd prowadziła, na rynek chodziła, resztę czasu spędzała, bądź na assystowaniu przy lekcyach córki z robotą w ręku, bądź też na czytaniu, krzątaniu się, załatwianiu interesów, przyjmowaniu gości i t. d. Zosia przęcięciowo godzin trzy spędzała z professorami, trzy lub cztery godziny pracowała sama, zresztą grała,

czytała, z gośćmi się zabawiała, z matką przechadzki zażywała, wizyty oddawała; poświęcając chwile wolne szyciu, robótkom i krzątaniu się w domu. Czas więc, jej zwłaszcza, zapełniony był całkowicie. Dystrakcye miewała, nigdy jednak takie, któreby ją od celu odrywały.

Jedna z dystrakcyj donioślejszych spotkała ją ze strony najmniej spodziewanej, od kucharki, gdy ta jej słowa pani Bablewskiej powtórzyła.—Co tam prawiła dalej,—Zosia tego nie słuchała. Ta jednak przepowiednia, że z niej nic nie będzie, zafrasowała ją i po raz pierwszy na jutro własne uwagę jej zwróciła. Dotychczas żyła życiem iście motylem: nauki służyły jej za kwiaty; przelatywała z jednego na drugi, poiła się blaskami i wonią, gdy zaś upoić się chciała, brała do ręki jednego z poetów ulubionych i szła z nim w poezyi krainę. Nikomu nie zawadzała, nikomu wody nie mąciła; w sumieniu własnem czuła się czystą; wydawało się jej, że idzie ku przyszłości pewnej; była więc spokojną. I teraz, spokoju jej nie zamąciła troska o przyszłość materyalną, lecz o pewnego rodzaju cios zadany jej miłości własnej. Boć wyobrazić sobie nie sposób istoty ludzkiej, miłości tej pozbawionej. Posiadała ją i bohaterka nasza. Zabolała więc ją przepowiednia, do której powodu żadnego nie dała. Taż sama p. Bablewska do nauki ją niegdyś zachęcała.

— Uczę się przecie — rzekła. Więc nie do nauki odnosi się ta przepowiednia. Do czegóż?

Nie umiała zrazu, a raczej nie chciała wytłómaczyć sobie, gdy zaś zechciała to błędną poszła drogą, o tak zwany bowiem „los“ swój zahaczyła się. To się jej najpierw na myśl nasunęło. Panny w jej wieku często wychodzą już za mąż, zawsze zaś o zamężciu myślą, marzą, roją. Miała w Łyczakowie zpośród rówiennic swoich, znajomych bliższych kilka; żyła śród ludzi; czytywała zresztą powieści i romanse; zamężcie brzmiało jej w uszach ustawicznie: wiedziała więc bardzo dobrze, że w życiu towarzyskiem stanowi ono jedną z trosk najważniejszych, tak młodzieży płci obojga, jako też ludzi dojrzałych. Ten się ożenił, owa za mąż wyszła; ten się żeni, owa za mąż idzie: frazesa te powtarzały się regularnie. W trosce tej i Zosia udział brała, nigdy atoli w odniesieniu do samej siebie. Ją zajmowało co innego. Kwestyę tę uważała za obcą i teraz dopiero uwagę na nią zwróciła, wyobraziwszy sobie, że p. Bablewska nie do czego innego, jeno do niej przepowiednię swoją fatalną odniosła.

— Może też ona i ma racyi trocha — powiedziała sobie. Doprawdy, zanadtom się naukom pochłonąć dała. Przecież i ja za mąż wyjść.....

Po wyrazie „wyjść,“ nie wiedziała co powiedzieć: „mogę,“ czy „powinnam.“ Zawahała się. Zdecydowała się wreszcie na „mogę.“

— Jeżeli mogę — mówiła dalej — to należałoby myśleć o tem.

Myśleć? Cóż jednak myślenie samo pomoże?

— Moja mamo—zapytała wieczorem przy herbacie, gdy się sam na sam z matką znalazła.—Proszę też mi wytłómaczyć, jak to się za mąż idzie?

— Zkąd-że ci to do głowy przyszło? — odparła p. Marcinowa.

— Mam już lat siedmnaście?

— Masz.

— W latach moich kobiety bywają już małżonkami i matkami?

— Zdarza się to. Ja wyszłam, mając lat dwadzieścia trzy.

— Tata się o mamę starał?

— Rzecz naturalna. Starało się o mnie i paru innych.

— Tamtym mama odmówiła.... tacie zaś nie odmówiła.... i dlaczego?

— Dlatego, żem ojca twego pokochała.

— Proceder więc taki: czekać należy na starających się, gdy zaś pojawiać się poczną, odmawiać, aż zdarzy się taki, którego pokochać można....

— Mniej więcej.... to tak—odparła matka.

— Cóż, jeżeli taki, któregoby pokochać można, nie zdarzy się wcale?

— Ha.... wrazie takim—odrzekła p. Marcinowa, ramionami ruszając — wrazie takim.... za mąż się nie idzie.

Zosia głową lekko pokiwała i zamyśliła się. Przedmiot do myślenia nadawał się obszerny, jeden z owych, które, od początku uporządkowania się społeczeństwa chrześcijańskiego, zaprzątają głów tysiące i wyczerpać się nie dają. Zosia jednak czasu nie miała. Mimo to myślała; postawiła sobie jednak kwestyę tak, że się kwestya rozstrzygnęła sama. Uciekła się do teoryi prawdopodobieństw, zajmującej się szansami.

— Istnieje, czy nie istnieje szansa, ażebym pokochała?

Obrachowanie przedstawiało trudności we względzie danych pewnych. Uczuła jeno, że gdyby się trafił młodzieniec rozumny, szlachetny, zacny, toby go pokochać mogła całą duszy potęgą.

— „I w ład-by mu poszło ze mną życie“—powiedziała sobie słowami Pola.

— Czy się jednak trafi? Jeżeli nie trafi się, to, zapewne, nic ze mnie nie będzie w sensie małżeńskim; nie przestanę jednak mimo to być istotą, mającą obowiązki do pełnienia i mogącą je pełnić.

Uspokoiła się, wzięła chemię do reki, zajęła się ustępem, o którym był wykład; nadeszła godzina spania—położyła się i ze spokojnem zasnęła sumieniem.

Nazajutrz, w ciągu dnia, znalazła się w momencie pewnym sam na sam z kucharką i ta znów ją zaczepiła:

— Znam panicza jednego, coby za panniuńcię życie dać gotów.

Tym razem słowa te zafrasowały Zosię. Zapytała:

— Czemuż nie postara się poznać ze mną?

— Ba!.... Stara się, ale....

— Ale co?

— Śmiałości nie ma. Tak panniuńcię kocha, że boi się, ażeby mu panniuńcia od kosza nie dała.

— Cóż ja poradzę na to! Przecież go szukać nie mogę.

— No nie.... jednakże.... gdyby panniuńcia chciała.... I młody, i przystojny, i bogaty.

Miała Zosia ochotę zburczeć kucharkę za wdawanie się w rzeczy nie-swoje. Nie uczyniła jednak tego—nie umiała się zdobyć na odwagę. Uczucie godności własnej nakazało jej szanować godność kucharki. Zmilczała i rzecz w niepamięć puściła. Zresztą—cóż począć miała? Poskarżyć się matce? Środek ten wydał się jej niewłaściwym z tego względu, że, nie zapobiegając złemu, sprawiłby jeno przykrość p. Marcinowej, która nie mogłaby zaradzić inaczej, jak tylko przez oddalenie kucharki. To ostatnie przedstawiło się Zosi pod postacią krzywdy. Wolała przeto dla siebie samej wiado

mość o bojaźliwym konkurencie zachować i swoje dalej robić.

Od tego jednak czasu poczęły ją przykrości po przykrościach spotykać.

W Łyczakowie młodzież klass i stanów różnych miała zwyczaj napastowania kobiet na ulicy. Nie wiem, doprawdy, do jakiej zwyczaj ów kategoryi odnieść należy. Mówię o kategoryach występków: boć nie jestto co innego, jeno występek, i istnieją nawet w krajach niektórych kary surowe, wyznaczane na bohaterów, nie dających kobietom spokoju. Jabym występek ten nazwał zbrodnią, znamionującą głęboko deprawacyę, a gorszą od złodziejstwa. Złodziejstwo tłómaczyć się może potrzebą gwałtowną, zawierającą w sobie okoliczności łagodzące. Tu zaś potrzeba nie zachodzi najmniejsza, okoliczności łagodzącej cień się nie przedstawia, natomiast występuje intencya haniebna, pogardę wywołująca.

Zosia, jak długo dzieckiem była, nie tyle z tej strony dokuczliwości doznawała. Gdy jednak, jako panna dojrzała wystąpiła, przejść przez ulicę nie mogła, ażeby jej kawaler jaki, głupiej postaci, ze szkiełkiem w oku, z laseczką w ręku i z miną pieska porcelanowego, w oczy nie zaglądał i na towarzysza się nie ofiarował. Irrytowało ją to wielce i nie krótkiego potrzeba było czasu, ażeby się oswoiła z procederem, złe młodzieży łyczakowskiej

świadectwo dającym. Reklamować przeciwko temu nie mogła. Do kogóżby reklamacyę zanieść miała? Do Pana Boga chyba. Gdyby się bowiem odezwała, i, broń Boże! Amerykę, Anglię, Szwajcaryę, gdzie kobiety poszanowania doznają, na przykład przytoczyła: czyżby nie spotkała jej objekcya, wysnuta z poszanowania zwyczajów narodowych? Sprowadzanie z zagranicy złego, nie razi mędrców łyczakowskich.

Nie podobało się również Łyczakowskim mędrcom i to, że się Zosia naukom wyższym oddawała. Gdyby brzydką była, byłaby rzecz ta do przebaczenia. Gdyby była brzydką i ubogą, znalazłaby obrońców nawet, a raczej otoczyłaby ją obojętność, śród której przeszłaby przez życie niepostrzeżenie. Niktby ani zważał na nią. Ale piękna! ale dziedziczka Kalinowy! W głowach się ludziom pomieścić nie mogło, jaka-to ją mucha ukąsiła, że się uczy. Kalinowa wprawdzie, nie był to żaden majątek mogła atoli posłużyć, jako punkt wyjścia cale wygodny. Znano w Łyczakowie i w krainie całej, której gród ów za ognisko służy, historyę matki owej, co-to dwie córki miała i obie za magnatów powydawała, pomimo, że się nie odznaczały ani rodem, ani zaletami wychowania, ani posiadaniem posagów jakich takich. Kalinowa przeto miała, w odniesieniu do Zosi, znaczenie wielkie, a przytem powszechnie zrozumiałe i uznane. Panna na wydaniu,

w oprawie wioski dziedzicznej, acz małej, nie osiadłaby na koszu; gdyby zaś jeno matka pokazać ją umiała, możnaby się spodziewać, iżby podsunęli się do niej wielkich fortun spadkobiercy, z pomiędzy których wybraćby sobie mogła małżonka jakiego, sparaliżowanego na ciele i umyśle. Miała los w ręku. Droga ubita otworem przed nią stała: czemuż, zamiast iść nią, torowała sobie drogę jakąś nową? Tego jej wybaczyć nie umiano. Uważano to, jako rodzaj rękawicy, ciśniętej wszem wobec i każdemu z osobna.

Krążyły też o tem gawędki, gdy się gdzie o Zosi Kalinowskiej zgadało.

Rzucano wyraz, wielkiem oskarżeniem brzemienny: emancypowana.

Zachodziła jednak pewna w oskarżeniu tem niestosowność, czy niejasność, której zrozumieć nie umiano. Wyrażenie pierwotne o emancypantkach przeszło do Łyczakowa za pośrednictwem pism takich, jak: *Charivari*, *Journal pour rire* i t. d., które, mając za zadanie bawić publiczność czytającą, bawią też ją, wyśmiewając i karykaturując wszystko bez wyjątku. Właściwością karykatury wszelkiej jest przesada. Przesada też stała się, dla jednych modelem, dla drugich pryzmatem: kobietki pewne, które i bez tego licha warte były, występować poczęły na popisy dziwactwami różnemi nacechowane; ogół żegnać się począł od emancypacyi lewą

ręką, tem bardziej, że i pisma klerykalne, z innego aniżeli humorystyczne powodu, przeciwko emancypacyi kobiety powstały. Wydawało się to potwornością i było nią w rzeczy samej, w tych obsłonach, w jakich rzecz ta ogółowi łyczakowskiemu się przedstawiała. Publicyści, miejscowi i korrespondenci z prowincyi, niestworzone po dziennikach bajali rzeczy. Jawiło się to tak niby, jak teorya Darwina, broniona i krytykowana najogniściej przez tych, co wyobrażenia o niej nie mają. Emancypacya wystąpiła z jaskrawością karykaturalną; jednych bawiła, drugich trwożyła, wszyscy jednak zgadali się na to, że to karykatura ściśle zdefiniowana. Emancypowana powinna była pozować odpowiednio.

Zosia zaś nie pozowała wcale. Unikała wprawdzie extrawagancyi mody, ale ubierała się jak niewiasty wszystkie, w suknię długą, przyzwoicie skrojoną, w tiunikę zwyczajną, w zawsze białe i czyste manszetki i kołnierzyki, w buciki nie w buty, w kapelusz, zastosowany do formy ogólnie używanej; nie obcinała krótko włosów, przeciwnie nosiła warkocze, które, gdy je do czesania rano rozplatała, spadały jej na grzbiet i ramiona, niby płaszcz niżej pasa sięgający; nie paliła cygar, ani papierosów nawet; ręce ubierała w rękawiczki, w ręku nie nosiła szpicruty, ale albo parasolkę, albo deszczochron. Słowem, nic w niej emancypacyą nie

trąciło, dlatego też, gdy ten wyraz w kółku dobrych znajomych u państwa Szawelskich rzuconym został, a rzuconym przez p. Kalasantego Klerzyńskiego, wnet ogólna powstała protestacya:

— A gdzież!.... a nie!.... podobieństwa najmniejszego!....

Pan Kalasanty uśmiechnął się, głowę przekrzywił, przeczekał aż burza protestacyj przeminie, i odrzekł:

— Powiadam asaństwu, że tak jest....

— Dziewczyna uczciwa! — odezwał się p. Szawelski.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza bynajmniej... Bywa emancypacya jawna i emancypacya zakapturzona. Ta ostatnia stokroć jest niebezpieczniejsza od tamtej. Cóż bowiem tamta? Arlekinada czysta, która, jak przyszła, tak odejdzie, dotykając zepsuciem to tylko, co zepsutem jest... Ale ta... ta... zakapturowana. O! ta niebezpieczna.

Nazwa emancypacyi zakapturzonej utrzymała się i poszła w kurs pomiędzy ową młodzież, która tego jest zdania, przekonania, że żart stanowi oś, około której obraca się świat i wszystko, co na nim. „Emancypacya zakapturzona“ podobała się jej wielce. Dalejże roznosić wynalazek ten i wywracać na nim koziołki dowcipów, niesmaczniejszych jedne od drugich; że zaś odnosił się on do kobiety, która wykradła się niejako ze sfery życia na żart

na nią przeto zwróciła młodzież uwagę, baczniejszą niż na każdą inną. Ten był powód, dla którego Zosia, od czasu jakiegoś podległa napastowaniu szczególnie natrętnemu. Była w tem i ciekawość i zemsta: ciekawość z zakapturzenia pochodząca, zemsta, wywołana postawieniem się dziewczyny wobec społeczeństwa, mającego pojęcie o oświacie niekoniecznie jasne, zapatrującego się na naukę jako wilk na gwiazdy i praktykującego moralność *sui generis*, nie nader, zaprawdę moralną.

Rozpoczęły się gonitwy na szeroką skalę, z powodu których biedna dziewczyna nieraz gorzko, na osobności, zapłakała. Nie opowiadała się jednak matce. Cóżby matka poradziła! Starała się wychodzić jak najrzadziej; wychodząc, woalką twarz sobie osłaniała; oglądała się, chodziła prędko: pomagało to niewiele—jednakże pomagało.

Razu pewnego, zabawiwszy dłużej nieco niż zamierzyła, w gabinecie mineralogicznym, studyując teoryę krystalizacyi, powracała zmrokiem. Do przejścia miała śródmieście, ulic parę ludnych, dalej długą ulicę wyprowadzającą do alei szerokiej, będącej rodzajem bulwaru, i po przejściu bulwaru tego, pozostawał jej jeszcze drugi kawałek ulicą przedmiejską, z której schodziło się w bok do domku zamieszkałego przez nią. Przy wyjściu z zabudowania, w którem się gabinety mieściły, uderzył ją widok jegomości jakiegoś podżyłego. Wydało

się jej, jakby to był znajomy jakiś. Ponieważ jednak jegomość ów z osobliwym zbliżał się wprost do niej uśmiechem, zapuściła szybko woalkę i z książką w jednej a parasolką w drugiej ręce, puściła się śpiesznym krokiem ku domowi drogą najkrótszą. Przechodziła mimo cukierni, przed którą, w ocienieniu krzewów egzotycznych, siedzieli goście przy stoliczkach okrągłych. Za ukazaniem się postaci jej, od jednego ze stoliczków, zajętego przez czterech młodych ludzi, zerwał się jeden. zawołał do trzech innych: o!... ona właśnie!...“ pochwycił laseczkę i rękawiczki i ruszył za nią. Zosia nie dostrzegła ruchu tego, ponieważ dokonał się on po za jej plecami; nie oglądała się, pośpieszała, wybiegła w aleje i dościgniętą została przez młodzika. W alejach latarnie paliły się rzadko; przechodniów prawie nie było; zmrok od drzew panował większy niż w miejscach otwartych. Zosia, usłyszawszy towarzysza tuż obok siębie, kroku jeno przyśpieszyła, mimo to nie odbiegła od niego i nie mogła nie usłyszeć wyrazów następujących, które jej urywkowo w słuch wpadały:

— Panienko piękna! nie godzi się człowieka uczciwego na taki wyciągać kurs!... Biegnę, ledwo ducha nie wyzionę! „Stój, poczekaj, piękna dziewko!...“ Słówko jedno!..... Idzie o zakład gruby!.... Stawka angielska, jak na wyścigach konnych!....

Stój, słóweczko jedno!.... wytłómaczę ci sytuacyę!... inaczej!...

Zosia, uchodząc, przebiegła tymczasem naukos aleję i dostała się na chodnik przeciwległy. Miała jeszcze kroków ze sześćdziesiąt do wylotu ulicy przedmiastowej. Śpieszyła, celem przebiegnięcia przestrzeni tej, gdy nagle uczuła rękę męzką pod ramieniem swojem. Szarpnęła się, odskoczyła i parasolkę do góry podniosła.

— A! najpiękniejsza!—zaczął napastnik, podnosząc laseczkę w celu odparowania możliwego ciosu. Ofiarujesz mi pojedynek.... Tnij śmiało!...

— Proszę pana!— odezwała się Zosia, opuszczając parasolkę, którą, poznała, bronićby się nie mogła. To niegodziwie ze strony pana!

— Cóż niegodziwego w tem, że chcę tylko pocałować ciebie?

— Niech pan odstąpi—odparła dziewczyna, dodając do słów giest rozkazujący.

— Nic z tego nie będzie! trafiłaś na wielbiciela wdzięków twoich namiętnego i upartego.

— Będę o pomoc wołała.

— Wołaj.... skrzyczysz się, i nim pomoc jaka nadbiegnie, będzie już po wszystkiemu!

— Panie!—krzyknęła—precz!

Mineralogią z siły całej napastnika w twarz uderzyła, to atoli nie powstrzymało go od objęcia ramieniem kibici jej. Szarpnęła się, odskoczyła, ręki

jednak wydrzeć nie mogła i już usta otwierała, celem szukania w krzyku ratunku, gdy nagle ratunek pojawił się sam, pod postacią jegomości jakiegoś, spuszczającego niespodzianie na głowę młodzika cios laską potężny. Zaatakowany znienacka młody człowiek, puścił Zosię i zwrócił się. Zamiarem jego, zapewne, była obrona, lecz czasu nie miał do takowej. Uderzenia laską sypały się gradem na ręce nie ręce, głowę, nie głowę, twarz nie twarz; nieznajomy grzmocił w milczeniu, trzymając się od młodzieńca w odległości takiej, ażeby mu ten przeszkodzić nie mógł. Młody człowiek miotał się, nagle jęknął przeraźliwie:

— Ojoj! oko! oko moje!

Nieznajomy laskę spuścił. Młodzieniec dłoniami twarz sobie zasłonił i o drzewo się oparł. Nieznajomy przystanął na chwilę. Jak się zdaje, zamierzał, wysapawszy się nieco, udać się drogą swoją dalej, gdy mu o słuch następujące obiły się wyrazy:

— Wybiłeś mi oko, nikczemniku!

— Julek!—krzyknął jegomość z laską—to ty?

— Pan Kowalski?

— No widzisz, co za spotkanie! Trzebać to było!

— A tak! czy trzeba było? Chciałem zabawić się jeno.

— Kosztem cudzym.

— Zkąd cudzym!

— Cześć dziewczyny, która cię nie upoważniła do napastowania jej na ulicy.

— Byłoż, słówko rzec.

— Najpierw, nie spodziewałem się, że to ty, powtóre, to oko? cóż oko?—zapytał z troskliwością.

— Oko. Czy ja wiem! Mój Boże!—odrzekł młodzieniec.

Odjął dłonie od twarzy skrwawionej; p. Kowalski podszedł blizko, wziął głowę młodzieńca w dłonie, przypatrywać się jął czołu, dotknął się złekka palcami do prawej jamy ocznej, i:

— Hm—odezwał się—zdaje się, w rzeczy samej, jakby oko wyskoczyło.

— O! panie Kowalski! — zawołał młodzieniec, głosem żalu głębokiego i wyrzutu gorzkiego.

— Cóż ja winien temu, moje życie—odrzekł stary nauczyciel. Stało się!

— Pozostanę więc bez oka?

— A no, możesz sobie szklanne kazać wstawić....

— Dziękuję za radę, a! wypadek na gładkiej drodze.

— Nie na gładkiej, kochanie, o! nie na gładkiej—odparł stary, zostawiając Julka losowi własnemu, i udając się w drogę swoją.

Julek, jak się domyśleć łatwo, nie powrócił do cukierni, aby pochwalić się przed przyjaciołmi czynem

heroicznym. Puścił się aleją, trzymając się w cieniu; spotkawszy pierwszego próżno jadącego fiakra, zawołał go i kazał się wieźć na ulicę Pańską, pod numer 15.

Ulica Pańska należy do tej części miasta, którąby nazwać można *Chelsea* łyczakowską. Domy na niej nie stoją w szeregu ościennym, lecz każdy z osobna, otoczon przestworem dostatecznym ma podwórze z przodu, ogród z tyłu i pawilony z boku. Dom pod numerem 15 wyglądał na pałacyk gustowny, w stylu przypominającym nieco włoski. Wznosił się w głębi podwórza, odgrodzony od ulicy osztachetowaną baryerą, u dołu podmurowaną, u góry połyskującą złocistemi grotami. Na środku podwórza widzieć się dawał trawnik okwiecony. Za pałacykiem rozlegał się ogród niewielki, starannie utrzymany, a posiadający i szpalery, i gaiki, i altany, i gazon i wodotrysk, i posągów kilka. Każdy z mieszkańców Łyczakowa wiedział, że pałacyk ów, było to mieszkanie baronowstwa Homońskich. pieszczochów fortuny, pozwalającej im żyć, nie jak można, ale jak się chce.

Pałacyk był baronowstwa mieszkaniem, ale chwilowem i dorywczem. Część większą roku, niekiedy rok cały, pozostawał na opiece sług kilku, obowiązanych utrzymywać go ustawicznie w stanie pogotowia do przyjęcia w mury swoje, bądź barona, bądź baronowej, bądź też baronowstwa obojga

z progeniturą, składającą się z syna i dwóch córek. Wraz z państwem przybywały pieski, papugi i małpy, w których pani baronowa rozmiłowaną była tak dalece, że się z niemi nie rozstawała nigdy. Przybycia państwa nie zapowiadały nigdy żadne znaki na niebie, żadne fenomena meteorologiczne, ani też żadne listy ani telegramy. Spadali zazwyczaj niespodzianie do domu własnego, jak do oberży, bawili czas jakiś i odjeżdżali. Krążenie ich po świecie przyrównaćby można do krążenia komet pewnych, przez astronomów niezbadanych jeszcze: podlegać musiało prawu jakiemuś — jakiemu jednak?—pozostawało to zagadką niezbadaną. Ścigali marę jakąś; mieli interesa jakieś; spieszyli dokądsiś—spieszyli wciąż i wciąż, i w krążeniu swojem pojawiali się niekiedy w konstellacyi łyczakowskiej. Bez ojczyzny, bez ogniska, bez obowiązków, bez niczego! Dla pani baronowej *patria* nie była *ubi*, *ibi bene*, ale tam, gdzie były jej pieski, papugi i małpy, to jest, w wagonie kolei żelaznej, w dyliżansie pocztowym, w numerze hotelowym, w pałacu własnym, w chatce nawet pustelnika. Baron i tego nie miał przywiązania. Baronówny nie wiedziały, dokąd dążą—trzymały się matki i za nią ciągnęły. Młody baron—był to ów Julek, któremu, jego niegdyś guwerner, pan Hugon Kowalski, oko wysadził.

Wyszedł był piechotą nad wieczorem; powrócił fiakrem wieczorem. Pojawienie się fiakra nie wywołało służby do otwierania podwoi i przyświecania na schodach. Huknąć musiał:

— Jest tam kto?

Wyskoczyło wnet lokai dwóch w rękawiczkach białych.

— Baron?—zapytał.

— Jaśnie pan, proszę jaśnie pana, u siebie.

— Pani baronowa?

— Jaśnie pani, proszę jaśnie pana, nie wróciła jeszcze z jasnemi pannami i z pieskami.

Lokaje, odpowiadając, szeroko mieli otworzone oczy. poznawali bowiem młodego barona po głosie, nie zaś po obliczu, które, licho wie do czego, podobnem było, umazane krwią i patrzące jednem okiem. Przypatrywali się, zdumienia pełni, i poprzedzali młodego pana, otwierając przed nim drzwi, aż do apartamentu, znamionującego przybytek kawalerski. Julek wziął z rąk jednego z lokai świecę i zbliżył się z nią do źwierciadła nad kominkiem umieszczonego. Stanął, spojrzał na odbicie twarzy własnej.

— *Cré-nom de nom! cré-matin! oh, la canaille!*— przecisnął przez zęby.

Biedny człowiek łudził się jeszcze. Spodziewał się, że w źwierciedle oko odnajdzie. Nie wierzył wypadkowi, jaki go spotkał. Niestety! rzeczywi-

stość przedstawiała się mu w nagości całej, w towarzystwie guzów, sińców i matunku czerwonego. Akompaniament jednak nie obchodził go. Obchodziło go oko, którego nieobecność okiem pozostałem oglądał, a wierzyć w nią nie chciał.

Wydał odgłos, do ryczenia głuchego podobny, przeszedł się razy parę po pokoju i:

— Wody!—zawołał.

Lokaje, którzy tymczasem pozapalali lampy, kandelabry i światła wszystkie, jakie do zapalania były, skoczyli nawet do urządzenia umywalni.

Młody baron zrzucił z siebie odzież zwierzchnią, porozpinał koszulę, ustawił się nad gotowalnią i obmywanie rozpoczął. Nie szło mu. Musiał z ostrożnością całą, wodzić gąbką po czole, policzkach i brwiach; trzeba było razy siedm wodę odmieniać; po razy siedm w źwierciedle się przypatrywał i coraz to pewniej nieobecność jednego oka sprawdzał.

— Czy to być może!—wywoływał.

Niestety! oka nie było.

Umywanie się trwało godzinę. Wciągu czasu tego wjechała na podwórze kareta, objechała trawnik. zatrzymała się przed gankiem i turkotem swoim wywołała lokai w białych rękawiczkach czterech. Z tych dwaj nieśli światła, dwaj do drzwiczek poskoczyli i takowe otworzyli. Przez otwór wysunęła się naprzód w rękawiczkach duńskich

rąk niewieścich para, trzymając w dłoniach pieska malusiego. Jeden z lokai po pieska ręce wyciągnął.

— Ostrożnie! na Boga, ostrożnie! — odezwał się z karety głos kobiecy. srodze zalterowany—ostrożnie! Fafi, skaleczony! oj! och! Boże! ostrożnie.

Lokaj wziął pieska, lecz, jak się zdaje, zanadto ostrożnie, trzymał go bowiem tak delikatnie, że ten trzepnął się jeszcze w ręku i na ziemię upadł. W momencie tym wyskoczyła z karety dama i do ziemi przypadła. Pochwyciła psinę, podniosła ją, do piersi ją przytuliła, wyprostowała się, w oczach miała gniew, a z ust następujące górnym tonem cisnęła wyrazy:

— Zbrodniarzu! precz z przed oczu moich!

Wnet wołać poczęła głosem strwożonym:

— Fifa! Fifa! Fifa!

— Tu, u mnie! — odezwał się dźwięczny głosik z karety. U mnie! *maman!*

— Na ręku?

— Na ręku, *maman!* szalem ją otuliłam!

— Ostrożnie, moja Lizuniu! ostrożnie, na miłość Pana Boga! Moja droga Lizuniu! trzymaj ty ją, nie powierzaj nikomu—prosiła. Ten zaś zbrodniarz—tu zwróciła się ku lokajom—ze służby precz natychmiast! natychmiast! z pałacu precz tej chwili! O mój Fafi—pieszczotliwym zaczęła głosem—mój

Fafinusiu. Fafiniusieczku, Fafiniuniusiu, cóż to za dzień, dla ciebie i dla mnie fatalny!

Wysiadła z karety panna z pieskiem na ręku, następnie wyskoczyła panna bez pieska, i pani z pieskiem na czele, panna z pieskiem za nią, panna bez pieska z tyłu, poprzedzona przez lokai drzwi otwierających, i wszystkie przesunęły się do salonu, w którym pozostały.

Pani—była to baronowa Homońska—wyglądała na lat pod pięćdziesiąt i być musiała niegdyś piękną, sądząc po rysach twarzy regularnych i po kibici smukłej. Wyraz oblicza jej zdradzał życie wyxspensowane na wrażenia duszę wstrząsające: pozostawały na niem ślady bólów; cierpień i smutków głębokich, przecierpianych w lat zmiennych kolei.

Szła, osunęła się z pieskiem na ręku na fotel i poczęła oglądać z troskliwą ostrożnością łapkę psiny, który się za dotknięciem skarżył. Za każdem psiny zaskomleniem, pani wydawała okrzyk boleści, i po każdym okrzyku przemawiała do ulubieńca, łez i słodyczy pełnym, głosem:

— Fafi, aniołku mój, życie moje. Niegodziwiec to jakiś, co ci na łapkę nadeptał. O łapusia moja! Cóż radzić? mój Boże! Boleję wraz z tobą i będziemy boleli oboje, aż ciebie boleć przestanie. Życie moje, łapeczko moja — poniosła psinę do ust i pocałowała delikatnie — tam cię nadeptali, tu zaś,

o!—tu głowę podniosłszy i zawoławszy na lokaja. zapytała: Czy ten już z pałacu wypędzony?

— Proszę jaśnie pani—odparł zapytany—on na służbie u młodego jaśnie pana.

— U młodego pana barona?

— Tak jest, proszę jaśnie pani.

— Julek dla mnie wypędzićby lokaja nie miał!— rzekła do siebie. Czy młody baron u siebie?

— Tak jest, proszę jaśnie pani.

— Czy sam?

— Sam, proszę jaśnie pani.

— Idę do niego. Zbrodnia taka bezkarnie ujść nie może.

Zerwała się z pieskiem na ręku, przeszła pokoi kilka i znalazła się wobec syna, umytego, niemniej przeto niepodobnego do Julka owego, z którym przy obiedzie siedziała. Na widok okrytego guzami i sińcami i oka jednego pozbawionego człowieka, cofnęła się, lecz zatrzymała się wnet, gdy głos jego usłyszała. Po głosie poznała syna. Julek odezwał się:

— Widzisz, mamo, jaki mnie spotkał wypadek fatalny!

— Ach! Juleczku! — odparła. — Wyobraź sobie. Pojechałam do parku i zabrałam ze sobą Fafi i Fifa. Były z nami Liza i Ira. Wysiadamy, chodzimy, Fafi i Fifa nas poprzedzają, oka z nich nie spuszczam. gdy w tem, odwróciłam się jeno na

chwilkę, i w chwili tej, słyszę ciche jęknięcie, które mi się w sercu odbiło. Odwracam się. Wyobraź sobie, Fafi śpieszy do mnie, z łapką, oto z tą łapką— tu synowi pieska pokazała — podniesioną. Ach! Julku, opowiedzić ci nie mogę, co się zemną na widok ten działo. Fafi na trzech nóżkach! nóżka jedna podniesiona, oto ta, widzisz? patrzaj.

— Mamo — zawołał młody człowiek niecierpliwości tonem—czy nie widzisz, że synowi twemu jedno już tylko pozostaje oko?

— Możesz wyobrazić sobie, co się ze mną w chwili tej działo. Chwytam Fafi na ręce, wołam na Lizunię, ażeby wzięła Fifę, biegnę do karety, wsiadamy, przyjeżdżamy, otwierają drzwiczki, podaję Fafi lokajowi, załecam mu ostrożność na miłość bożą i ten, wyobraź sobie, i ten upuszcza Fafi na ziemię! — słowa ostatnie z najwyższem mówiła oburzeniem. Upuszcza go na ziemię! — powtórzyła. Lokaj ten znajduje się na służbie u ciebie.

— Mamo—przerwał syn. Spójrz jeno na mnie i porównaj mój stan ze stanem pieska twego.

— Julku—odparła baronowa — spodziewam się, że satysfakcyi tej nie odmówisz mi, i lokaja ze służby wypędzisz.

— Ależ, mamo!

— Proszę cię o to, w potrzebie zaś—dodała z mocą—żądam, domagam się, domagam się tego ja, matka twoja.

— Odwróć-że, matko, na chwilę oczy swoje od pieska, a zwróć je na syna.

— Tyś syn mój.... ty mi satysfakcyi nie odmówisz....

— Dobrze, mamo: lokaja wypędzę.

— Jam tego pewna była!—zawołała baronowa.

— Nie mówmy o tem. Popatrz na mnie.

Baronowa zwróciła nareszcie uwagę na syna. Spojrzała na niego, zatrzymała na twarzy jego wzrok na chwilę i zapytała:

— Toż co ci się stało? guzy? sińce?

— Guzy, sińce, to nic. Ale oko.

— Oko? cóż oko?

— No, niéma go.

— Niéma go? czy to być może? — odparła, rozpatrując się w obliczu syna. Oka niéma? *C'est cependant vrai*... Tak, niéma oka. *Mais, mais, mais!* A wiesz ty, Julku, że to *facheux, trés facheux... souverainement facheux*... Ty tedy bez oka?

— Bez oka. Spotkał mnie na gładkiej drodze wypadek, fatalniejszy trochę niż wypadek pieska twego.

— Ach, Julku! nie wyobrazisz sobie, jak mnie impressionował wypadek biednego Fafi. Byłam skonsternowana, zalternowana, przejęta, śpiesząc z parku do karety, ziemi nie czułam pod sobą. Biedny Fafi, jak on się skarżył żałośnie! Natychmiast stanął mi w myśli Dandy. Mój Julu! Na dobitkę,

ten lokaj jeszcze.... Żem nie umarła, wyskakując z karety. gdym Fafi na ziemi ujrzała, to wielka łaska Pana Boga. Wypędzisz więc lokaja? — zapytała.

— Dziś jeszcze.

— Dziękuję ci, bardzo dziękuję — odrzekła głosem tkliwym. Poszlij po Bajdykiewicza, może też on poradzi ci co na oko.

— Nie przywróci mi go.

— Nie przywróci? to prawda. Jakże więc to będzie? *C'est facheux, ah! que c'est facheux.* Przyszlę tu barona, jak tylko z nim się zobaczę.

Powróciła do salonu. dokąd, w czasie jej nieobecności, przyniesiono i po dwu stronach fotelu, na którym siadywała, ustawiono dwa słupki z prątkami, po których wspinały się dwie wspaniałe papugi. Fotel zajmowały dwie ulubione małpeczki. Baron. człek szpakowaty i poważnie wyglądający, znajdował się w salonie także. Siedział, założywszy nogę na nogę i zwróciwszy oblicze do góry — zdawało się, jakoby myślał. Na wejście żony nie ruszył się, usta jeno oddał i z wielką, jak się zdawało, uwagą słuchał opowiadania jej o wypadku, jaki się zdarzył pieskowi. Skończywszy opowiadanie to. przemawiać poczęła do małpeczek, które, siedząc na poręczy fotelu, taką miały minę, jakby każdy z ust jej wychodzący wyraz

uchem łowiły. Od małpeczek zwróciła się do papug, od papug do małżonka, którego zapytała:

— Czy wiesz, że Julek oko postradał?

— Oko?—zapytał baron tonem, w którym niedowierzanie brzmiało.

— Tak, niezawodnie, postradał oko.

— Hm! rzecz oryginalna, w pojedynku chyba.

Baronówny zdziwienie i zaniepokojenie okazały, zadały matce pytań kilka, tyczących się powodów wypadku; ta atoli, nie wiedząc o takowym, nie była w stanie ciekawości ich zaspokoić, w końcu zaś i odpowiadać im nie mogła, albowiem z małpeczek jedna uderzyła Fafi po mordeczce. Nowy ten, smutny i nader wzruszający wypadek zajął baronównę całkowicie. Pośpieszyła z dobrotliwą interwencyą, okrywała pieszczotami pieska i karciła małpeczki słowami perswazyi łagodnej.

Baron, po niejakim czasie, wstał, wyciągnął się i poszedł chodem powolnym do syna, na widok którego wydał, zadziwieniem nabrzmiały, przeciągły, okrzyk:

— Aaa!

Usiadł na kanapie i nogę na nogę założył.

— Widzisz, papo?—zaczął Julek.

— Widzę. I gdzieżeś się to oporządził tak?

— Na gładkiej drodze, nieszczęście mnie spotkało.

— Gdy mi matka powiedziała, domyślałem się pojedynku.

— A! — odparł młody człowiek z przyciskiem, wykonywając ręką ruch niecierpliwość oznaczający.

— Napaść jaka chyba?

— Nie, no, tak, napaść. Wiesz, ze strony czyjej?

— Przecie?

— Przypominasz sobie owego Kowalskiego, co to był guwernerem przy mnie?

— Kowalskiego? tak, przypominam coś sobie.

— A no, owoż, jemu to mam podziękować.

— Przecież, jeżeli pamięć mnie nie myli, rozstaliśmy się z nim w komitywie wcale dobrej.

— Nie z komitywy też poszło.

— Z czegóż tedy?

— Z czego? z głupstwa, z dzieciństwa, z wypadku, z niewiedzieć czego, ztąd że p. Kowalski wyobrażeniami o cnocie niewieściej żyje w czasach przedpotopowych.

— Zaciekawiasz mnie, *cela frise une aventure*..

— Stanął w obronie niewinności.

— I to on sam, tak cię, uaranżował?

— On sam.

— Z pomocą przecież czyjąś — zauważył ojciec sentencyonalnie.

— Bez niczyjej. A! Nie radzę mu w drodze stawać!

— I tyś się pozwolił tak zmaltretować człowiekowi jednemu?

— Kiedyż spadł na mnie niespodzianie, jak sęp, jak piorun. Byłem zacietrzewiony, nie widziałem, nie słyszałem, nie spodziewałem się; a kiedym o obronie własnej pomyśleć mógł—już oka nie było. A, papo!

— Rozpowiedz-że mi porządnie; może jest to sprawa, którąby adwokatowi powierzyć można, celem dochodzenia na Kowalskim występku napaści.

— Nie. W to się wdawać nie można — odparł młody człowiek. Dochodzić na Kowalskim nie sposób inaczej, jak tylko z kijem w ręku. Rzecz tak się miała.

Tu opowiedział wiernie wszystko, jak się stało.

Baron słuchał., głową krzywił, usta oddymał i rzekł w końcu:

— Wypadek. Przeciwko zdarzeniom tego rodzaju assekuracyi niéma żadnej. Stało się. Ha! Kowalskiego nawet zaczepiać ci nie radzę, chyba nie w Łyczakowie, tu bowiem mógłbyś mieć ambaras z sądami. Cóż to jednak za jedna—zapytał—co na ciebie napaść tę ściągnęła?

— Musiałeś słyszeć o niej—odpowiedział młody człowiek od niechcenia. Po Łyczakowie nazwisko jej krąży, znaną jest atoli pod przezwiskiem Zakapturzonej.

— O, słyszałem i widziałem nawet. Nieszpetna. Przypomina Korę nieco.

— Adelę raczej.

— Tak, i Adelę. Korę jednak więcej, w dolnej zwłaszcza części twarzy, w owalu policzków, w zaokrągleniu ku podbródkowi. który u Kory narysowanym jest znakomicie. Nie uważasz tego?

— Niech tam licho porwie Korę i Zakapturzoną z podbródkami ich! — odparł Julek z przyciskiem niecierpliwości. Teraz mi w głowie nie podbródki czyjeś tam, lecz oko moje, oko!

— Cóż to pomoże, że ci oko twoje w głowie....

— Co ja pocznę!

— Poszlij po Bajdykiewicza.

— On mi oka nie przywróci.

— Ale coś przecie zaradzi. Wstawiają teraz oczy sztuczne tak dobrze, że ich od naturalnych odróżnić nie sposób. Lekarz coś o tem wiedzieć musi.

— Ha!—westchnął Julek z uśmiechem gorzkim. Oto!

— Wypadek czysty.

— Braknie tego jeno, ażeby się awantura rozgłosiła.

Baron głowę wykrzywił, usta zacisnął i oczy szeroko otworzył.

— Kowalski rozgadać gotów.

— Nie możnaby zapobiedz temu?—zapytał baron po chwilce myślenia.

— A jak?

Posłać do Kowalskiego, i milczenie u niego, bądź wyjednać perswazyą, bądź kupić za pieniądze.

— Posłać do Kowalskiego? kiedy nie wiem gdzie go szukać. Nie znam adresu jego i ani wiem: czy mieszka w Łyczakowie stale, czy też jest przyjezdnym.

— O tem dowiedzieć się najłatwiej na policyi, na poczcie, w biurze telegraficznem.

— Trzeba więc chyba posłać niezwłocznie.

Przy słowie ostatniem młody baron pociągnął za taśmę od dzwonka i lokajowi, który się wnet pojawił, dał rozkazy stosowne, tyczące się tak Kowalskiego, jako też lekarza. Po odejściu służącego, stanął przed zwierciadłem, przypatrywał się odbiciu oblicza własnego i wzdychał głęboko. Stary baron uspakajał go, perswadując mu, że gryźć się zbytecznie nie ma czem. Wypadek mu się zdarzył: wypadki zdarzają się ludziom gorsze bez porównania, jak naprzykład, postradanie obojga oczu. Pozostało mu przecież oko jedno do oglądania wdzięków niewieścich, drugie zaś wstawi się i nikt ani się domyśli, że jest jednookim. Potrzeba jeszcze ażeby na tygodni parę niewidzialnym się uczynił, czego dokazać można z łatwością, puszczając śród znajomych pogłoskę, że, znaglony interesami, wyjechać musiał niespodzianie na wieś, nie żegnając się z nikim.

Julkowi przykrość sprawiało nietylko postradanie oka jednego, ale oraz i traktowanie wypadku tego przez rodziców. Ojciec jeszcze, jako tako—interesował się wypadkiem. podawał rady; ale matki czułość cała zwróciła się na pieska, dla syna pozostała moneta zdawkowa w szczupłej bardzo ilości. Młodego człowieka zabolało to. niesłusznie jednak. Baronowa była kobieta serca; sercem żyła; rozum w niej spał snem letargicznym; tak wychowaną została—pokochała, pokochała całą serca potęgą.... pieski, małpy i papugi. Miłość jest ślepą: onaż temu winna, że ślepa owa w tę zwróciła się stronę? Gdyby się była zwróciła ku dzieciom, to kochałaby tak samo. Gdyby się była zwróciła ku mężowi, to na nimześrodkowałaby się miłość. jaka zabłądziła do piesków, małp i papug. Był to wypadek czysty: kochanie baronowej poszło nie tam, lecz tu, i pochłonęło istotę jej całkowicie, prowadząc ją przez życie drogą iście cierniową, na której się kaleczyła boleśnie. Ślady cierpienia na jej wyryte obliczu, były śladami cierpień rzeczywistych a głębokich, jakie miłość sprowadzała. Opłakiwała stratę siedmiu psin, dwóch małp i pięciu papug, razem istot czternastu, zeszłych w jej oczach i na jej ręku ze świata tego. Z tych trzy zabrała śmierć gwałtowna, okropna zwłaszcza w odniesieniu do pieska jednego, na imię Dandy, rezdeptanego w Paryżu. w *Jardin des Plantes*, przez jakiegoś

trębacza od kirysyerów. Wypadek ten baronowa ciężko odchorowała i z powodu onego nabrała wstrętu nieprzezwyciężonego do wszystkich na świecie kirysyerów i trębaczy. Mdło się jej robiło, gdy zoczyła którego, bodaj zdaleka. Inny wypadek śmierci gwałtownej był niemniej straszny. Wszystko to wstrząsało stroną jej sercową, ćwicząc miłość w tym kierunku, w którym z miejsca ruszyła. W tym też kierunku miłość jej rozwinęła się i spotęgowała: mąż i dzieci zeszły na plan drugi; nie nienawidziła ich, ale nie kochała ich bardziej, aniżeli swoje pieski, małpeczki i papugi.

Niesłusznie przeto Julek uczuł do matki pretensyę niby. Gdyby nie to, że, w tymże czasie, kiedy on z okiem wybitem do domu wrócił, ktoś w parku pieskowi łapkę nadeptał i lokaj go z rąk wypuścił, wątpliwości nie ulega, iżby się nim zajęła, nie tak wprawdzie troskliwie jak pieskami, troskliwiej jednak niż wobec obolałej pieska łapki. Tej ostatniej ustąpiło pierwszeństwa oko Julka. Tak być musiało. Wypadło to logicznie z nastroju, jaki wychowanie nadało uczuciom baronowej. Jednostronność ujednostronniać się w samej sobie musi, ogniskuje się w punkcie jednym i w takowym ugrzęza. Jest to psychicznie racyonalnem.

Julek, gdyby się nad rzeczami zastanawiać zechciał, musiałby racyonalność ową uznać. Znajdował się jednak w stanie rozdrażnienia. Miotały

nim naprzemiany gniew i żal. Lekarz odwiedził go, opatrzył, zapewnił, że oko wybitem jest na czysto, przepisał wodę do mokrych okładów i uspakajał pacyenta co do oka szklanego. Nie pozostawało nic innego jak uspokojenie przyjąć. Rozdrażnienie wszakże nie opuszczało młodego człowieka. Powodem onego był raport służącego, wysłanego w celu odszukania Kowalskiego, adresu którego nieznano, ani w policyi, ani na poczcie, ani w biurze telegraficznem.

— Pod ziemią mi go odszukaj!—krzyknął młody człowiek.

Nadaremnemi atoli były poszukiwania, tak z wieczora, w dzień wypadku, jako też nazajutrz przez dzień cały. To utrzymywało Julka w stanie irrytacyi ustawicznej, która nie przeminęła jeszcze, gdy przyszedł powód nowy i spotęgował ją. Na trzeci dzień rano, matka i siostry weszły do niego w odzieniach podróżnych, na pożegnanie.

— *Adieu*, Julku — przemówiła baronowa pierwsza—*adieu*, dziecko moje.

— Mama odjeżdża? — zapytał młody człowiek, tonem ostrym nieco.

— Nie uwierzysz, jak mi przykro rozstawać się z tobą w takiej chwili.

— Czy mamę w podróż nagła jaka powołuje potrzeba?

— Ach! potrzeba. Muszę jechać.

Wyraz „muszę“ wymówiony był z naciskiem.

— Dokąd-że to?

— Mój Boże! nie wiem jeszcze sama. Pokaże się to w Krakowie.

— W Krakowie rozchodzą się trakty—zauważył młody człowiek z przekąsem.

— Tak, tak, trakty się rozchodzą. *Adieu*, Julku, miej staranie o sobie, moje dziecko. O! jakżebym pragnęła pielęgnować ciebie! — tu łzy się jej w oczach zakręciły—i gdybym jechać *nie musiała*. Ale muszę. No, *adieu*.

Wzięła w dłonie głowę syna i pocałunek mu na czole złożyła.

— A oko twoje? - zapytała z troskliwością.

Młody baron miał głowę chustką białą nawskroś przewiązaną.

— Oko moje? Nie o oko, mamo, pytaj, lecz o jamę, która po niem została.

— O, mój Julu! jakżebym pozostać przy tobie pragnęła.

— Nie mogłabyś, mamo, podróży na później odłożyć?

— Ach! nie — westchnęła. Widzisz, jużem się ubrała, już Fafi, Fifa, Koli, Lima, Koko i Gogo w karecie. Nie mogę, niestety! No, *adieu!*

— *Adieu*, mamo.

— *Adieu*, Julu—przemówiła siostra jedna.

— *Adieu*, Julu—przemówiła siostra druga.

Jedna i druga podały mu policzek do muśnięcia onego pocałunkiem i wyszły za matką.

Dokąd baronowa wyjechała? Wiemy tylko, że sama nie wiedziała. Ze sfery jej, dziewięć dziesiątych podróżnic z tą samą świadomością celu i racyi krąży po świecie.

Tegoż samego dnia wieczorem wyjechał baron. Cel podróży był mu tak samo wiadomym, jak dostojnej małżonce jego. Pojechał.

Młody baron pozostał w zamknięciu samotnem, w którem czas upływałby mu nudnie, gdyby nie mokre okłady, które zmieniać musiał często. Trapiła go też lekka gorączka, ta atoli przeminęła prędko, bez pozostawienia następstw po sobie. W ogólności, stan zdrowia jego był pomyślny, chodziło mu jeno o jaknajrychlejsze wygojenie jamy ocznej, celem przysposobienia jej do przyjęcia ciała obcego, mającego odegrywać rolę organu postradanego. Pielęgnował się więc starannie i byłoby wszystko dobrze, gdyby nie ta okoliczność, że Kowalski był nie do odnalezienia. Najusilniejsze za nim poszukiwania skończyły się na niczem i trzeba ich było zaniechać nareszcie, jako celu nie mających. Jeżeli się rzecz roznieść miała, to już się rozniosła. Rady na to nie było. Julek przyjął fakt za spełniony i nad tem jeno rozmyślał, ażeby, po wstawieniu oka sztucznego, wysunąć się z Łycza-

kowa niepostrzeżenie i zniknąć na lat kilka z horyzontu lodomeryjskiego.

— Drapnę dokądsiś, zaszyję się i wynurzę po latach kilku, gdy nadejdzie pora zapalić sobie pochodnie hymenu.

Zamierzał ekspatryować się na czas jakiś, zatracić się w odmęcie paryzkim, wojażować, bawić się i z powrotem nie śpieszyć. Ułożył sobie rodzaj programatu ogólnego i uspokoił się zupełnie prawie, gdy, poranku pewnego, lokaj zameldował mu:

— Pan Hugo Kowalski.

— Nie przyjmuję!—krzyknął. Wiesz przecie, że nie jestem w domu dla nikogo.

— Pan ten powiada, że ma do jaśnie pana interes.

— Co za interes!

— Że się dowiedział, iż jaśnie pan szukać go po Łyczakowie kazał.

— A!... o!... niech precz idzie! Albo nie. Niech przyjdzie. Nie! No?—wahał się, wreszcie dał rozkaz: prosić.

W chwilkę później dawny professor barona próg przekraczał.

Jedno Julka oko iskrzyło się gniewem srogim.

Pan Kowalski spokojnie postawił laskę w kącie, i w jednej ręce kapelusz trzymając, drugą zaś łysinę sobie gładząc, zbliżył się do ex-ucznia swego.

Młody człowiek cofnął się o kroków parę, spoglądając z ukosa na laskę, która była narzędziem tem, jakowem spełniło się oka wybicie.

— Dowiedziałem się, żeś za mną poszukiwania czynił. Jestem—odezwał się gość.

— Hm!—chrząknął baron.

— Trudno mnie odszukać, mieszkam u przyjaciół, nie mając zaś zamiaru bawić w Łyczakowie długo, nie meldowałem się w policyi wcale.

— Kazałem pana szukać, boś mi był potrzebny, teraz jednak obejdę się bez pana.

— A może też przydam ci się na co—odparł pan Kowalski, patrząc młodemu baronowi z wyrazem uprzejmości w oczy.

— No, cóż! kiedyś rozgadał....

— Co rozgadać miałem?

— A to—tego.... ów wypadek.

— Julku — zaczął starzec tonem wyrzutu. Nie posądzaj bliźniego, gdy poszlak żadnych niema. Masz może poszlaki jakie?

— Nie gadałeś nikomu?

— Nikomu, odrzekł p. Kowalski, ramiona lekko wznosząc. Miałbym gadać o czem!

— A to co innego. Siadaj-że pan.

— Toś mnie nawet siedzieć prosić nie chciał?

— Ano. Rozgniewany i rozżalony byłem, tak dalece rozżalony, że gdybyś mi się pan wkrótce po wypadku pod rękę był nawinął, nie ręczę za siebie,

czy nie dopuściłbym się jakiego czynu, kwalifikowanego jako występek w kodexie.

— Dlatego też nie przychodziłem do ciebie, pomimo, żem miał intencyę odwiedzić się przed wyjazdem swoim z Łyczakowa.

— Miałeś pan intencyę tę?

— Nie inaczej. Chciałem bowiem....

— Przepraszam—przerwał młody baron. Przedewszystkiem ubijmy sprawę rozgłosu. Zależy mi na tem, ażeby istota wypadku pozostała w tajemnicy wieczystej pomiędzy panem, papą, a mną.

— Pozostanie, pod warunkiem....

— A, warunek. Jakiż, naprzykład?

— Ten, ażebyś przeprosił kobietę, której ubliżyłeś.

— Zakapturzoną? — zapytał młody człowiek ze zdumieniem.

— Pannę Zofię Kalinowską.

— Jakże to? nie rozumiem. Miałbym iść do niej? Jakże to?

— Ze mną.

— Pan ją więc znasz?

— Tak jak ciebie. Jak ty jesteś ex-elewem moim, tak ona jest moją ex-elewką.

— Miałbym więc przed nią czynić rodzaj *amende honorable*, powiadając jej: oto ja, com cię zaczepił i w oczach twoich zbity zostałem?

— Hm. nie. Nawet o tem wzmiankować nie masz potrzeby, lecz poprostu, wizytę jej oddać, poznać ją, i następnie, wziąć na się obowiązek bronienia jej wobec napastników Łyczakowskich wszelkiego rodzaju. Żeby rola ta nie ciążyła ci, dlatego chciałbym, żebyś z nią zabrał znajomość bliższą.

— Dlaczegóż na mnie spadł ten zaszczytny wybór pański?—zapytał młody człowiek z przekąsem niejakim.

Rzecz prosta, dlatego, że wiem, iż w gruncie nie jesteś zepsuty.... Szlachetne myśli i szlachetne rzeczy mają, a przynajmniej miały niegdyś, przystęp do duszy twojej.

— Hm — podchwycił młody człowiek, któremu może słowa ostatnie nie całkiem się nie podobały. Zakrawa to jednak trochę na dziwactwo.

— Bynajmniej. Nie widzę w tem dziwactwa najmniejszego, chyba, że bierzesz baronię swoją na seryo i myślisz, iż dla barona Homońskiego zadawanie się z panną Kalinowską byłoby postponowaniem się.

Młody człowiek ramionami wzruszył.

—Albo, że fortuna twoja—ciągnął ex-guwerner—wyrabiając dla ciebie stanowisko uprzywilejowane faktycznie, daje ci jeszcze prawo do nieszanowania ludzi. nieposiadających majątku równego twojemu.

— Nie, nie to, ale, tam podobno zachodzą excentryczności jakoweś, *de mauvais aloi*, emancypacya jakaś markowana.

— Niedorzeczności. Emancypacya? Emancypacya, jeżeli chcesz, to jest, jeżeli wyraz ten, wziąwszy go w znaczeniu słownikarskiem, odnieść zechcesz do kobiety, tak jak odnosi się go do ludu w poddaństwie, do murzynów w niewoli—jak w ogóle odnosi się go do wielkiego wyzwolenia w granicach słuszności, sprawiedliwości, prawa, porządku a nawet i przyzwoitości. Nie chodzi tu, w gruncie rzeczy, o nic innego, jak tylko o monopol, przez płeć jedną na niekorzyść płci drugiej zagarnięty, o monopol wiedzy, najpotworniejszy ze wszystkich, jakie w społeczności kiedykolwiek istniały: mamy bowiem prawo zaprzeczać kobiecie potrzeby nauki, ale nie mamy prawa nie dawać jej przystępu do takowej. Uczenie się należy do rodzaju praw ludzkich naturalnych, do takich jak oddychanie powietrzem, które nas otacza, patrzenie na firmament niebieski, chodzenie po ziemi, picie wody, branie udziału w pracy na życie. Owoż panna Zofia Kalinowska nic innego nie czyni, jeno korzysta z prawa tego, usuwając, środkami własnemi i łagodnemi, przeszkody, jakiemi monopol się otoczył. Robi ona tak: gdy ty, mężczyzna, płacisz za rogatkę grosz, ona, kobieta płaci groszy dziesięć i przechodzi. Jakież

masz prawo szykanować ją za to? Co w tem dla niej ubliżającego?

— Ubliżającego nic. jeżeli tam poza tem nie ukrywa się nic innego.

— Cóż, naprzykład?

— Mieszka sama.

— Mieszka z matką; chociażby jednak mieszkała sama, to nie byłoby w tem złego nic.

— Zawsze—wtrącił Julek—to nie uchodzi.

— Uchodziłoby, gdyby rozumiano u nas dobrze poszanowanie godności własnej osobistej, którą szanuje się w drugich bardziej, aniżeli w sobie. Ta jednak objekcya usuwa się sama przez się, przez to, że panna Zofia mieszka przy matce. Cóż dalej?

— Sama się na ulicach pokazuje.

— Bo nie posiada fortuny panien Homońskich, i nie ma za co lokai trzymać, którzyby jej towarzyszyli. Cóż dalej?

— W salonach takich nawet, jak pani Bablewskiej, odzywają się o niej z przekąsem.

— Dla tego, że nad nauką pracuje, wówczas, gdy p. Bablewska nauką się bawi.

— Słowem—podchwycił młody baron—podajesz ją pan za perfekcyę samą.

— Bynajmniej. Podaje ją za pionierkę postępu, za podróżnicę, co się wybrała w drogę sama, i jeżeli się jej uda ścieżynę przetorować, to pójdą za nią dwie, za temi dwiema cztery, za czterema ośm, za

ośmioma szesnaście—i tak dalej, w progressyi geometrycznej, aż monopol runie. Jest to konieczność, wypływająca wprost z tej konieczności, skutkiem której kobieta wyszła z zamknięcia, w jakiem ją trzymano niegdyś. Wyszedłszy z zamknięcia. pragnie wiedzy, pragnąc wiedzy, przyznaje się do niedoskonałości. Nie możesz mnie przeto obwiniać, ażebym Zosię moją za doskonałość podawał.

— Czemu nazywasz ją pan swoją?

— Bom ją przyspasabiał tak, jak ciebie. Z ciebie wszakże nie zdołałem urobić człowieka, którymbym się chlubić mógł; z niej udało mi się człowieka urobić.

— Dziękuję za komplement — podchwycił Julek półżartem.

— Ha, *suum cuique*. Zresztą, nie twoja wina. żeś się na manowce zabłąkał. Przykłady mają znaczenie ogromne. Na dziesięciu dobrych z natury, dziewięciu przykłady gubią. Przez ręce moje przeszło młodzieży dużo, coś więc ja wiem o niej.

— Pod jakimże ja pozorem do pani Kalinowskiej wejdę?

— Przedstawię cię, jako ucznia mego.

— Hm. Dziwne. Ja, com się chciał tam przez kryte wkraść drzwiczki, wejdę przez wrota główne.

— Chciałeś się wkraść?—zapytał stary.

— Ano. Opłacałem duegnę.

— Oj!—pokiwał p. Kowalski głową. Na mnie, zaprowadziłbym kontrolę publiczną do czuwania nad użytkiem, jaki magnaci z majątków robią.... Powinnibyście się wyliczać z grosza każdego, ażeby grosze wasze nie były motorami zepsucia. Mój Boże, cóż to za grosze te, na złe obracane, mieć-by można rzeczy pięknych i pożytecznych!

— Nie moralizuj tylko, p. Kowalski.

— Ot, wyrwało mi się niechcący, westchnienie.

— Kiedyż iść mamy do panny Kalinowskiej?

— Kiedykolwiek, choćby dziś.

— Nie mogę z domu krokiem się ruszyć, póki mi nie wstawią oka, któreś wybił....

— Przepraszam ciebie, Julku. Ha!—ruszył stary ramionami.

— Nie żałowałeś laski.

— Wpadłem był we wściekłość, jak mi się nigdy w życiu nie zdarzyło.

— Zkądżeś się pan tam wziął, jakby umyślnie sprowadzony.

— Spotkałem Zosię z gabinetu mineralogicznego wychodzącą, i chciałem się do niej zbliżyć, lecz ona, nie poznawszy mnie, zasłoniła się i szybko odeszła. Podążałem za nią zdaleka i nadszedłem w sam czas.

— Ażeby mi oko wybić.

— Nie wymawiaj mi tego: nie wiedziałem, że to ty. Broniłem dziewczyny od napastnika.

— Nie wymawiać trudno; pozostała pamiątka na życie całe.

— Oby to była pamiątka upamiętywująca!

Młody baron głową pokiwał i po chwilce zapytał:

— Kiedyż więc?

— Za parę tygodni chyba. Jutro wyjeżdżam z Łyczakowa, powrócę jednak niebawem.

— Powracaj pan rychło, bo i ja chciałbym wyjechać na czas jakiś.

— Na wieś?—zapytał p. Kowalski od niechcenia.

— Nie. Miałem zamiar zniknąć na lat kilka z horyzontu lodomeryjskiego, ponieważ jednak wypadek pozostaje w tajemnicy, więc znikać nie mam potrzeby. Wyjadę na miesięcy parę.

— W tropy za baronowstwem?

— Czy ja wiem, dokąd pojechała mama z pieskami, małpkami, papugami, z Lizą i Irą, albo,—dokąd pojechał papa!? Nie opowiadamy się jedno drugiemu.

Pan Kowalski okazał chęć odejścia. Julek zapytał go: czy ma pilny jaki interes.

— Pilnego tak dalece nie.

— Zostań więc pan u mnie na śniadaniu, i za karę patrz na dzieło własne.

Ukazał sobie palcem na przewiązkę ukośną.

— Owszem — odrzekł stary wesoło — przyjmuję karę, która, sprawiając mi przykrość wielką, nie pobudza mnie jednak do wstydu.

— Jakto? nie wstydzisz się pan?

— Nie. Wypadek jest wypadkiem, czyn zaś, który wypadek ów sprowadził, nic nagannego w sobie nie ma; owszem, obrona czci istoty słabej uchodzić będzie za chlubę tak długo, póki w towarzystwie ludzkiem nie zagaśnie ostatnia iskierka honoru.

Ztąd wywiązała się rozmowa o honorze, o którym Julek miał pojęcia dziwaczne. Nakryto do stołu; podano śniadanie. Gawędka ciągnęła się dalej. Po kawie czarnej i cygarach, stary pożegnał exelewa swego, a ściskając mu dłoń, te do niego wyrzekł słowa:

— No, spodziewam się jednak, Julku, że z ciebie będzie człowiek.

Julek Homoński, tytułujący się baronem nie z własnej winy, należał do grona złotej młodzieży, na mocy tego prawa i tego obowiązku. który każdego z ludzi czyni członkiem pewnej rodziny. Urodził się baronem i majętnym, w sferze swojej miał najpierwszych znajomych i przyjaciół; skoro zaś tylko wyemancypował się z pod opieki rodziców i dozoru guwernerów, natychmiast otoczony został przez ten, z pomiędzy nikczemnych najnikczemniejszy, i z pomiędzy głupich najgłupszy—gatunek ludzi, co-to panom, jako słońcom, system planetarny z osobistości własnych urządza. Szczęściem dla niego, los ślepy dał mu, na nauczyciela naj-

pierwszego. człowieka sumiennego i uczciwego. Ten zasiał w duszy jego ziarna zdrowe, które weszły, lecz następnie przygłuszone zostały przez chwasty, jakie zasiała edukacya późniejsza. Pierwiastki dobrego pozostawały w nim w przygłuszeniu. Można je było wyprowadzić do góry za pomocą pielenia, do pielenia jednak przystępować bez spółudziału samego Julka nie było sposobu. Znajdował się już, w dobie pełnoletności, w używalności rozumu i woli, zdobył sobie szewrony na polu życia bez celu, miał zasługi swoje i ów punkt honoru, który trzyma pod sztandarem, chociażby sztandar ów był już ścierką zupełnie zużytą. Z tem wszystkiem, Julek, jak człowiek każdy, nie był bez zalet, największą zaś zaletę jego stanowiła reminiscencya niejako zasad owych, jakie wlał weń p. Kowalski. Dzięki reminiscencyi tej. nie sztywniał w zasadach sfery swojej; nie odrzucał bezwarunkowo i bezwzględnie tego, co wiatr do ucha jego przynosił zpoza sfery tej granic; uznawał, że poza granicami temi coś jest, coś takiego, z czem się rachować należy. Nie rachował się, dlatego jedynie, że mu to w głowie nie było—czasu nie miał—okazya się nie nadarzała; pędził życie zanadto rozproszone; nic go nie szarpnęło w pochodzie na oślep, w którym etapy znaczyły się same przez się, za stołami festynów w dobranem gronie, za stolika-

mi gry hazardownej, w budoarach kobiet, na arenach sportu.

Zosia, gdy ją interwencya niespodziana od napastnika uwolniła, skoczyła wnet, pędem pobiegła i nie zatrzymała się, aż na ulicy przedmiejskiej, na której obecność snujących się ludzi bezpieczeństwo jej zapewniała. Zwolniła kroku, poprawiła na sobie odzież i poczuła wielką ochotę do płaczu. Potrafiła jednak nad sobą zapanować, stłumiła ochotę w sobie i z uśmiechem na ustach powitała matkę, która na nią z herbatą czekała.

— Samowar gotów, kipi od minut kilku, pozostaje jeno zaparzyć—mówiła pani Kalinowska, krzątając się około stolika. Zanim zdejmiesz kapelusz i woalkę, herbata naciągnie. Ale—dodała, patrząc na córkę—przyczesz sobie włosy trochę.

Potarganie włosów, było to następstwo szarpania się z Julkiem w alei. Gdy przed zwierciadłem stanęła, uczuła w sobie gniew, żal i wstyd, łączące się w oburzenie, znów ją opanowała ochota do płaczu i znów ją powściągnęła, przez wzgląd na matkę, której przykrości sprawiać nie chciała. Skutkiem ochoty tej i powściągania onej, zabawiła przed zwierciadłem dłużej nieco, niż tego przyczesywanie włosów wymagało. Wyszła nareszcie do saloniku, i kiedy ona próg jeden przestępowała, na

progu drugim, we drzwiach od wchodu, ukazała się postać starego nauczyciela.

— Pan Kowalski! — krzyknęła Zosia radośnie, biegnąc ku niemu i za ręce go ujmując.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki — odpowiedziała pani Kalinowska, podchodząc w celu powitania starego.

Kowalski zjawiał się jako gość pożądany. Otoczono go uprzejmością wielką i posadzono przy stole, na którym postawiono filiżankę dla niego.

— A tak też umiarkowałem, że do pań na herbatę trafię. Byłbym przyszedł razem z Zosią, którą spotkałem wychodzącą z gabinetu mineralogicznego, ale Zosia uciekła odemnie.

— To był pan!—zawołała dziewczyna i dodała: o! czemużem pana nie poznała.

Słowa ostatnie odnosiły się do napadu w alei, a sens onych ukryty powiadał, że byłaby uniknęła wypadku, gdyby miała przy sobie starego nauczyciela. Sensu tego nie rozumiała pani Kalinowska, i odezwała się.

— Nie spodziewałam się, ażeby Zosia od ludzi uciekała.

— Zabawiłam dłużej niż należało w gabinecie, i śpieszyłam do domu, nie chcąc, ażeby mama zadługo z herbatą czekała.

Tłómaczenie to dostatecznem się okazało do usunięcia materyi tej z rozmowy, jaka się przy herba-

cie zawiązała, i zwróciło tok mowy ku gościowi, przeciwko któremu gospodyni domu wystąpiła z pretensyą za niedawanie o sobie wiadomości od czasu wyjazdu z Kalinowy. Pan Kowalski usprawiedliwiał się, a raczej wykręcał argumentami na pół żartobliwemi.

— Wyznaj pan, żeś zapomniał o nas — zarzuciła mu pani Kalinowska.

— Pani dobrodziejko, sumiennie wyznania podobnego złożyć nie mogę.

— Czyny świadczą przeciwko panu.

— Gdy się obwinia kogo, brać należy w rachunek czyny, mowę i myśli. Jeżeli czyny świadczą przeciwko mnie, jeżeli świadczy mowa, to możeby myśli dały świadectwo inne.

— Cóż pan porabiał przez lat z górą sześć?

— Dzieci-m nauczał, pani dobrodziejko.

— Założyłby pan szkołę.

— Właśnie myślę o tem. Mam fundusik uciułany, zamierzam włożyć go w szkołę, i ciągnąć z niej zyski na stare lata—dodał wesoło.

Zawiązała się o szkole gawędka, z której pokazało się, że jest to przedsiębierstwo ryzykowne, rokujące korzyści w takim jeno razie, jeżeli biorący się do niego, ma wyłącznie zysk na celu, to znaczy, jeżeli edukacyę traktuje jak artykuł handlu i stosuje ją do popytu.

— Edukacya taka—były słowa p. Kowalskiego—bywa na swojem miejscu, ale nie wszędzie. Społeczność, co, jak nasza, doznała zwichnięcia na drodze edukacyjnej, błądzić musi w zakresie popytu i brać towar, nie ten, co jest rzeczywiście dobry, ale ten, co, jest chwalony jeszcze przez powagi uznane. Edukacya w czasach naszych znajduje się w tem samem położeniu, co wiara chrześcijańska w początkach swoich: toruje sobie drogę do przejścia, śród niechęci, nieżyczliwości, pojęć fałszywych i przeszkód poważnych.

Przy słowach ostatnich, spojrzał na Zosię, która oczy spuściła.

W tym rodzaju toczyła się rozmowa przy herbacie, po której pani Kalinowska zapytała gościa:

— Nie weźmiesz mi pan za złe, jeżeli oddalę się na chwil kilka? Mam interesa, których załatwienie odłożyćbym mogła na później, ale....

— Dobrym jest tylko sér odkładany, pani dobrodziejko—dokończył gość.

— Otóż to. Spodziewam się, że zastanę pana na żywej z uczennicą jego dawną rozmowie.

— My tu sobie z Zosią pogadamy.

Pani Kalinowska wyszła. Natychmiast po zniknięciu jej za drzwiami, stary wpatrzył się w Zosię oczami szeroko otwartemi, popatrzał na nią przez chwilę, wreszcie zapytał:

— I cóż, panno Zofio?

Dziewczyna podniosła na niego oczy, w których świecił zafrasowania wyraz.

— Uczymy się?

Zosia westchnęła.

— I spotykamy się z przykrościami bez liku.... nieprawdaż?

— Ach! panie — odrzekła dziewczyna, rękę podnosząc.

— Jakież przykrości dokuczają ci najwięcej?

— Te, że spokojnie przejść przez miasto nie mogę.

— A! rzecz, doprawdy, nie do przebaczenia. ażeby miasta nasze były, jak trakty owe, któremi się puszczać nie można bez eskorty, albo jak morza niegdyś, napełnione statkami korsarzy. Korsarstwo zepsucia jest równie, jeżeli nie bardziej, szkodliwem, niż polityczne lub handlowe.

— Wyobraź pan sobie, co mnie spotkało przed herbatą.

Opowiedziała wypadek, znany doskonale Kowalskiemu, który wszakże wysłuchał opowiadania z uwagą, jak rzeczy nieznanej.

Spotkało mnie to po raz pierwszy — kończyła—od czasu jednak jakiegoś jestem jakby na prześladowanie wystawioną. Nie zważałam zrazu na to, ale, po wypadku dzisiejszym, nie wiem sama co począć. Nie mówiłam mamie nic; wstyd mi skarżyć się przed nią i przytem nie chciałabym jej

przykrości sprawiać. Przebrała się atoli miarka nakoniec.

— Uhm — machnął stary ręką. Nie zważaj na to. Staraj się nie zapóźniać w gabinetach.

— Kiedyż, bo i we dnie nie jestem od przykrości wolną.

Stary się zamyślił, po chwili zapytał:

— Czy nie dostrzegasz ze strony professorów zmiany jakiej w usposobieniu względem ciebie?

— Jeszcze też! nie, tego nie dostrzegam. Dostrzegam jeno....

— No? cóż? — zapytał p. Kowalski. widząc. że dziewczyna namyśla się, czy waha.

— Dostrzegam coś, nakształt wstrzemięźliwości w udzielaniu mi objaśnień, tak że, gdyby nie książki. nie jeden punkt w nauce pozostałby ciemnym dla mnie.

— Wiesz zkąd to pochodzi?

— Nie wiem—odparła dziewczyna.

— Z dwóch powodów. Najpierw, professorowie są ludźmi ułomnymi, często sami nie wiedzą i objaśnienia udzielić nie zdołają; powtóre, osobliwość ucznia wprawia ich w pewien rodzaj pomieszania: nawykli mieć do czynienia z uczniami płci męzkiej. znaleźć się nie umieją wobec panny na wydaniu, zadającej im zapytania, odnoszące się nie do wydania, lecz do nauki. Przesąd, moja Zosiu. to potęga,

z którą wiedza, ta druga potęga, zanim ją złamie, długo pierwej mocować się musi.

— Zdaje mi się również — podchwyciła Zosia — że p. Bablewska przestała być łaskawą na mnie!

— No? zapytał p. Kowalski.

— Kiedyś radziła mi, żebym próbowała sił swych na polu poetycznych i powieściowych utworów.

— Cóż ty na to?

— Odmówić musiałam, najpierw, dla braku czasu, powtóre, dlatego, że powołania w sobie nie czuję. Pisarstwo wydaje mi się rzemiosłem, wymagającem, jak każde rzemiosło zresztą, dwóch rzeczy: talentu wrodzonego i przysposobienia odpowiedniego. Gdzie jest jedno, a drugiego brak, tam lepiej do autorstwa się nie brać.

— Świetnie! znakomicie! — zawołał p. Kowalski uradowany. Społeczność nasza, w niewieściej swojej połowie, wymaga nie autorek, ale kobiet oświeconych. Oświecenie samo z siebie autorstwo wyda; będzie to następstwo konieczne, nieodzowne. Odpowiedź twoja odmówna, dana pani Bablewskiej, tłómaczy dokładnie powód, dla którego pani ta, autorka, ale nie oświecona, nie jest na ciebie łaskawą. Niech cię to jednak nie zraża.

— O! panie Kowalski — odrzekła młoda dziewczyna—gdybym się zrażać miała, tobym już dawno do Kalinowy wrócić musiała. I czytam i słucham ustawicznie naganę postępowania mego.

— Odwagi! odwagi! Oświata wystąpiła pierwotnie pod postacią monopolu, znajdującego się dziś w fazie drugiej: zmonopolizowało ją było najpierw duchowieństwo i broniło też monopolu swego do upadłego, zanim go odstąpiło na rzecz płci mezkiej. Obecnie płeć mezka broni monopolu zawzięcie. Należy to uwzględnić i liczyć na pewne, na potop dowodów tak poważnych jak dowcipnych, głębokich i płytkich przeciwko potrzebie nauki dla kobiety.

— Ja-bo—Zosia na to—wobec dowodów, o których pan powiada, uczę się z pociągu, z zamiłowania, ale nie w uznaniu potrzeby.

— Hm—mruknął Kowalski. To samo jota w jotę działo się z jednostkami płci mezkiej, w czasach kiedy monopol nauki znajdował się w rękach duchowieństwa. Uczono się z pociągu i z zamiłowania, nie zaś z potrzeby, która tyczyła się wyłącznie sług kościoła.

— Ale, ja-bo nie wiem, co ja z nauką zrobię. Gdybym się uczyła dla fachu jakiego, dla jakiejś specyalności technicznej.

— Niestety! żadna jeszcze specyalność nie jest na rozporządzenie twoje (czytelnik pamięta, że słowa te odnoszą się do epoki z przed roku 1860). Spodziewać się należy, że tak nie pozostanie na zawsze, gdyby zaś pozostać miało na długo, na bardzo długo jeszcze, to zważyć potrzeba, że ukształcenie ogólne jest to także w swoim rodzaju

specyalność, przydatna zawsze, nawet obok ukształcenia technicznego, które samo przez się jest rzemiosłem. Można być doskonałym inżynierem, mechanikiem, lekarzem, jurystą,—a głupim, z przeproszeniem twojem, jak nogi stołowe. Ukształcenie ogólne niezmiernie jest potrzebnem i ważnem w życiu obywatelskiem zwłaszcza, w życiu tem właśnie, do którego powołaną jesteś.

Zosia ramionami wzruszyła. Wiedziała, że ma Kalinowę za sobą; nie wiedziała jednak, że w Kalinowej, z roku na rok, dług na dług wsiada, firmowym zaś niejako długów owych tytułem jest: panny Zofii edukacya.

W chwili tej weszła matka. Gawędka przerzuciła się na materyę inną. Pan Kowalski, dla pory spóźnionej, zabawił już nie długo; złożył paniom życzenia dobrej nocy; obiecał powrócić jeszcze; żegnając się zaś powiedział do Zosi z naciskiem:

— Odwagi, odwagi.

— Odwagę będzie ona miała — mówił do siebie, idąc w odwrotnym kierunku tą samą drogą, którą przyszedł. Czyby jednak nie dało się, ulżyć jej jako?

Myśląc a rozmyślając nad tem, szedł powoli, stukał laską po kamieniach chodnika, zatrzymywał się niekiedy, głowę ku niebu podnosił i kiwał nią, znów szedł, aż dotarł do owego w alei punktu, w którym interwencya jego tak się przydatną okazała.

— A!—odezwał się tonem oburzenia skoncentrowanego. To przecie jest zakałą po miastach naszych! Społeczność poręcza niby bezpieczeństwo osób. Otóż to bezpieczeństwo! Lada chłystek napada bezkarnie kobietę, w celu wydarcia jej skarbu najdroższego—czci.... i to, przez zabawkę.... Nie napadałby jej, gdyby miała lokaja za sobą. O! moralności, fabrykowana podług recepty.... O! honorze, służący do parady.

Rzuciwszy te dwa wykrzykniki, pociągnął stary dalej, dostał się do śródmieścia, i przechodząc mimo cukierni, która stolikami trotoar zastawiła, pomyślał sobie, że dobrze-by było wychylić szklanicę wody sodowej z sokiem malinowym.

— Orzeźwiłoby mnie to—rzekł do siebie.

Wszedł poza jeden z krzewów egzotycznych, znalazł krzesło próżne i usiadł przy stoliczku, stojącym tuż obok stolika, otoczonego przez trzech nieznajomych mu młodych ludzi. Kazał podać sobie wody z sokiem, nacisnął musującego napoju do szklanki, pociągnął haustów parę i przybrał tę postawę odpoczywania, jaką w podobnem położeniu przybiera ze śmiertelników każdy. O słuch jego odbijały się wołania i urywki rozmów różne. Słuchał, nie słysząc, a raczej uwagi nie zwracając, gdy w tem uszy nagle nastawił. Siedzący obok niego młodzieniec wymówił nazwisko Julka Homońskiego.

— *Ah ça!* — powiadał. *Il nous a planté là*.... za długo trochę....

— Umowa stoi.... czekać aż wróci—rzekł drugi.

— Pokazuje się, że znalazł drogę do niebogi—dorzucił trzeci.

— To prawda — odrzekł pierwszy — inaczej.... gdzie i po co bawiłby tak długo? Czekajmy więc, niéma rady.... pomimo, że jakoś to nijako czekać, myśląc, że on tam szczęśliwy.... Śliczna-bo to dziewczyna!

— Śliczna i nieprzystępna.

— Ph—wtrącił któryś—droży się, jak zwykle, gdy się ma dobry na zbyciu towar.

— Bysio jednak—wtrącił inny.

— Bysio! wierzysz? jakbyś nie wiedział, że Bysio nie stąpi, żeby nie zełgał.

— Zaręcza wszakże, pod słowem honoru.

— Musiała go jednak ta sztuka dyable kosztować.

— Nic nie wiem o Bysiu i ręczyć za niego nie myślę, ale, co do Julka, pewien jestem, że swego dopnie....

— Już dopiął, można go będzie śmiało przez połę witać.... Dogodna-bo mu się nadarzyła pora, o zmroku. Jam jej nie spotykał nigdy inaczej, jak rano.

— A ja, rano i około południa—rzekł drugi.

— Ja zaś—odezwał się trzeci—doścignąłem ją wieczora pewnego w alei, ale dyabli nadali jakąś

spacerującą małżeńską parę; ona do niej przysłusowała i wrócić musiałem z nosem na kwintę.

— Hm, hm:—chrząknął Kowalski, ściskając w ręku laskę i rozważając: czyby z niej znów użytku właściwego nie zrobić?

Snadź jednak inaczej się namyślił; odsapnął i słuchał dalej, głową jeno kiwnął.

— A jeżeli Julek nie przyjdzie dziś wcale—rzucił jeden z młodzieży.

— Przyjdzie— odrzucił drugi— dał słowo, a on, co do słowa, *ferme*....

— W tym razie, wyjątkowo, złamać słowo może. Zdarzają się wypadki, szczęście oślepia.

— Szczęście go nie oślepiło, jeżeli to, pomiędzy panami dobrodziejami—wtrącił Kowalski—o baronie Juliuszu Homońskim mowa. Ale, w rzeczy samej, zdarzył mu się wypadek.

— Jaki? — zapytali razem trzej młodzi ludzie, zwracając się nagle ze zdziwieniem ku staremu człowiekowi.

— Wypadek. Wypadki wszelkie pod jedną podciągnąć się dadzą kategoryę.

— Pod jaką? — zapytali znów razem i znów ze zdziwieniem.

— Pod kategerye zdarzeń nieprzewidzianych, burzących najlepiej ułożone kombinacye.

— Znasz pan barona Juliusza?—zapytał jeden.

— Jak kieszenie własne.

— Zkąd wiesz, że go spotkał wypadek?

— Widziałem go przed godziną, w chwilkę później, jak się z panami dobrodziejami rozstał.

Po francuzku jeden z młodzieńców udzielił kolegom domysłu, przypisującego Kowalskiemu funkcyę niekoniecznie zaszczytną: Kowalski brwi zmarszczył, chrząknął i uśmiechnął się.

Chrząknął też i z młodzieńców jeden, zwrócił się przez pół do Kowalskiego, przybrał pozę, wywrócił się w krześle, nogę prawą na kolano nogi lewej sobie założył i zaczął:

— Wypadek tedy, hm, jaki barona spotkał jest natury?

— Czysto prywatnej — dokończył Kowalski — i wielce dla niego pożądany.

— Nie mógłbyś pan i mnie podobnego sprepa-rować?

— I owszem, z gustem, tylko na osobności....

— Rozumie się nie przy ludziach....

— Jeżeli panu dobrodziejowi bardzo o to chodzi.

— O! bardzo mi chodzi, i nie mnie tylko samemu, lecz i wielu innym.

— Radbym z duszy usłużyć panom dobrodziejom tak samo, jak usłużyłem baronowi, chciałbym jednak znać pobudki, które panami powodują.

— Pobudki proste i naturalne. Dziewczyna wesoła *en vogue*, akcye jej stoją wysoko, idą w górę, amatorowie się cisną.

— Proszę pana dobrodzieja, hm? bo to ja tego nie rozumiem dobrze. Zkąd się to wzięło, że panowie tak się nie do innej, lecz do tej zwracacie dziewczyny?

— Piękna, to raz; umiała się postawić.... to dwa; uczona.... to trzy. Widzisz pan, dziewczyna uczona, jest to coś oryginalniejszego od wszystkiego, co płeć piękna dotychczas wymyśliła w celu usidlenia nas biedaków.

— Hm — mruknął Kowalski, niby podkreślając wyrazy ostatnie.

— Usłużysz więc mi pan, jak Julkowi?

— Najchętniej, panie dobrodzieju, daj mi pan jeno sposobność.

O?—odparł młodzieniec. Sposobność sprowadź pan sam.

— Widzisz pan dobrodziej—odrzekł Kowalski— ja jestem od usługiwania w razie danym. Baronowi, naprzykład, sposobności nie sprowadzałem, alem mu usłużył co się zowie....

— Za wynagrodzenie?

— Nie panie. Zupełnie *gratis*.

— Z przyjaźni chyba?

— Hm, i to nie. Zdarzyło się, pośpieszyłem z usługą.

— Znasz go pan przecie, jak powiadasz.

— Doskonale, nie od dziś. Widziałem się z nim

przed godziną i mogę panów dobrodziejów zapewnić, że go się nie doczekacie tego wieczora.

— Rozkoszuje!—odezwał się jeden.

— O tak! niezawodnie, rozkoszuje.

— Zasadziła go uczona do chemii.

— Do optyki raczej, no i posiedzi też sobie. Tymczasem zaś—dodał wstając—dobranoc panom dobrodziejom!

Wyszedł z poza krzewów egzotycznych na ulicę i pociągnął ku kwaterze, którą miał u przyjaciół. Idąc, znów rozmyślał. Od młodzieży, co na powrót Julka oczekiwała, dowiedział się wiele. Poznał, że uczennicę jego otacza kabała, remontowana w tym celu, ażeby ją skompromitować, o tyle w oczach świata, o ile w oczach jej własnych. Jak się kabała ta urządziła: czy nastawiła ją jedna ręka, czyli też wysnuła się z gadaniny ogólnej—w to nie wchodził. Dostrzegł istnienia jej, tego było dla niego dosyć, ażeby się zająć żywo położeniem istoty najniewinniej w świecie na prześladowanie wystawionej.

— Oto!—powtarzał, krocząc powoli. Oto się zebrała! Cóż tu robić? jak zaradzić? Pod opiekę-by ją czyjąś oddać.

Przyszła mu najpierw na myśl pani Kalinowska. Odrzucił to wnet jednak, jako rzecz niepraktyczną. Pani Kalinowska miała funkcyę swoją, która jej czas zabierała i która-by niemało na tem ucierpiała,

gdyby przyłączyła się do niej funksya strażniczki przybocznej przy osobie córki. Zawadzałoby to jej, zawadzałoby niemniej i Zosi. Matka mimowolnie krępowałaby ją w ruchach, wymagających na drodze naukowej swobody jaknajwiększej. Przyszedł mu następnie na myśl p. Marcin. Myśl tę atoli odrzucił prędzej jeszcze aniżeli poprzednią. Znał interesa Kalinowy i domyślał się, że edukacya Zosi pochłania i intratę z wioski całą i coś jeszcze nad to—co p. Marcina do gleby przykuwało. Zatrzymał się dłużej nieco nad pomysłem, który, jak mu się zrazu wydało, rozstrzygał kwestyę na ten sposób, w jaki Aleksander Macedoński rozwiązał węzeł gordyjski.

— Kupię rewolwer—rzekł do siebie—i nauczę ją obchodzić się z takowym. Gdy ją kto napadnie, niech bez ceremonii w łeb pali i rzecz skończona. Jeżeli się w ten sposób pozbędzie jednego, to z pewnością nie posunie się drugi i młodzież złota, srebrna, pozłacana, posrebrzana, pobielana i pokostowana da jej raznazawsze pokój czysty. To sposób doskonały!

Sposób ten atoli doskonałym się mu wydawał tak długo, póki spać nie poszedł. W łóżku, rozmyślając nad nim, przedstawił sobie jednego z trzech młodzieńców, z którymi przed cukiernią rozmawiał, zastrzelonego przez Zosię. Młodzieńca żal mu nie było. Nie sądził, ażeby zgon przedwczesny indy-

widuum takiego krzywdę jaką społeczeństwu przyniósł. Lecz przedstawił sobie położenie Zosi śród następstw faktu podobnego. Proces, sądy. Nie wątpił, iżby ją sądy z pod zarzutu uwolniły. Ale najeżona przeciwko niej opinia publiczna! Ale rozgłos gorszący! Ale nakoniec wrażenie moralne, jakiego-by ona sama z tego powodu doznała!

— Nie—rzekł—i tak źle, i owak źle, a tak najgorzej. Cóż tu robić? Cóż tu robić?

Z zapytaniem tem zasnął. *La nuit*—wbrew stanowczemu twierdzeniu przysłowia francuzkiego—*ne lui a pas porté conseil.* Obudził się; nic nie wymyślił—i nie wymyślił nic przez dni kilka z rzędu.

Powierzenie czuwania nad Zosią młodemu baronowi, był to wynalazek, który, jak część wynalazków znaczna, przyszedł staremu Kowalskiemu niechcący. Już był wziął przed się postanowienie pozostawienia rzeczy *in statu quo*, kiedy spotkał jednego z dawniejszych, znanych sobie z czasów guwernerowania przy Julku, sług, z pałacu przy ulicy Pańskiej Nr 15.

— A to pan, panie professor!—zawołał sługa.

Kowalski nie poznał go odrazu. Przypomniał sobie jednak prędko i zapytał:

— Jak się miewasz, Wincenty? co tam słychać u was?

— Ano. Bogu dzięki, mam się jako tako. Co się tyczy tego, co u nas słychać, to, ot, wszystko

niby po staremu. Rozbijaliśmy się za panem po Łyczakowie przez całe dni dwa.

— Za mną? a?

— Młody pan baron kazał pana wynaleźć, choćby pod ziemią.

— Hm—mruknął Kowalski. O cóż tu chodzi?

— O co? hm. Nie wiem tak dalece, ale.... jak się zdaje....

— Młodemu baronowi wypadek się zdarzył—podchwycił Kowalski, widząc, że sługa waha się z wyjaśnieniem stanu rzeczy.

— To pan wie o tem?—odparł ten ostatni?—Nieszczęście! — tu westchnął. Młody baron zanadto dufał w siebie.... ot i spadło na niego.... „Gdyby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała“.... Ale, jakże się pan dowiedział? Zakazano nam jak najsurowiej o wypadku rozpowiadać; otóż. kogoś język świerzbiał....

— Widzicie, Wincenty, ja stary znajomy, to przedemną gada się, coby się nie gadało przed innymi.

— Musi więc pan wiedzieć, że posyłano za panem.

— Tak, hm, to jest — odrzekł Kowalski z namysłem niby.

— Cź .uż się pan do pałacu nie zgłosił?

— ˝ ɷsu-m nie miał. Wszak wiecie, że u mnie goɷzinka każda policzona. Ale, jakże ma się młody baron?—zapytał.

— Lepiej, o! znacznie lepiej.

— Musiał być zirrytowany, ha?

— Niech Pan Bóg broni! Z początku strasznie; po wyjeździe jasnych państwa ieszcze gorzej; teraz jednak, Bogu dzięki, uspokoił się już znacznie. Zresztą, nie było tak bardzo i irrytować się czego. Znaki zresztą, co zaś do oka, to pan doktór Bajdykiewicz zreperuje tak, że będzie widział, jak przez prawdziwe. Czego to, panie, ludzie nie wymyślą! My tylko w głowę zachodzimy: gdzie to się młody pan baron tak oporządził? Wyszedł był dnia tego z młodym hrabią Oskrzelskim; nie było go nie dłużej nad godzinkę, co mówię! pół godziny najdłużej, powraca fiakrem, no! i... Cicho, panie. Na mieście nikt nie wie. Gazęty nawet, gazety, przed któremi się żaden taki nie utai wypadek, gazety nawet milczą. My w głowy zachodzimy, co to się stało.... Młody baron nikogo do siebie nie puszcza, ani nawet hrabiego Oskrzelskiego, z którym razem wyszedł: kazał wszystkim mówić, że na wieś wyjechał. Pana tylko wyszukać kazał: owoż śpieszę zaraz, dam znać, żem znalazł.

— Nie, Wincenty, nie masz potrzeby tego robić. Ja sam przyjdę.

— Kiedy?

— Ano, jutro rano. O której baron wstaje?

— Jak zwykle, o dziewiątej. Teraz wcześniej trocha, bo z wieczora kładzie się zawczasu.

— Więc ja tam jutro będę około dziesiątej.

Po rozstaniu się z Wincentym, począł się p. Kowalski zastanawiać, i nagle, niby promień do głowy mu wpadł, jasność w myśli się zjawiła.

— Naglądanie za złodziejami, złodziejom się powierza!—zawołał. Pójdę. Rozmówię się z Julkiem na czysto, może też dopukam się w duszy jego tej szlachetności, której zarody tkwiły w niej niegdyś. Zobaczymy.

Postanowił i oczekiwał jeno godziny oznaczonej.

Czytelnik powiadomiony już jest o rezultacie wizyty Kowalskiego u Julka, i dziwi się może rezultatowi temu, biorąc go w znaczeniu nagłego nawrócenia grzesznika. Wrazie takim, czytelnik się myli. Julek nie nawrócił się, ani nagle, ani wcale: uspokoił się jeno, co do rozgłosu awantury, i wnet zoczył w perspektywie awanturę inną, przedstawiającą się mu tak, jak czasu onego kuglarze błędni przedstawiali wiejskiej publiczności cuda różne, oznajmiając je w słowach: „ten sam sztuk, tylko na inny manier.“ Nawrócenia nagłe, były prawdą niegdyś, ale prawda ta przestarzała. Działy się one przy pomocy cudów, niemożliwych, niestety! w czasach naszych. Chemia, fizyka, optyka cudom takim grunt z pod nóg usunęły i pozbawiły nawracających środka potężnego, pozostawiając na rozporządzenie ich słowo—słowo, które się daje wypisać i naginać, jak się komu podoba. Słowem, i niczem tylko sło-

wem, do przekonań trafiać trzeba. O, jakże to trudno! Przeciwko przekonaniom stają przekonania, przeciwko argumentom argumenta; rzecz jedna i taż sama przedstawia się zarazem i czarno i biało; często zaś, gdy się ma zwłaszcza do czynienia z przesądami i narowami, dowody najwymowniejsze, słowa najpotężniejsze, racye najjaśniejsze, odpadają jako groch od ściany—prawisz nadaremnie. Takiem też, było i gadanie Kowalskiego do młodego barona, który się bynajmniej nie nawrócił, a tylko ujrzał w perspektywie możność dopięcia zamierzonego celu na drodze innej, aniżeli ta, którą szedł. Z przedstawienia Kowalskiego poznał jasno, że róża posiada kolców więcej, niż mu się zdawało a zerwanie onej połączone jest z trudnościami niepowszedniemi. To mu większej dodawało otuchy. Zwycięztwo trudne wabiło go, co stanowi dowód, że, we względzie tym odmienny był nieco od kolegów i przyjaciół, których donżuanizm rejteruje przed wdziękami, nie sprzedającemi się za pieniądze. Poczytać to mu należy za zaletę do stopnia pewnego, z tego wychodząc punktu, że, gdzie zalety absolutną świecą nieobecnością, tam lada słaby zarys zaznacza się wybitnie.

Gdy Kowalski odszedł, obiecując powrócić za dni kilka, Julek zajął się kreśleniem obrazów i układaniem planów. Obrazy możemy z przed oczów czytelnika usunąć. Nie było w nich osobliwego

nic, plany zaś miały na celu rodzaj programatu, bez którego seduktor żaden nie wybiera się w drogę. I w nich osobliwego nie było nic, chyba to tylko, że mając mieć do czynienia z subjektem naukami nadzianym, nie umiał z góry ułożyć sobie roli odpowiedniej.

— Będę basował, to rzecz naturalna—powiedział sobie. Ale, jeżeli mnie z czego zagadnie? Hm? tu sęk.

W rzeczy samej, był to sęk. Julek uczył się czegoś tam, ale mu wszystko z głowy wywietrzało. Był niby ukształcony, w istocie zaś ciemny, niezapamiętał nawet bowiem tytułów nauk, które mu się przez głowę, jako przez przetak, przewiały. Posiadał jeno polor, ów polor, który, przy skłonności stosownej, mógłby go wykierować na mecenasa sztuki, na znawcę w zakresie bądź muzyki, bądź malarstwa, bądź rzeźby, bądź zresztą archeologii, posiadającej własność pociągania nieuków ku sobie. Dzięki polorowi owemu, mógł także być filozofem, politykiem, krytykiem; nie mógł atoli rozstrzygać zadania najmniejszego, do którego wchodziły dane naukowe jakiekolwiek. To go frasowało. Frasunek ten zapisujemy także na zaletę jego: iluż to bowiem, takich ciemnych, że Boże uchowaj, cienia wątpliwości o samych sobie nie mają, ani pojmują wyższości umysłowej! Jednym z takich oto był ów, co, dowiedziawszy się że Johnson jest krawcem,

zapytał: czemże-by jego Amerykanie zrobili, kiedy krawca na prezydenta obrali? Julek nie należał do tej kategoryi młodzieży złotej, pomimo, że tkwił w niej osobą swoją. Zafrasował się też, i gdyby nie podnieta, jaką mu trudności same podawały, byłby może od zamiaru odstąpił. Podnieta sprawiła to, że postanowił *passer outre.*

— Zobaczę. Sądzę trochę, jak ślepy o kolorach. Z panią Bablewską dyskusye idą mi gładko, wobec podobnej zaś, jak Zosia owa, nie znajdowałem się nigdy jeszcze. Już też na egzamen nie będzie mnie brała. Zresztą, zobaczymy.... Trzeba będzie jeno, jak się zdaje, zdjąć z siebie skórę złotą, no, i basować. Jest tam mama dobrodziejka, także dla mnie zagadkowa. Nie, niema co wdawać się w układanie planów z góry!

Spuszczał się na natchnienie, na gwiazdę, sam nie wiedział na co,—i z żywą niecierpliwością wyglądał powrotu Kowalskiego. Zanim powrót ten nastąpił, odbyło się tymczasem wstawienie oka, które się powiodło znakomicie. Oko szklanne nie różniło się od naturalnego niczem, z wyjątkiem nieporuszalności, dla zamaskowania której, musiał Julek włożyć okulary jasno-popielatej barwy. W okularach nieporuszalność była nie do poznania. Wyszedł wreszcie na miasto. Koledzy i znajomi zwrócili na okulary uwagę, lecz braku oka jednego nie podejrzewali wcale. Dziwili się nagłemu Julka zniknię-

cin; ale czegoż wytłómaczyć nie można! Julek złożył się interesem jakimś, nagłym a niespodzianym, który spadł na niego niby piorun. Ludzie uwierzyli, nie wyjmując owych trzech koleżków, co przed cukiernią czekali. Hrabia Oskrzelski domyślił się, że interes doszedł do wiadomości Julka za pośrednictwem starego jakiegoś jegomościa, który interes wypadkiem nazwał.

— Właśnie też — podchwycił młody człowiek zmieszany trochę i wnet dodał: a czy nie tłómaczył on wypadku onego natury?

— Powiadał jeno, że jest natury czysto prywatnej. Gdyby nie jegomość ów, ja, Furcio i Fredcio, bylibyśmy czekali na ciebie do nieskończoności.

— Cha, cha, cha—śmiał się Julek. Zacietrzewiłem się i zapomniałem.... Musiałem brać pocztę natychmiast i pędzić na karku złamanie.

— Więc nie doścignąłeś umykającej?

— Zapomniałem i o niej.

— Teraz jednak?

— Zobaczę. Może sobie przypomnę, może nie.

— Przeszedł ci kaprys, jak widzę.

— Nie wiem jeszcze, nie badałem stanu duszy swojej—dodał półżartem.

W ten i temu podobny sposób odcinał się przyjaciołom, oczekując na powrót ex-guwernera swego.

Doczekał się nareszcie.

Kowalski zjawił się mu poranku pewnego, około dwunastej.

— Myślałem, żeś pan zapomniał o propozycyi własnej—rzekł do niego po przywitaniu.

— Nie zapominają się rzeczy takie.

— Kiedyż idziemy?

— Dziś, o wpół do drugiej.

Młody człowiek pociągnął za taśmę od dzwonka i dał rozkaz służącemu, który się we drzwiach pojawił:

— Powiedz stangretowi, niech na wpół do drugiej założy do pojazdu.

— Nie trzeba!—dodał Kowalski.

— Jakże? piechotką?—zapytał Julek.

— Piechotą, droga niedaleka, na Lwowskiem-Przedmieściu, ulica Szeroka, numer piętnasty.

— Nie trzeba więc — rzucił młody człowiek lokajowi.

— Przyjdziemy tam na minut kilka przed drugą, trafimy na obiad.

— Na obiad! — zawołał Julek ze zdziwieniem. Z pierwszą wizytą.

— Zamówiłem się z taką. Co zaś do wizyty pierwszej, to odpowiedzialność za pogwałcenie etykiety biorę całkowicie na siebie.

— *Elles vont se mettre en frais.*

— Wcale nie. Dla nich baron Homoński nie jest zwierzęciem osobliwem, dla któregoby sadzić się

miały na potrawy extra. Zresztą, nie mówiłem nawet, żeś baron i Homoński. Zapowiedziałem się z elewem moim dawnym.

— To—zaczął Julek, jakby nową uderzony myślą—to, możeby *incognito* moje i nadal zachować?

— A to czemu? Nie wymieniłem nazwiska twego, bo pani Kalinowska i panna Zofia ciekawe onego nie były. Gdy atoli wprowadzę ciebie, muszęć powiedzieć, ktoś taki.

— Hm, niech tak będzie—odrzekł młody baron. Powiedz-że mi pan, jak ona jest?

— Kto, ona? pani Kalinowska, czy panna Kalinowska?

— Rzecz prosta, panna.

— Panna jest.... panna. Czegóż chcesz?

— Nie o to mi chodzi, a o wzięcie się jej, obycie.

— Zobaczysz. Mnie się ona podoba bardzo; nie wiem jakie na tobie wrażenie sprawi.

Punkt o wpół do drugiej panowie Kowalski i Homoński wyszli z bramy pałacu przy ulicy Pańskiej i skierowali się ku przedmieściu Lwowskiemu. Ciągnęli powoli: stary nie mógł pośpieszać. Na minut pięć przed drugą przekraczali próg saloniku przy ulicy Szerokiej. Drzwi otworzyła im Zosia, ona też ich poprzedzała i wprowadziła. Młody baron, który ze słyszenia wiedział o salonach ludzi stanu średniego i o pannach na wydaniu ze sfery szlacheckiej, napróżno dostrzedz się starał czegoś.

coby na przesadę lub na dziwactwo zakrawało. Gdy Kowalski go przedstawił, panna ukłoniła się mu uprzejmie, wszakże nie jak baronowi i panu fortuny znacznej, lecz jak zwyczajnemu śmiertelnikowi. Weszła pani Marcinowa. Ta, z dobrotliwym uśmiechem, zwróciła się do młodego człowieka; powiedziała mu, że bardzo jej miło poznać go i pochwaliła starego Kowalskiego za akuratność w stawieniu się na godzinę oznaczoną.

— Pani dobrodziejko—odpowiedział tenże—któż ma być akuratnym, jeżeli nie ja?

Stół w izbie obok był nakryty na cztery osoby. Podano zupę. Pani Marcinowa poprosiła gości do zajęcia miejsc. Rozlała na talerze. Julek pierwszy raz w życiu swojem zasiadał w gronie takiem i przy stole takim: zamierzył być wspaniałomyślnym i uczynić honor potrawom; ale za pierwszą do ust wziętą łyżką poznał, że potrawy się honoru nie domagają, a wspaniałomyślność jego nie na swojem byłaby miejscu. Dania były smaczne, czyste i czysto podawane, pomimo że do stołu nie lokaje we frakach i w białych rękawiczkach, ale kucharka usługiwała. Jadł więc z apetytem, zapijać jeno nie miał czem, na stole wino nie figurowało i gospodyni za brak ten gości nie przepraszała wcale, jako też nie przepraszała wogóle za nic i nie naprzykrzała się gościom zapraszaniem do jadła.

— Pozwoli pan jeszcze?—zapytywała razy parę Kowalskiego i Julka: oto wszystko.

Ten ostatni wyrwał się z pochwałą pieczeni huzarskiej.

— Co za pieczeń! — zawołał w zachwyceniu. W życiu podobnej nie jadłem, mogłaby figurować na stole królewskim.

Słowa te zabrzmiały w próżni. Pani Kalinowska uśmiechnęła się i lekko głową kiwnęła, niby na znak, że je do wiadomości wzięła, uwagę całą zwracając na Kowalskiego, który prowadził rozmowę ogólną. Stary umiał gawędką swoją dobry utrzymać humor. Obiad przeszedł wesoło, bez obciążenia żołądków. Po obiedzie, w saloniku, przy kawie czarnej, którą p. Marcinowa przyrządzała, wytoczyła się na stół literatura, w rodzaju wetów. Że zaś był to prawie wilk żelazny dla młodego człowieka, który miał co innego do myślenia i czynienia, więc nauczyciel przedstawiał wilka onego ze strony przystępnej, łatwej i zabawnej, do czego posłużył mu wybornie Krasicki, biskup i hrabia. Dwa tytuły te rzuciły światło na utworów parę poetycznych księcia poetów. Utwory te odczytała p. Zofia. Julek zajął się i zabawił; wziął udział w gawędce, z której dowiedział się, że piśmiennictwo, jeżeli kto umie w nie wglądać, dostarcza umysłowi pokarmu o ile posilnego, o tyle miłego. Była to dla niego rzecz nowa, zainteresowała zaś go

dlatego głównie, że jako rzeczniczka onej wystąpiła kobieta młoda i piękna, która mówiła z ogniem, przejęciem się i z całą swobodą, bez cienia affektacyi, bez przesady najmniejszej. Odczytała znakomicie jedną z satyr. Młody baron uśmiał się serdecznie. Poobiednia godzinka przeminęła szybko, Zosia na zegarek okiem rzuciła, wstała i:

— Przepraszam panów—odezwała się.

Julek spojrzał na Kowalskiego, nadając spojrzeniu swemu wyraz szczególny. Ten domyślił się, co wyraz ten znaczy; ramionami lekko ruszył i także wstał.

Julkowi czas upłynął bardzo szybko i bardzo miło. Radby pozostać dłużej w skromnym saloniku, słuchając jej głosu i patrząc w jej oczy. Nie było atoli sposobu ochocie jego zadośćuczynić. Musiał opuścić gościnne progi. Pani Kalinowska na odchodnem zapytała go: czy mieszka w Łyczakowie stale?

— Prawie—odrzekł. Teraz na dłuższy nieco zostanę czas.

— We środy o siódmej wieczorem w domu bywamy dla odwiedzających nas łaskawie. Jeżeli tedy panu czas pozwoli, a wola nie przeszkodzi.....

— O pani!—podchwycił kłaniając się—z przyjemnością całą.

— Podprowadzimy cię, Zosiu, trochę — odezwał się Kowalski do Zosi, która z pokoju przyległego

wyszła w kapeluszu, w zarzutce i z teczką w ręku.

— Proszę—odrzekła.

Młody człowiek na ulicy ramię jej podał. Przyjęła. Kowalski towarzyszył jej z drugiej strony. Gawędka się zawiązała o okolicach Łyczakowa, które młody baron przyrównywał do okolic kilku główniejszych w Europie miast. Zosia zadała mu zapytań kilka, odnoszących się do materyi rozmowy ściśle, a bynajmniej nie mających na celu wprowadzenia interlokutora w ambaras, co bywa często we zwyczaju u sawantek, wojujących wiadomościami pochwytanemi. Doszli do alei. Przechodzili mimo punktu dla Julka pamiętnego. Kowalski w punkcie tym głośno chrząknął i rzekł:

— Tu się drogi nasze rozchodzą. Zosia idzie wprost, Julek zaś i ja wziąć się musimy w lewo i iść możemy razem jeszcze aleją, aż do teatru.

Panna Kalinowska rękę kawalerowi z pod ramienia wysunęła, podziękowała i śpiesznie na drugą stronę alei przeszła.

Julek pozostał na miejscu, patrząc za nią, aż go Kowalski musiał obudzić niejako.

— Idziesz?

— Idę!—ocknął się i westchnął.

Spojrzał następnie na lipę, pod którą odbyła się interwencya Kowalskiego i brwi zmarszczył.

Przez czas jakiś szli w milczeniu, które przerwał Kowalski.

— Otóż— rzekł — jak widzisz, dziewczynina zasługuje na życzliwość ludzką.

Młody człowiek z przyciskiem odsapnął.

— Przekonasz się o tem lepiej, gdy ją poznasz bliżej. Jest ona z takich, co to.... wody nie zamącą.

— Na cóż, u licha, uczy się?—zapytał Julek po chwilce.

— Ha, taki nastał czas; upłynął wiek złoty. Czy z nauką nie do twarzy jej?

— Tego nie powiadam, tylko gdy pomyślę, że takie stworzenie ślęczy nad książkami, to wzbiera mi w duszy litość i żal.

— Ślęczy nad książkami! — podchwycił stary. Porozumiejmy się jeno. Czy siostry twoje, baronówny Homońskie, czy hrabianki Oskrzelskie, czy księżna Studnidzina i księżniczka Studnidzianka nie ślęczą nad książkami? Czy nie ślęczą nad książkami owe kokotki zachwycające, do których my motylemi trzepiemy skrzydłami? Któż to konsumuje owe miliony, miliony płodów efemerycznych literatury wszechświata, jakie handel księgarski rokrocznie na pastwę czytelnikom rzuca? Ślęczenie nad książkami jest ogólnem, stało się potrzebą; z potrzeby tej wyrodziła się potrzeba inna, powstała, jeżeli nie z czego innego, to wprost z przesytu. Niechże cię to nie dziwi bynajmniej, że Zosia Kalinowska, zamiast ślęczeć nad romansidłami, ślęczy nad dziełami poważnemi, tembardziej, że to

jej wcale nie przeszkadza być i zdrową i wesołą i niebrzydką.

— Nie brzydką!—zaprotestował młody człowiek.

— Ale—przerwał Kowalski na drodze rozstajnej. Słowo stoi?

— Mam być wobec panny Zofii rodzajem paladyna?

— A no.

— Hm. Niech tak będzie.

— Tylko, że ty wybierasz się w podróż na miesięcy parę.

— Nie teraz, nie zaraz. Rozmyśliłem się, a zresztą tak mi się interesa złożyły, że zabawię w Łyczakowie *jusqu'à nouvel ordre.*

— To co innego—odrzekł Kowalski, podając Julkowi dłoń na pożegnanie.

Ten ostatni szedł zrazu aleją dalej, aż do parku: w parku obszedł gazon środkowy razy kilka do koła; zoczył w dali jednego z przyjaciół i wrócił się w uliczkę boczną; wyszedł następnie ku miastu, jak się zdaje, bez celu. Cel jednakże znalazł się sam: w oczy mu się rzuciła wystawa księgarska. Zatrzymał się; począł oczami wodzić po tytułach dzieł najnowszych, postał czas jakiś i do środka wszedł.

— Krasicki, biskup—rzekł do subjekta.

— A panie dobrodzieju! — odparł subjekt, dłonie zacierając.

Rzucił dwa te wyrazy subjektowi drugiemu. drugi trzeciemu. od trzeciego dostały się do księgarza. który oświadczył, że z tytułem podobnym dzieło nie znajduje się u niego na składzie, postara się jednak sprowadzić je, byle wiedział, pod jakim je ma odesłać adresem:

— Homoński, ulica Pańska, numer piętnasty.

— A! pan baron Homoński! — zawołał księgarz! Właśnie na pani baronowej imię sprowadziłem siedmdziesiąt dziewięć najnowszych romansów francuzkich.

Julek nie przestał być członkiem korporacyi młodzieży złotej; zaczął jednak być człowiekiem innym trocha. Zaszła w nim niby odmiana jakaś. Uczuł do koła siebie próżnię, której zapełnić nie miał czem. Bywał od czasu do czasu we środy u państwa Kalinowskich; zastawał zwykle u nich osób kilka i wracał zirrytowany, pomimo, że wieczory spędzał wcale przyjemnie, na słuchaniu niezłej muzyki i dobrej deklamacyi i na rozmowie ogólnej. Rozmowa snuła się zwykle z wątka przystępnego, wywołanego bądź przez zdarzenie spółczesne, bądź przez wspomnienie z przeszłości. bądź też przez rodzaj tematu, zaczerpniętego z dziedziny sztuk pięknych lub literatury, w obrabianiu którego obecni udział brali. Nigdy na stół nie wytaczała się

obmowa. nigdy szarpanie sławy cudzej, nigdy plotka. Kiedyniekiedy, w rodzaju porównania, występowały dane jakoweś z nauki wzięte; kiedyniekiedy, na poparcie zdania własnego, ten i ów przytaczał słowa powagi jakiejś. Wzmianki te atoli prześlizgiwały się śród rozmowy w rodzaju wstawek, bez których obejść-by się można. Za okrasę posiedzeń tych służyły, dobry ton, grzeczność i uprzejmość. Każdy ze środowego wieczorka od pani Kalinowskiej wychodził zadowolony, z wyjątkiem Julka jednego.

Zkąd pochodziło niezadowolenie jego? odpowiedź nie trudna. Przyzwyczajony on był do wyróżniania, stanowiącego właściwość salonów, na których ród, stanowisko i majątek—znaczą wszystko. Julek w salonach błyszczał; w saloniku przy ulicy Szerokiej nie uwydatniał się nawet i bardzo prędko przekonał się, że do dopięcia celów tajemnych nie posiada środków żadnych. To, czem na wyżynach towarzyskich błyszczał, tu gasło i nie znaczyło nic. Nie uczuwał się niższym, nie był jednak wyższym; nie będąc zaś wyższym, nie wiedział, jakimby sposobem skoncentrować mógł na sobie uwagę p. Zofii, która, im się jej lepiej przypatrywał, tem wydawała mu się, nietylko coraz-to piękniejszą, ale także i coraz-to więcej na wartości zyskującą. Rozswawalała się niekiedy i stawała się prostą, swawolną dziewczyną, policzki jej rumieńcami pło-

nęły, oczy radością jaśniały, śmiała się serdecznie, spoglądała figlarnie. Gdy myśl wzniosła, dźwięk piękny, słówka przejmujące dotknęły w niej struny zachwytu lub rzewności, wówczas oblicze jej poważniało, postać niby rosła, nad czoło wybiegała jakby gwiazda i otaczała ją promieniami—czasami łza brylantową kropelką zawisała jej na rzęsach. Czasami znów, gdy wzmianka jaka naukowa w powietrzu zabrzmiała, oczy jej strzelały ciekawością. Czy tak jednak, czy owak, zawsze, w uspokojeniu nawet zupełnem, była zachwycającą.

Miała jednak wadę jedną, och! straszną.

Słuchajcie!

To wszystko, co czuła, i to, co rozumiała, razem wzięte, stanowiło pancerz, który ją ochraniał od romansu.

Dla romansu była nieprzystępną.

Zamiłowanie piękna, dobra i wiedzy zabijało w niej ten pociąg do gruchania, który się urabia w młodych dziewczętach, niemających nic lepszego do czynienia.

Zdaje się, że wada ta była głównym, jeżeli nie jedynym, niezadowolenia Julka powodem.

Ba! gdyby Zosia skłonną była do gruchania, toć wówczas byłby on górą. Tak zaś patrzeć mógł jeno na nią zdaleka, niby na obraz piękny, i podziwiać ją wraz z innymi, których widywał na wieczorach u pani Kalinowskiej.

Pomiędzy innymi bywał tam młody człowiek którego spotykał i na salonach. Wymienimy go po imieniu: Stanisław! Zastał go środy jednej i drugiej i potem nigdy już więcej. Stanisław przestał bywać. Nie zwróciło to Julka uwagi na siebie i nie zwróciłoby jej nigdy, gdyby go ten, sam nie zaczepił, zszedłszy się z nim u hrabstwa pewnych.

— Cóż, zaglądasz na Szeroką?—zapytał.

— Od czasu do czasu.

— Ja nigdy.—tu Stanisław westchnął.

Westchnienia jego miały znaczenie swoje, był to bowiem poeta, który się miał za bratniego ducha Słowackiego i zasilał niekiedy pisma miejscowe płodami muzy swojej, naśladującemi dosyć wiernie, co do formy, autora *Beniowskiego*. Westchnął tedy po wyrazach „ja nigdy“ i westchnieniem tem wywołał zapytanie Julka:

— Dlaczego?

— Dlatego, że p. Zofia.... to kamień!... to posąg Praxytelesa!

— No? — zapytał Julek nawpół zdziwiony, nawpół zaciekawiony.

— Miałem na rozporządzenie jej ogień z nieba, który wykradłem jak drugi Prometeusz i....

— I co?

— Musisz wiedzieć przecie. Nie sposób, żeby

matka i córka nie mówiły, nie chwaliły się, nie wspominały przynajmniej.

— Nie wiem o niczem.

— Jakto! o mnie mowy nie było nigdy?

— Przy mnie.... nigdy....

— Rzecz osobliwa.... A przecie....

— Co?

— No. Krótko powiedziawszy: harbuza dostałem....

— Pierwszy raz o tem słyszę. Jakże to było?

— Było tak. Oświadczyłem się i spotkała mnie odmowa, krótka i kategoryczna. Powiedziała mi p. Kalinowska, że córka jej nie może mi ręki oddać, bo mnie nie pokochała. Rozumiesz?

— To jasna.

— Tak. Pytanie jednak: z jakiej nie pokochała racyi? Mnie się zdaje, że z tej, iż ona nie pokocha nigdy nikogo. To już natura taka.

— Ph—odparł Julek, ramionami wzruszając.

— Bywasz tam?

— Rzadko. Zachodzę niekiedy.

— Zachodź i uważaj. Przekonasz się. Jam palnął niedorzeczność, oświadczając się: powinienem był oddać się studyom nad panną Zofią, jest to bowiem kobieta osobliwa w rodzaju swoim. Mieni ci się w oczach, jak kameleon, a wysuwa się z rąk, jak wąż.... Znikąd przystępu do niej.... Czytałeś moją *Kamienną?*....

— Ją tam odmalowałem, odczuliłem raczej.... Jej nawet utwór ten dedykowałem: *Do Z. K.*... Była to zemsta moja.... Gdy będziesz tam, wprowadź kiedy do rozmowy wzmiankę o *Kamiennej*....

Julek obiecał warunkowo, nie myśląc wcale dotrzymać obietnicy. Mimo to, zwierzenie się poety sprawiło na nim wrażenie. Stanisław, z punktu materyalnego rzecz biorąc, nie był partyą dla panny Kalinowskiej do odrzucenia. Posiadał mająteczek, zapewniający byt niepodległy. Odmówiła mu jednak, dlatego, że nie pokochała; znaczyło to, iżby nie odmówiła, gdyby pokochała; znaczyło to następnie, że pokochania się nie zarzeka, że je uważa za rzecz możliwą, tylko czyni je możliwem od warunków pewnych. Od jakich?

— Ha! gdybym odgadnąć mógł!—był to okrzyk duszy, który wydał Julek i wydawał go regularnie po razy kilka na dzień.

Okrzykowi temu towarzyszyły medytacye, owocem których były zamiary rozmaite, które się w głowie młodego człowieka rodziły jeden po drugim.

Zamierzył był wyjechać: nie wyjechał.

Zamierzył uczyć się, czytać: ani się uczył, ani czytał.

Zamierzył nogi na Szerokiej ulicy nie postawić: chodził.

Jedynym zamiarem, który spełnił, a spełnił wbrew założeniu nawet, było przyrzeczenie, jakie

uczynił Kowalskiemu, co do czuwania nad spokojem wyznawczyni światła. Osłonił ją, puklerzem niby, od przykrości, jeżeli nie wszystkich, to dokuczliwych. Wiedząc kiedy ona zmuszoną bywa później nieco do domu wracać, czekał na nią na przechodzie i odprowadzał, nadając temu pozór spotkania przypadkowego. Zrobił to raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Za każdym razem powtarzał się wstęp jeden i tenże sam.

— A? dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór panu.

— Pani powraca do siebie?

— Tak jest, panie—tu podawała p. Zofia przyczynę istotną.

— Pozwoli pani, że jej towarzyszyć będę?

— Najchętniej, jeżeli to panu różnicy lub mitręgi jakiej nie sprawi.

— Co za różnica, lub mitręga!

— Może pan czasu nie ma.

— O pani! Należę do tego śmiertelników rodzaju, któremu zabraknąć może wszystkiego, z wyjątkiem czasu.

Podawał ramię, Zosia wsuwała rękę; przechodzili razem przez miasto, przez aleję; wchodzili na ulicę Szeroką i tam, przed domem numer 15, panna mu rękę z pod ramienia wysuwała, dłoń do uścisku podawała, dziękowała, dobrej nocy życzyła i znikała. Wszystko to się odbywało naturalnie, spo-

kojnie, swobodnie. Toczyły się przez drogę rozmowy, wywoływane już to przez Julka, już to przez Zosię, rozmowy owe pospolite, jakie się pomiędzy znajomymi nawiązują. Julek za każdym razem chciał nadać im akcent jakiś szczególny; nie udawało mu się to jednak, nie dlatego, żeby nie znał przenośnie tych różnych figur retorycznych. któremi osłaniają się preludya romansowe, ale dlatego, że się odważyć nie mógł. Obawa język mu pętała. Dziwił się sam sobie i czekał na wyzwanie ze strony Zofii. Wyzwanie jednak nie przychodziło.

Razu pewnego pojawiło się coś nakształt wyzwania.

Kiedy Julek odprowadzał Zosię, poraz może dziesiąty, ta poznała, że w spotkaniach jego przypadkowość jest rzeczą udaną.

— Panie—rzekła—pan mi przysługę oddajesz. nie sposób, ażeby to nie przychodziło panu bez jakiegoś, bodaj małego przymusu.

— Bez najmniejszego — odrzekł Julek. Przeciwnie. Jeżeliby mi pani zabroniła oddawania jej tej małej przysługi, wyrządziłabyś mi przykrość wielką.

— Przykrości wyrządzać nie chcę; ale pragnęłabym za przysługę przysługą się odwzajemnić, a, niestety! sposobu nie widzę.

Julek miał już prawie na języku podanie sposobu i byłby podał, gdyby na miejscu Zosi znajdo-

wała się panienka odmiennego nastroju. Wobec niej jednak ów sposób, któryby wypowiedział bez wahania, wyglądał tak, jakby kto ofiarować chciał grosz jeden za przedmiot ceniony dukatów tysiące. Zamiast przeto sposób podawać, tłómaczył się:

— Przysługa ze strony mojej nie kosztuje mnie nic, pani; zabiera mi jeno czasu trochę.

— Ależ czas! to rzecz droga, dla nas co tak krótko żyjemy.

— Droga, zapewne, nie dla wszystkich atoli jednakowo. Są tacy w społeczeństwie ludzkiem. dla których wartość czasu schodzi do zera.

— A!—wtrąciła Zosia.

— Tacy, co nic a nic do czynienia nie mają.

Zosia, bądź, że nie czuła się upoważnioną do dawania nauk moralnych, bądź też dla innych powodów jakich, zmilczała. Julek po chwili mówił dalej:

— Do takich mam szczęście, czy nieszczęście, należeć ja. Nie mam do czynienia nic a nic, to też, odwzajemnienie się ze strony pani za przysługę, jaką pani oddaję, nie może być innem. jak tylko takiem, ażeby mi pani nie zabraniała oddawania sobie tej przysługi.

— Serdecznie panu dziękuję — odpowiedziała Zosia.

Przy rozstaniu uścisnęła mu dłoń mocniej nieco. Puklerz ów, jakim Julek Zosię osłaniał, obejmo-

wał nie sam jeno spokój jej uliczny. Samo już to, że śród drobnych szykan. z jakich się wytwarzała otaczająca ją atmosfera, zabrakło głosu młodego barona Homońskiego, sytuacyą jej o wiele mocniejszą uczyniło. Młody baron milczał: zamilkli więc jego przyjaciele, znajomi i satelici; młody baron odezwał się z szacunkiem, z uznaniem: jego więc przyjaciele, znajomi i satelici głowami kiwali i ani przypuszczali, ażeby kiedy potępiać mieli dziewczynę młodą, co się uczy i skromnie prowadzi. W kabale, której się Kowalski domyślał, a która tworzyła pewien rodzaj siatki subtelnej, pękło oczko jedno i siatka, acz się nie rozplotła zupełnie, straciła jednak wiele z mocy swojej. Jedna tylko p. Bablewska stała przy swojem twardo, to jednak tyczyło się szczegółów programatu, nie zaś istoty rzeczy. Pani Bablewska twierdziła, że nie będzie z Zosi nic. Miało się to pokazać dopiero, tymczasem atoli otoczył pracownicę względny spokój, z którego też ona korzystała.

Dnie upływały; minęła jesień; nastała zima.

Zimową porą p. Marcin — zaprowadził zwyczaj taki — przyjechał do Łyczakowa i zabrał kobiety swoje na wieś, celem spędzenia z niemi razem świąt Bożego Narodzenia. Zabierał je także na Wielkanoc i na miesiące letnie. Pobyt w domu był zawsze dla Zosi rozkoszą wielką. Przynosił też jej korzyść niemałą. Ozdrawiała w powietrzu wiejskiem, od-

świeżała się, tak na ciele, jak na duszy. Pan Marcin, dla niesprawienia snadź jedynaczce swojej dystrakcyi, nie wtajemniczał jej w interesa Kalinowy ze strony ujemnej, nie pokazywał jej medalu na odwrót. Zastawała wszystko w dawnym stanie i oddawała się duszą całą uciechom pobytu pod strzechą wiejską. Widząc ją w Kalinowej, rzekłbyś, że się niczego nie uczyła nigdy. Obchodziła dom cały, rozpytywała się o wszystko, zaglądała wszędzie, wywiadywała się; pod szczególną opiekę swoją brała wydział gospodarski, tyczący się drobiu, mianowicie zaś kur, które już nie kto inny, tylko ona karmiła, poiła i dozorowała. Dzięki też dozorowaniu jej, kurniki w Kalinowej odznaczały się komfortem nieznanym gdzieindziej. Nie zaniedbywała przytem innych szczegółów gospodarskich. Pełno jej było wszędzie; brała we wszystkiem udział osobisty; rano dnia każdego występowała w fartuszku i w czepeczku, krzątając się, oczyszczając — tu pomagając, ówdzie sama robotę jakąś wykonywając, nie rzadko nauczając i tłómacząc, niekiedy zaś doświadczenia czyniąc. Te ostatnie nie zawsze powodzenie wieńczyło. Nie przeszkadzało to jednak temu, że w niejednym względzie interwencya jej okazała się wielce pożyteczną. W kuchni, naprzykład, umiejętny jej wpływ sprowadził następstwa, o ile zbawienne pod względem hygienicznym, o tyle korzystne pod ekonomicznym.

Chodzi nam tu jednak nie o to, lecz o przedstawienie bohaterki naszej czytelnikowi taką, jaką ona była pod wiejską strzechą po powrocie z miasta.

Była Zosia taką, jaką będzie dziewczyna każda, gdy wychowanie płci niewieściej, zeszedłszy ze szczudeł, na jakich ją przesądy postawiły, pójdzie trybem normalnym a racyonalnym. Kobieta potrzebuje umieć dziś więcej, niż, dajmy na to, lat temu bodaj tylko pięćdziesiąt. Nie możemy już córek naszych wychowywać na ptaszki szczebiotliwe. Czasy się zmieniły. Co uchodziło przed laty, kiedy i płeć męzka obywała się całe wygodnie bez wiedzy, to obecnie nie wystarcza. I nam, mężom, i kobietom naszym, „trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty.“ Niektórzy lękają się, ażeby wiedza z uroku kobiety nie odarła. Ach! nie. Obawa to całkiem płonna. Przejdźmy jeno w myśli wszystko, co istocie człowieczej urok nadaje: wszystko to wspólnem jest rodzajowi męzkiemu i żeńskiemu. Miałażby wiedza jedna wyjątek czynić? Wygląda to na absurd, odznaczający się tem, że jest wielki. Nam nie do twarzy być osłami; do twarzy jednak być oślicami naszym siostrom, córkom, małżonkom!?... W tem sensu niéma.

Zosia nasza nic na tem nie traciła, że umiała więcej niż rówiennice jej, więcej niż jej matka, ciotki, stryjenki, znajome, sąsiadki, niż jej babka, prababka, więcej nawet niż p. Bablewska. Szko-

działoby jej to w jednym tylko razie: gdyby zarozumiałą była. O! wówczas, wielkim krzyknąłbym głosem: lepiej niech będzie głupiuteńką, jak skowronek! Przywara to obrzydliwa. Przeciwko niej atoli uzbroiło ją wychowanie domowe. Nie wszczepiono w nią zarozumiałości od kolebki, a to dlatego, że wszczepiano w nią przedewszystkiem poczucie obowiązku, zostawiając poczuciu prawa swobodę przyjścia samemu. W ten sposób zarozumiałość w niej zabito w zarodku. Przeczucie obowiązku przeszło następnie w pojęcie i to ostatnie rozwijało się w miarę jak dziewczyna podrastała. Urabiało się to wszystko naturalnie i swobodnie, dzięki dobrym przykładom, wywierającym wpływ ustawiczny. Zosia mądrą być mogła, jak Salomon: nie stałaby się przeto zarozumiałą, nie przestałaby szanować ojca i matki, którzy oboje razem mniej od niej umieli, nie stroiłaby min, ani wobec rówieśnic, ani wobec nikogo. Zresztą zarozumiałość chodzi w parze, nie z nauką istotną, nie z wiedzą rzeczywistą, ale bądź z ułamkami jednej lub drugiej, bądź też z umiejętnościami, podawanemi jako umiejętność a będącemi jej surrogatami. I przeciwko temu była bohaterka nasza zabezpieczoną. Zarozumiałość nie miała w niej racyi bytu: nie przyszła też, i dziewczyna była dziewczyną w najściślejszem a najpiękniejszem wyrazu tego znaczeniu.

Z jakąż radością ubierała się w futro i berlacze i obwiązywała sobie głowę chustkami, gdy sanie ojcowskie z zajezdnego przyszły domowstwa! Nie rozumiała jeno, dlaczegoby się obwijać miała i zaprotestowała przeciwko temu wobec pana Marcina, który także szubę na grzbiet wkładał.

— Ciepło przecie—mówiła.

— W mieście—odrzekł ojciec. Z miasta jednak wyjedziemy w pole.

— Prawda.—Zosia na to—różnica temperatury. Powietrze w polu nie ma się czem tak ogrzewać, jak w mieście.

W ten sposób, przyznawszy ojcu racyę, odziała się ciepło i wyszła za matką. Pani Marcinowa wsiadła do sań, Zosia wsiadać poczęła, kiedy nagle zatrzymać się i odwrócić głowę musiała, usłyszawszy obok siebie głośne pozdrowienie:

— Dzień dobry, p. Zofii.

— Dzień dobry, panu—odparła.

Pozdrawiającym był Julek. Poskoczył, podał Zosi ramię i pomógł jej do sań wsiąść.

Pan Marcin stał z boku, patrząc na młodego człowieka w złotych okularach i w futerku sobolowem, czyniącego przysługę córce jego.

— Dziękuję panu—przemówił uprzejmie.

— Pan Julian Homoński—odezwała się p. Marcinowa—elew niegdyś p. Kowalskiego.

Pan Marcin podał Julkowi dłoń, którą ten uścisnął i zapytał:

— Panie do Kalinowej?

— Zabieram je na święta—odparł p. Marcin.

— Życzę paniom wesołego przepędzenia czasu—przemówił młody człowiek do dam w saniach.

— Wzajemnie—odpowiedziała p. Marcinowa.

— Ah! — westchnął Julek i dłonią machnął. Skazanemu na samotność weselić się trudno....

— Jeżeli więc panu — podchwyciła p. Marcinowa nie sprawi to mitręgi jakiej, to wybierz się na dni parę do Kalinowej.

— Kalinowa nie za górami—dodał p. Marcin.

— Przyjedź pan—dorzuciła p. Zofia z uprzejmym naciskiem.

— Skorzystać nie omieszkam z zaprosin państwa — odparł młody człowiek z akcentem uradowania w głosie.

— A więc.... do miłego zobaczyska! — odrzekł p. Marcin, gramoląc się na kozioł i odbierając lejce i batóg z rąk woźnicy, który udał się za sanie, celem utrzymywania równowagi i bronienia takowych od wywrotu.

Zebrał lejce, huknął na konie, sanie ruszyły, wydając pisk i zgrzyt, pochodzący od tarcia się płoz o kamienie bruku miejskiego. Konie cztery wściąż założone napierały się mocno. Pan Marcin ostrożnie wymijał pojazdy i fury, aż za rogatką roz-

winął bat, palnął nad końmi i ruszył kłusem wyciągniętym.

Zimowa jazda.... o! zimowa jazda. Cóż to za rozkosz! We wspomnieniach moich z czasów młodości stoi ona, jako jedna z uciech, na którą oczekiwałem z utęsknieniem, z którą się rozstawałem z żalem. Ojcowie nasi znali się na niej i oceniać ją umieli, pozostawiając nam świadectwo tego w podaniach o kuligach. Sanna jazda była niegdyś najszybszą i najwygodniejszą. Zima, wielka inżynierka, równała drogi, skracała odległości, reparowała groble i mosty; była oraz hygienistką znakomitą, oczyszczając powietrze z miazmatów zaraźliwych i żyjątek mikroskopowych, i dlatego-to zapewne rozkosz taką sprawiała ludziom, dzieciom zwłaszcza. Rozkosz sprawia ona i dziś jeszcze, pod warunkiem zabezpieczenia się od zimna. Człek, instynktowie niejako, z ufnością całą, chłonie w płuca powietrze oczyszczone a jędrne, oddziaływające zbawiennie na organizm.

Bohaterka nasza używała rozkoszy prawdziwej począwszy od rogatek łyczakowskich aż do Kalinowej. Podróż powiodła się doskonale, pomimo wietrzyku, który ledziuchną sprawił zadymkę. Mróz trzymał; konie pomykały kłusem tęgim po ujeżdżonej drodze. Przejeżdżano przez wsi kilka, mimo karczem bez liku. Przy jednej z karczem p. Marcin stanął dla wytchnięcia koniom i napicia

się czegoś rozgrzewającego. Woźnica wychylił wódki kielich, panie i p. Marcin posilili się kawą. Przy kawie p. Kalinowski zapytanie uczynił:

— Homoński? czy nie z tych to, baronów?

— Z tych samych—odrzekła pani.

— Kowalski guwernerował przy młodym?

— Przyprowadził go do nas przy końcu lata i od czasu onego odwiedza nas niekiedy w środy.

— Zkądże się wziął przy saniach naszych?

— Przypadkiem zapewne.... przechodząc—odpowiedziała p. Marcinowa.

Przechodząc znalazł się młody Homoński przy saniach p. Kalinowskiego, ale bynajmniej nie przypadkiem.

Ot, co to gadać szeroko i długo! Zosia opanowała mu serce. Opanowała mu serce nie tak może, ażeby bez niej żyć nie mógł — chociaż i to dziwnem-by nie było, z tego względu, że i w czasach naszych ludzie z miłości we łby sobie jeszcze strzelają — dostatecznie jednak, ażeby zaprzątnąć mu umysł i wyciągnąć młodego pana na ofiary, na któreby się nie zdobył inaczej, a które, dzięki magnetycznej potędze miłości, nie wydawały się mu ofiarami wcale. I tak, naprzykład: wycofywał się, wycofywał powoli ze spółki życia na żart, jakie pędził przedtem i wycofał się z niej zupełnie. W in-

nych warunkach. byłaby to ofiara olbrzymia; wobec miłości dla Zosi ofiara ta doniosłości w oczach Julka nie miała żadnej. Stało się to naturalnie samo przez się, bez najmniejszej ze strony młodego człowieka premedytacyi. Doznawać począł wstrętu do uciech płatnych, pochodzącego nie z przesytu—przesycić się czasu jeszcze nie miał—lecz z czegoś, czego sam sobie wytłómaczyć nie umiał. Adelcia pewno nie była mniej piękną ani mniej dowcipną; woń esbukietu nie straciła na mocy; szampan musował jak zwykle, trufle pachniały, wrażenia gry wrażeniami być nie przestały: wszystko zachowywało znaczenie swoje, tylko ponad to wszystko strzeliła postać dziewicza, taka jakaś jasna, że ku niej zwróciła się cała jego uwaga i pragnienia wszystkie. Cóż jednak! Pokochał, a nie wiedział, co z kochaniem tem począć. Nie żal mu było rozstać się z przyjemnościami, któremi czas zabijał, a pozostało mu czasu mnóstwo takie, że stał się jako bogacz posiadający skarby, z których-by chciał nowy jakiś zrobić użytek, będący zagadką dla niego. Kochanie dało mu czasu bezmiar.

Bodaj, czy są ludzie nieszczęśliwsi od tych, co czasu mają zadużo. Zbytek czasu prowadzi do szaleństwa istnego. Ludzie, umartwieni fortunami olbrzymiemi, „mając na głowie dużo“ (wyrażenie techniczne), wysnuwają z głów biednych pomysłów tysiące, które w zastosowaniu zmieniają się

w trąd moralny, gryzący społeczeństwo. Pomysły tego rodzaju miewał i nasz Julek. I on trędowacił wszystko do koła siebie. Dobrze mu z tem było— swobodnie, wesoło, w sumieniu miał spokój: życie jego toczyło się na walcach niby; przelatywał jak ptaszek z gałęzi na gałąź; zbierał miód jak pszczółka z kwiatków, wyrastających w cieplarnianej atmosferze rozpusty. Nagle przestało mu to smakować.

Przyjaciele dziwili się.

— Julek—powiadali—poczciwy Julek.... Co mu się to stało?

Od czasu podróży owej nagłej, która mu wypadła w chwili, gdy młody hrabia Oskrzelski i dwóch innych *ejusdem farinae* młodzieńców czekali na powrót jego przed cukiernią, od czasu owego zaszła z nim zmiana, której ludzie wytłómaczyć sobie nie umieli.

— Czy nie chory?—pytali niektórzy.

Zapytywani ramionami ruszali, posądzając młodego barona, to o czarną melancholię, to o hipokondrye, to o początki pomieszania na umyśle, to o coś nakształt bzika czyli zajączka w głowie. Wydawało się to niepodobieństwem, ażeby człowiek wielkiej fortuny, „bez obowiązków“ (znów wyrażenie techniczne), mógł uczuwać wstręt, do Adelek, do pachnideł, do szampanów, do pasztetów truflowanych, do rulety lub przyjacielskiego faraonika

i do innych tym podobnych przyjemnostek, takich słodkich, niewinnych, a tak dzielnie pomagających do przepychania dni od chwili późnego wstawania do chwili późnego pójścia do łóżka.

— Julku — przemówił raz do niego jeden z życzliwych jego przyjaciół—tobie cóś jest....

— Cóś mi jest!—odrzekł Julek opryskliwie nieco.

— Tyś nie taki, jakim byłeś.

— Hm?—odmruknął i zamyślił się.

— Od czasu jak-eś włożył okulary, zaszła z tobą przemiana dziwna.

— Myślisz?—zapytał młody baron—od czasu jak-em okulary włożył?

— O tak.... postrzegamy to wszyscy. Wczora u Bysia była o tem gawędka szeroka.

— Raczyliście się zajmować osobą moją?

— Tak cię kochamy! Zgoda powszechna na to, że powinienbyś na czas jakiś z Łyczakowa wyjechać.... na zimę do Wiednia, albo do Paryża, na lato do kąpieli jakich lub nad morze.... Rozerwałbyś się, zabawił.

— Dobrze radzisz. Myślę i ja o tem.

Myślał Julek i o czem innem jeszcze, ale mu nie szło. Klątwa niby jakaś zaciężyła nad nim, która go do tego posuwała, że się nauki nawet chwytał. Nakupił sobie dzieł naukowych i zaglądał do nich, probując rozmiłować się w nich. Zaczynał od środka. Rozcinał kartki i czytał. Rzecz natu-

ralna, na nic to było. Zresztą, chociażby z początku zaczynał, nie przydałoby się to na wiele, miał bowiem dystrakcyę, skutkiem której nie zdołałby umysłu skupić. Dystrakcyę sprawiała mu kobieta.

Dystrakcya tego rodzaju należy do rzeczy bardzo pospolitych. Istnieją też systemata i metody, według których postępuje się z nią. Julek był we względzie tym mistrzem, ale, sprawiła mu dystrakcyę kobieta, nie taka jak inne. Gdyby Zosia była dziewczyną „po bożemu," jak to powiadają, wychowaną, to Julek wziąłby się do niej po szatańsku; gdyby była „dobrze" wychowaną, to trafiłby do niej jednym ze sposobów, jakie podają kodexy galanteryi. Do ptaszka, do kwiatka, do lalki, do papugi znał drogi, droga do panienki wychowanej racyonalnie, była mu nieznaną. Nie wiedział jak do niej przystąpić. Robił jeno to, na coby się był nie odważył przez wstyd wobec samego siebie: chodził na ulicę Szeroką i przechadzał się przed domem, w którym mieszkała ona.

Okna mieszkania p. Kalinowskiej nie wychodziły na ulicę. Ten był powód, dla którego ani p. Kalinowska, ani Zosia nie wiedziały, że młody baron zabawia się w rozkochanego, na wzór hiszpański lub włoski. Wstawał rano, ubierał się i wnet pędził na ulicę Szeroką.

W chwili, kiedy p. Marcin zabierał kobiety swo-

je do Kalinowy. znalazł się przy saniach. widok których zafrasował go.

— Czy nie po nią to?—zapytał sam siebie. przeczuciem tknięty.

Przeczucie nie omyliło go.

— Ano—rzekł sam do siebie, gdy sanie ruszyły. Pojechała.

Chciał natychmiast do domu wracać, kazać zaprzęgać i pędzić w też tropy. Wstrzymał się jednak. Do domu wrócił. lecz się namyślił i wyjazd na później odłożył.

— Wyruszę tak, ażebym na wigilią przybył do Kalinowej.

Wydało się mu to lepiej i składniej. Przemarudził dni kilka, a gdy wigilia nadeszła, zerwał się przededniem. ubrał przy świecach i szarzeć dopiero poczynało, kiedy sanki eleganckie, niedźwiedziem futrem obite. a czterema dzielnemi końmi zaprzężone. wywoziły go z pałacowego podwórza. Dzień był posępny, burzliwy; wiało śniegiem, który drogę zasypywał, mroźny wiatr bił w twarz, wicher huczał, ale „niemasz złej drogi do swojej niebogi.“ Konie kopały się przez zaspy śniegowe, unosząc za sobą lekkie sanki. Przejazd mil pięciu. który przy dobrej drodze nie zabrałby więcej nad godzin pięć. wliczając w to odpoczynek przy karczmie przerębelskiej. trwał dzień cały i nie mógł się obejść bez pomocy ludzkiej. Przy karczmie prze-

rębelskiej trzeba było zatrzymać się i o przewodnika się starać.

Sprawa o przewodnika wprowadziła Julka w styczność z żydem karczmarzem.

Żyd. dowiedziawszy się kto jedzie i dokąd, domyślił się więcej, aniżeli domyślać się wolno było. To naród taki przebiegły!

— Jaśnie pan do Kalinowy.... ny.... niech Pan Bóg pomaga.... Ale....

Ostatnie „ale“ cechował akcent szczególny, tak że młody baron zmuszonym się widział zapytać z naciskiem:

— No?

— Jest tam panna niczego. Ale....

— Cóż przecie?

— Pan Kalinowski człowiek.... Ale....

— Ale co?

— Był to kiedyś pan taki mądry.... fii ha!... Ale...

— No?

— Na gałgana schodzi — odrzekł żyd. ręką machnąwszy. Więcej wydaje jak dostaje....

— Żyje nad stan?

Żyd ramionami ścisnął i odparł:

— Ny, albo ja wiem.... Nad stan nie żyje, a pieniądze wydaje, wydaje i wydaje.... Bóg wie na co. Niby to na naukę panny.... Na naukę panny? Kto to widział! Czy to nie głupstwo, jaśnie panie? Panna taka, że aż patrzeć na nią miło: żeby do niej

jeszcze Kalinowa czysta. ot i rozumby miała.... Na co ją nauczać i na naukę długi zaciągać? Gdy ona zbiednieje, to, chociażby mądra była jak król Salomon.... kto ją weźmie? Pan Kalinowski idzie w gałgany.

Nie należy się mylić na znaczeniu wyrazu ostatniego. „Gałgan" w ustach żydowskich oznacza człowieka pozbawionego pieniędzy, stanowiących w mniemaniu potomków Izraela miarę wartości i zacności ludzkiej, mianowicie pomiędzy goimami. Żydowi żydzi wybaczają ubóstwo do pewnego stopnia: w nieżydach jest ono przedmiotem wzgardy głębokiej.

Młody Homoński nie miał panny Kalinowskiej za dziewczynę bogatą, nie znał atoli stanu interesów ojca jej, mianowicie zaś, nie znał szczegółu tego, że p. Marcin na edukacyę córki łoży nietylko to, czem rozporządzać może, ale czerpie wprost z kapitału, naraża mająteczek. Osobliwość ta do myślenia mu dała. Rozumiał on stratę majątku. lecz—jaką? na co?—na życie, albo też na hazardy. Znaczenia „życia" nie będziemy podnosili: znanem jest ono—jeden z magnatów naszych stracił milion na *uaranżowanie* jednego balu. O hazardach słówko powiemy. Wypływają one wprost ze stolika zielonego i idą ztamtąd na giełdy i na spekulacye ryzykowne. Zagrożeni majątkowo śpieszą po ratunek tam, gdzie takowy zależy od faworu losu,

który ich wrzucił do kolebki postawionej w pałacu. Prowadzi ich tam ufność w los. Gdy zaś ten nie dopisze—nieszczęście! W wyrazie tym zawiera się usprawiedliwienie, pociecha i uspokojenie sumienia. Marnotrawca zrobił wszystko, co mógł, celem uratowania się z toni: poszedł z ostatkami grać na bursie—przegrał i, przynajmniej nic sobie do wyrzucenia nie ma. Pozostaje mu: albo w łeb sobie wypalić, albo zostać *chevalier d' industrie.* Julek rozumiał takie majątku narażenie. Żeby zaś narażać majątek na to, aby kobiecie dać edukacyę racyonalną, to mu się w głowie pomieścić nie mogło.

— Czyste dziwactwo—mówił do siebie, jadąc od karczmy przeręblowskiej do Kalinowej.

W przekonaniu jego, dziwaczenie, jeżeli dozwolonem być mogło komu, to nie szlachcicowi wioskowemu. Przyszła mu na myśl własna jego matka. Któż nie znajdował naturalnem i godziwem przywiązania jej do piesków, małpeczek i papug! Wyobrazić sobie jednak ze słabością tego rodzaju taką panią Kalinowską: co też-by to było śmiechu! Pani Homońska, gdyby się to jej podobało, mogłaby Lizunię i Irę uczyć kazać matematyki, chemii, fizyki, fizyologii, geologii i t. d., i nikt-by z racyi tej słowa do zganienia jej wybryku tego nie miał. Ale p. Kalinowski! p. Kalinowski! szlachetka zagrodowy prawie — żeby się czegoś dopuszczał podobnego!

Julek usposobionym był do wielkiego względem ojca Zosi pobłażania; wszakże, wydawało się mu, że p. Marcin posuwa dziwactwo za daleko trocha, zwłaszcza, iż dziwactwo owo jeszcze, Julkowi wpoprzek drogi leżało, jako zawada do usunięcia trudna. Gdyby nie ta niewczesna p. Marcina mania, do Zosi prowadziła go droga bita. Tak zaś, szedł z oczami zawiązanemi—kochał się, bez nadziei.

Sytuacya fatalna! biorąc zwłaszcza na uwagę nadzieje, jakie młody baron mógł mieć w odniesieniu do panny Kalinowskiej. Określa je dostatecznie czarownik: „kochał się“ — to znaczy, miał na widoku romans—romans czuły, najczulszy, najbardziej rozczóchrany, zawsze jednak romans, którego rezultat ostateczny wyrażał się zapomocą wielkiego znaku zapytania. Z romansu wyniknąć mogło coś bardzo przyzwoitego, jak naprzykład, złączenie się węzłem małżeńskim barona z prostą szlachcianką; mogło atoli wyniknąć i co innego. Zależało to od tysiąca okoliczności, przewidzianych i nieprzewidzianych. Julek był dzieckiem wieku swego, miał więc w sobie materyał na dyplomatę na módłę Andrassych, Bismarków i wielu innych: nie mógł przeto z góry rezultatu ostatecznego stawiać ani definiować. Stosował się nie do przyszłości, lecz do chwili obecnej, w której przedstawiał się mu romans.

Przedstawiał się mu romans, a nie wiedział, biedaczysko, z której do niego przystąpić strony.

Kto był temu winien?—p. Marcin.

Julek przeto z nienajlepszem dla ojca ukochanej usposobieniem dojeżdżał do Kalinowej.

Za dnia jeszcze eleganckie sanki młodego barona wbiegły na podwórzec kalinowski. Stangret palnął razy dwa z bata, zatrzymał konie przed gankiem; na ganek wyszedł p. Marcin.

— A! witam pana!—zawołał ten ostatni. Jak mi Bóg miły, potrzeba być bardzo łaskawym na nas, ażeby w taką przyjeżdżać porę.

Nastąpiło powitanie, ze strony gospodarza, serdeczne, chociaż nie manifestujące się w pocałunkach na sposób dawniejszy. Pan Marcin prosił gościa do środka i prowadził go przez sień do przedpokoju, w którym młody Homoński otrzepywał się ze śniegu i rozbierał z ciepłej zwierzchniej odzieży.

— Fatalna pora!—mówił gospodarz. Nie przeziąbłeś pan?

— Trochę, ale nie bardzo. Ciepłe futro, berlacze.

— Tak, futro niedźwiedzie, berlacze futrzane, to zabezpiecza od mrozu, zwłaszcza gdy mróz nie przechodzi 15 stopni Reaumura. Ale okulary dokuczyć panu musiały. Czemuś pan okularów do futerału nie włożył?

— Bez okularów nie mogę—tłómaczył się Julek.

— Krótki ma pan wzrok?

— Tak, hm. Bardziej słaby, aniżeli krótki—odpowiadał, obcierając szkła spotniałe.

— Pan nosi konserwy — rzekł p. Marcin. przypatrując się zdaleka.

— Tak, hm.... konserwy.... Noszę je na wyraźny Bajdykiewicza rozkaz.

— Bajdykiewicz lekarz dobry.... tylko oczy to specyalność nie jego.

Julka niecierpliwiła indagacya, mogąca doprowadzić do odkrycia nieznanej światu tajemnicy; przerwał więc:

— Jakże się tu państwo miewacie?

— Wybornie—była odpowiedź p. Marcina. który następnie prowadził gościa do pokoju bawialnego.

Julek z ciekawością niejaką oglądał się w pomieszkaniu, będącem dla niego nowością do stopnia pewnego. Panowie jego kalibru nie pospolitują się z ludźmi kalibru p. Marcina, a jeżeli raczą wstępować do nich, przybierają na siebie rolę *des bons princes*. W roli tego rodzaju znalazł się i nasz Julek. Usiłował więc być bardzo grzecznym i jak można najserdeczniejszym, będąc przygotowanym chwalić z góry wszystko, co mu się nawinie. Bywa jednak we względzie tym to, co łacinnicy nazywają: *modus in rebus*. Przedmioty niektóre napraszają się o pochwałę, inne nie. Do rodzaju tych ostatnich należał dom p. Marcina, i wszystko co się

znajdowało w tym domu. Gość mógł urządzenie onego znajdować znakomitym, lecz znakomitość owa nie nadawała się do pochwał. dlatego że rzecz każda na swojem. na właściwem była miejscu. W pokoju bawialnym, naprzykład, otoczyły Julka ciepło, czystość, powietrze świeże i zdrowe; gdzie jeno okiem rzucił, do zganienia ani do pochwalenia nie nastręczało się nic; nie rzucały się w oczy, ani brak żaden, ani przesada najmniejsza. Gospodarz okazywał uprzejmość, lecz nie posuwaną zadaleko.

— Proszę się rozgościć—mówił. Potrzebujesz pan po podróży przejść się po izbie, celem przywrócenia swobody członkom, więzionym przez godzin kilka. Drogę miałeś pan złą?

— Zasypana—odparł Julek.

— Konie pomęczyć się musiały.

— O tak.

— Widać to po oparze. jaki z nich szedł. gdy przed gankiem stanęły.

Zamieniwszy w rodzaju tym frazesów kilka, pan Marcin odezwał się wreszcie:

— Muszę też pana zaznajomić nieco ze zwyczajami domu.... Gościowi pod dachem moim zostawiam swobodę zupełną, ale też nie ścieśniam swojej dla gościa, uważając go, gdy próg mój przestąpił. za członka rodziny. Stosownie do tego, niech się pan urządzi. Będziesz miał izbę własną; wyjdziesz kiedy ci się podoba do pokojów, w których się

zgromadzamy. Śniadanie, obiad i wieczerzę jadamy o ósmej, o wpół do pierwszej i o wpół do siódmej wspólnie. W dniu dzisiejszym, wieczerzę podadzą nam później nieco z powodu święta jutrzejszego.

— O panie! — odparł Julek — zastosuję się do zwyczajów ściśle.

— Ścisłość nie jest konieczna - odrzekł p. Marcin z uśmiechem. Jeżelibyś pan, naprzykład, wolał spożywać śniadanie w pokoju swoim, to potrzeba jeno, ażebyś tego zażądał, a stanie się zadość życzeniu pana. Zresztą, teraz świętujemy. Dzień jutrzejszy spędzamy w domu, pojutrze pojedziemy w sąsiedztwo; na drugi dzień świąt ktoś zapewne do nas zajrzy, tem pewniej, że są to urodziny a zarazem i imieniny żony mojej.

— A!—zawołał Julek.

W okrzyku tym zabrzmiały wyrazy: „o, tom się złapał!“

— Bardzo panu radzi jesteśmy—ciągnął gospodarz. Żonę moją i córkę ucieszy przybycie pańskie.

— Jakże zdrowie pań?—zapytał młody człowiek

— Dziękuję—odrzekł p. Marcin. Zajęte są wieczerzą i przysposobieniami do spędzenia wieczoru.

— Więc u państwa wieczór dziś? Potrzeba zatem, żebym kostium zmienił?

— O nie. Goście dzisiejsi formalizować się nie będą co do kostiumu pańskiego. Pozostań pan, jak

jesteś i wybacz mi, że cię na chwilkę opuszczę.... Oto są dzienniki i pisma—dokończył, ukazując na stół.

Wyszedł.

Julek pozostał sam. Usiadł najpierw i wziął pierwszą lepszą książkę do ręki. Lecz tytułu nawet nie przeczytał. Książkę położył, wziął dziennik.

— Polski? — rzekł do siebie, skrzywiwszy się nieco.

Do dzienników polskich czuł wstręt, wrodzony niejako, a pochodzący ztąd, że ludzie sfery jego tradycyjnie spoglądają z ukosa na płody piśmiennictwa krajowego. Jest to następstwo, o ile naturalne, o tyle konieczne, wychowania według wzorów zagranicznych modelowanego, a stawiającego „władanie“ za ideał. Możni panowie polscy w czasach dawnych, kształcili się na władców, mających mieć do czynienia z tłumami niesfornej szlachty. Dawni panowie, chcąc niechcąc, wdawali się z narodem reprezentowanym przez szlachtę. Nowoczesnych nic do tego nie zmusza: zależy to całkowicie od skłonności ich, od gustu, od fantazyi zresztą—od poczuwania się do jakichci przecie obowiązków u niektórych. To też, kogo skłonności, gust, albo fantazya nie prowadzi, a poczuwanie się do obowiązków nie ponagla, ten o piśmiennictwie krajowem ani wiedzieć chce. Nie istnieje ono dla niego.

Znam w Lodomeryi pana jednego — człowieka postępowego—który dla siebie trzyma pisma niemieckie i francuzkie i prenumeruje jedną gazetę polską—dla lokajów swoich!

Julek w wyobrażeniach tych wychował się i wyrósł. Zasady, jakie w duszę jego przypadkiem się zwróciły od Kowalskiego, nie miały możności rozwinąć się w następstwie, przygłuchły nakształt plonu padalicznego na niwie burzanów. Nie mógł się zdobyć na odwagę zajrzenia do dziennika, który w ręku trzymał. Cisnął go na stół i począł powoli po pokoju krążyć, zatrzymując się, naprzód, przed oknami, przez które, z powodu zamarznięcia szyb, nic widzieć nie mógł, następnie przed obrazami, których, z powodu roztargnienia, rozpoznać nie umiał, wkońcu przed fortepianem, który uwagę jego zwrócił. Był to Erard.

— Hm? — mruknął sam do siebie, jakby się dziwił obecności instrumentu tego w miejscu takiem.

Wziął akordów parę; usiadł i grać począł inwitacyę jakąś.

Przyinwitował pannę Zofię. Wbiegła w fartuszku, osłaniającym ją z przodu całkowicie. Julek zerwał się od fortepianu.

— Przyszłam na chwilkę powitać pana.

— Pani tak zajęta?

— O, i bardzo! Układam podarki dla kolędników.

— A toż znów co?

— Zajęcie bardzo ważne. Będziemy mieli huk gości, których obdarzać potrzeba. Nie mogę z panem zostawać dłużej.

Nie przepraszała nawet—dygnęła i wyszła.

— No, no — mówił do siebie Julek, chodząc po pokoju. Gościnność staropolska nie w tym ponoś praktykuje się domu....

Po chwilce weszła pani Kalinowska.

— Jakżeś pan poczciwie zrobił, żeś przyjechał!— powiedziała po przywitaniu się. Spodziewam się, że przez czas cały pobytu będziesz pan dom nasz za swój uważał. Proszę ze mną, pokażę panu pokój pański.

Poszła przodem, młody baron za nią. Przechodzili przez salę jadalną. Julka zdziwił nieco stół duży, na osób dwadzieścia parę nakryty. Za salą jadalną przeszli pokój, z którego pani Marcinowa drzwi otworzyła i rzekła:

— Oto ten.

Julek wszedł do schludnej, ciepłej izby, w której lokaj jego zajęty był rozkładaniem na stole przyrządów toaletowych.

Młody baron, zostawszy odprowadzonym przez p. Marcinową do przeznaczonego dlań pokoju, uważał się poniekąd za konsygnowanego na czas jakiś. Nie mógł mieć za to pretensyi najmniejszej; zresztą,

było to w porządku. I jeszczeż należało przygotować się do wieczerzy! Nakrycie na osób tyle intrygowało go.

— Nie wiesz—zapytał lokaja—czy oprócz mnie, przyjechał tu z gości kto jeszcze?

— Nie wiem, jaśnie panie. Nie zdaje się jednak.

— Jakże tu we dworze?

— A nic. Służby mało. Zapytywałem o lokai.... o lokaja.... niema....

— Usługują więc?

— Kobiety, proszę jaśnie pana. Ja nie rozumiem, jak to tu idzie.

Julek pomyślał przez chwilę i odezwał się:

— Musi znajdować się przy pannie pokojówka jakaś.

— Jeszczem się nie rozpatrzył, proszę jaśnie pana.

— Rozpatrz-że się. Zabawimy tu przez jutro i przez pojutrze.

— Słucham, jaśnie pana.

— Dostań mi —tu wymienił części odzieży, jakie za właściwe uważał włożyć na siebie do wieczerzy i usiadł przed zwierciadłem podróżnem, celem przygładzenia sobie włosów i włożenia krawata.

W tem miejscu nie od rzeczy będzie dać opis postaci młodego barona. Nie był to może, ani Ganimed, ani Apollon, miał jednak cechy owe młodzieńca polskiego, które Polaka naznaczają, piętnem ni-

by, śród młodzieży wszech narodów, z wyjątkiem chyba angielskiej, posiadającej także cechy sobie właściwe. Wzrost jego przechodził mierny nie o wiele; Julek zbudowany był kształtnie i silnie, oblicze miał otwarte, czoło wyniosłe, oczy—oko raczej—szafirowe, zarost na głowie ciemnopłowy, na policzkach jaśniejszy, wąs pełny, słowem, był to młodzieniec jeden z takich, do których dziewczęta rade oczami strzelają.

Przyczesał włosy, poprawił krawata, włożył na siebie odzienie inne i zawahał się: co robić dalej?—kiedy wszedł p. Marcin.

— No i cóż—odezwał się—zainstallowanyś pan u siebie. Przychodzę w odwiedziny, które potrwają krótko. Zwyczaj każe zasiadać do wieczerzy wraz z ukazaniem się pierwszej na niebie gwiazdy. Dziś jednak bez gwiazdy do wieczerzy zasiądziemy. Chmury niebo zasłoniły. Proszę pana.

Były to zaprosiny do wieczerzy.

Przeszli do sali jadalnej, którą Julek, ku niemałemu zdziwieniu swemu, zastał zapełnioną gośćmi. Pan Marcin przedstawił go: nauczycielowi szkółki wiejskiej, ekonomowi i księdzu proboszczowi; przedstawiał go oraz paniom: proboszczowej, ekonomowej i nauczycielowej. Było tam i panien na wydaniu dużo i paniczów ze szkół trzech i dzieci kilkoro. Młody baron, jak żyje, nie znajdował się

w towarzystwie podobnem. Kłaniał się; usiłował być grzecznym; czuł się jakby okradzionym.

Nastąpiło łamanie się opłatkiem. Gospodarz i gospodyni z talerzem w ręku obchodzili gości, składając życzenia zastosowane do okoliczności.

Zwyczaj ten nie był młodemu panu obcym. Przypomniał mu lata dziecinne, zarazem jednak wzbudził w nim jakoweś rozrzewniające politowanie, podobne do tego, jakie w ludziach klass wyższych wzbudzają zwyczaje przez lud zachowywane. Rozłamał opłatek z gospodarzem domu, z gospodynią i z panną Zofią. Pierwszym dwojgu składał życzenia pospolite, zdrowia, szczęścia i pomyślności wszelakiej, ostatniej życzyć chciał czegoś nadzwyczajnego, zająknął się, zaplątał i powiedział coś ni w pięć ni w dziewięć.

— Niech mi pan życzy tego, ćoby się przydało komu na co—podpowiedziała panienka tonem półżartu.

— Cóż więc pani życzyć będziesz mnie? — zapytał.

— Tegoż samego.

— A?—to go zastanowiło.

Chciał coś powiedzieć, lecz Zosia zajęła się dziećmi ekonomskiemi, które ją otoczyły.

Gospodarz zbliżył się z flaszką wódki i z kieliszkiem w ręku.

— Lutrówka, pozwoli pan dobrodziej?

— Proszę.

Młody pan wychylił kieliszek, poczem zajął przy stole miejsce, wskazane mu przez p. Marcina.

Wieczerza odbywała się według przepisów, jakie zwyczaj starodawny podaje. Stół był sianem wysłany, w kącie stał snop zboża rozmaitego; na stole strucle czarnuszką obsypane, poczestne zajmowały miejsce; w koszykach rozstawionych wzdłuż wznosiły się piramidalne stosy pierożków i knyszyków. widzieć się dawało wina butelek kilka i piwo w karafkach. Rozlano zupę — barszcz z grzybkami i uszkami. Julek był głodny, z apetytem więc oczyścił talerz, nie odzywając się do sąsiadów zastolnych, z których jeden był to nauczyciel, drugi ksiądz. Po zupie wystąpiły rybne dania, dalej kapusta. suszenina i kutia, na widok której dziatwa okrzyk radości wydała. Przy stole toczyła się rozmowa urywana, przy kutii dopiero zawiązała się ogólna, do której powód dał ksiądz, zawezwawszy p. Marcina, ażeby prognostykował, co się pasieki tyczy. Na wezwanie to, gospodarz nabrał kutii na łyżkę i cisnął takową na sufit. Wszyscy oczy do góry wznieśli i Julek ze wszystkiemi, a ekonom zadecydował:

— Będzie ci rosła.

— Co to znaczy?—zapytał młody baron p. Kalinowskiego.

— To. panie, nie znaczy nic—odpowiedział ten-

że — prognostyk, nie mający racyi żadnej. Dawniej, kiedy przesądy panowały silniej, aniżeli dziś, było to badaniem wyroczni; dziś, kiedy racyonalizm brać poczyna nad przesądami górę, jest to zabawka niewinna, jak puszczanie wianków, jak sobótki, jak kupało, jak wiele innych praktyk, które przeszłość w spadku nam pozostawiła.

— Jak samaż wieczerza—dodał nauczyciel.

— Tak—odparł p. Marcin. Wszakże, wieczerza ma znaczenie podnioślejsze, służąc za pretekst do zgromadzania się rodzinom. Zgromadzenia tego rodzaju przyczyniają się dzielnie do zacieśniania węzłów rodzinnych. Uczty ludzi zbliżają i zapoznawanie się ich wzajemne ułatwiają, co w życiu społecznem stanowi rzecz bardzo ważną, zwłaszcza w odniesieniu do rodzin, na fundamencie których zbudował się cały porządek towarzyski. Naród, ludzkość cała, jest to jedna wielka rodzina, w której ideał porządku opiera się na życzliwości wzajemnej członków, jednego względem wszystkich i wszystkich względem jednego.... Ideał ten przyświeca postępowi, cywilizacyi, ku niemu kroczymy pod hasłem Chrystusowem, święcąc uroczyście rocznicę narodzin tego, co pierwszy miłości znaczenie obowiązku nadał. W duchu tym zasiadamy do spólnej uczty, i z tego powodu uczta, zwana wieczerzą pańską, jest jedną z najpiękniejszych.

— Nie obchodzą jej jednak narody inne — odezwał się Julek.

— Przepraszam pana — odrzekł pan Marcin. Narody chrześcijańskie wszystkie święcą rocznicę narodzin Chrystusa. U Anglików, naprzykład, jest to święto jedyne, i Anglicy, tak jak my, obchodzą je ucztą rodzinną, tylko, że zamiast ryb mięso jedzą. Niemcy zgromadzają się około sosenki; Hiszpanie i Włosi mają swoje sposoby obchodzenia tej rocznicy; my ją obchodzimy po swojemu.

— I obchodzimy lepiej niż inni — podchwycił ksiądz proboszcz—bo i z opłatkiem i z rybką.

Ksiądz ryb amatorem był wielkim.

— Po swojemu — powtórzył p. Marcin—według zwyczaju z dawiendawna przyjętego, któremu nic niema do przyganienia, a wiele do przyświadczenia.

— Z wyjątkiem — dorzucił nauczyciel — jeżeli onemu towarzyszy zbytek.

— To się rozumie samo przez się. Zbytek naganny jest w razie każdym, i w razie każdym oznacza stan chorobliwy. Woda, napój najzdrowszy i najniewinniejszy, gdy kto go nadużywa, sprowadza chorobę kamienia, gdy zaś kto pociąg szczególny do wody czuje, jest to oznaka gorączki... Ucztowanie spólne pod tym jeszcze warunkiem pożytek niesie, że nie służy za pozór do obżarstwa, i opilstwa.

Kutia zakończyła wieczerzę. Julek wstał od sto-

łu nie głodny, ale znudzony trocha. Dobry humor, jaki przy uczcie panował, nie był zaznaczony mianownikiem, do usposobienia i nawyków jego przypadającym. Pani Kalinowska zajęta była małżonkami proboszcza nauczyciela i ekonoma, panna Zofia uwagę główną zwracała na dzieci, panny ekonomówna i księdzówna, siedząc jedna obok drugiej, szeptuszkami się zabawiały i z pod oka na młodego barona zerkały. Nie dziw: Julek był kawalerem przystojnym. Zerkanie panieńskie nie miało w sobie nic nagannego, było jednak zabawnem i zabawność ta rozrywkę niejako młodemu baronowi sprawiała. Widział przecież, że ktoś go dystynguje—to raz: powtóre, spojrzenia panien cechował wyraz, który Julkowi wydawał się wielce oryginalnym. Gdyby nie to, że zadaleko od niego siedziały, byłby miał gawędkę może, jako przyprawę do karpia z szarym sosem, do lina na zimno, do karasiów z podlewą i do szczupaka smażonego. Chciał się do nich zbliżyć po wieczerzy, ale—uciekały. Zbliżył się więc do p. Zofii.

Co do panny Zofii, nie dziw, że młody baron był w niej po uszy rozkochany. Wyglądałaż-bo prześlicznie! Włożyła suknię błękitną, obszytą szlarkami białemi, włosy zaczesała *à l' antique*, oblicze ustroiła w wyraz wesołości szczerej: w tem przeto ubraniu i z tym wyrazem stała się, bez ogródek mówiąc, zachwycającą. Rzecz prosta, baronowi

ona sama nastręczała się jako przedmiot do zawiązania rozmowy. Na salonie przyszłoby to samo przez się. Młody człowiek uważałby sobie za obowiązek pochwalić jej strój jej głowy uczesanie, ją samą zresztą. Tu jednak. przedmiot ów nie nadawał się jakoś, inny zaś nie nasuwal się—tak. że biedny Julek. podszedłszy do p. Zofii. otworzył usta i puścił język, ażeby sam sobie drogę szukał. I język jego następujące wydał wyrazy:

— Pani wesoła dziś....

— O! bardzo mi wesoło—odparła—powtarza się to jednak za każdem Bożem Narodzeniem.

— Pani tak zajęta!

— Zobaczy mnie pan wnet zajętą bardziej jeszcze.

— Pani, jak widzę, duszą całą oddaje się, w Łyczakowie naukom, a w Kalinowej zabawom.

— Czy to co przeszkadza jedno drugiemu? —zapytała z niejakim zaciekawienia akcentem.

— Czy przeszkadza? Pani nie przeszkadza, ale... pani tylko.... Żadna inna dwóch tych rzeczy pogodzićby nie mogła. Pani wyjątkową stanowisz istotę.

— O!—odezwała się Zosia tonem protestu. Nie poczuwam się do wyjątkowości żadnej.

— Tak jednak jest.

— Jest tylko tak, że dwóch rzeczy naraz nie robię: gdy się bawię. to nie uczę. gdy się uczę to nie

bawię. To samo z siebie przychodzi i, zdaje się, inaczej być nie może.

Julek zabierał się odpowiedzieć coś na to, gdy zaszła przeszkoda, która Zosię od niego odwołała. Przyszła baba jakaś z wieczerzą na miseczce. Trzeba było miseczkę jej wypróżnić i natomiast dworskiej wieczerzy nałożyć. Po tej nadeszła druga, trzecia, czwarta, dziesiąta — z każdą i pogadać i zamieniać się na wieczerzę należało. Julek zabawiać się musiał z panami i paniami, rozprawiającemi o rzeczach, które go nie obchodziły wcale.

Około godziny dziewiątej słyszeć się dała pod oknami kolenda. Dziecinne głosy zgodnym odezwały się chórem, któremu wnet odpowiedział chór w pokojach. Panna Zofia poskoczyła do fortepianu i uderzyła w klawisze. Ksiądz proboszcz przyłączył się z głosem basowym, w głos księdzu wpadł nauczyciel, nauczycielowi ekonom, i zaimprowizował się chór chwały na cześć Chrystusa, hymn prostaczy, któremu wtórzył wicher zimowy. Z uszanowaniem pochyliły się głowy słuchaczy; zapanował nastrój uroczysty. Julek zwrócił oczy na p. Zofię, która, z podniesionym lekko do góry wzrokiem, z wpółotwartemi usty, jaśniała niby, świeciła jakby wcielone w dziewiczą postać natchnienie pobożne, gotowa podnieść się z taburetu w powietrze, położyć na tonach, kołysać się czas jakiś na takowych i ulecieć następnie w bezmiar

błękitny, gdzieś, aż na łono Wielkiego Nieznajomego, którego ludzie przeczuwają, nie mając możności, ani pojąć go, ani nazwać nawet. Młody baron wpatrzył się w nią i zapomniał. W zapomnieniu pozostawał, aż się kolenda zakończyła. Panna Zofia jeszcze ją w pasażach kilku uzupełniła i zaokrągliła finałem. Wreszcie zerwała się, przez bawialny pokój prędko przebiegła i za drzwiami znikła.

— Chce pan być świadkiem rozdawnictwa podarków? — zapytał p. Marcin barona, mimo przechodząc.

— Owszem, najchętniej—odpowiedział tenże.

Niedaleko iść mieli. Obszerna jadalna sala do połowy napełnioną była dziatwą wiejską, błyszczącemi oczami spoglądającą na stół. A, bo też było spoglądać na co! Na stole leżał stos pakiecików, pozwijanych w kształcie wałeczków, obok tego zaś stosu. piramida jedna knyszyków, druga pierożków z grochem, z kapustą, z powidłami i z makiem. Dzieci patrzały, aż oczy zrywały. Podobały się im knyszyki i pierożki; wałeczki atoli intrygowały je tajemniczością swoją. Otaczały stół tłumem zbitym, i niektóre wpatrując się, usta pootwierały.

Rozpoczęło się wreszcie rozdawnictwo podarków. Panna Zofia, biorąc ze stołu po jednym knyszyku, po jednym pierożku i po jednym pakieciku, podawała je każdemu zosobna chłopcu. Gdy podała pierwszemu, nauczyciel się odezwał:

— Nie rozwijaj, aż w domu, bo zgubisz na drodze.

Chłopak pakiecik w zanadrze wsunął.

Panna Zofia do każdego przemawiała, po imieniu go nazywając. Naprzykład:

— To ty, Jasiu! jakieś ty wyrósł! Umiesz już czytać?

Nauczyciel odpowiadał za zapytywanego. O jednym się wyraził:

— O.... ten..to mój uczeń najlepszy....

— Umiesz dużo?—zapytała p. Zofia.

— Ta...—odparł chłopak, przestępując z nogi na nogę.

— Wiesz co o wróblu?

— Wiem.

— Cóż przecie?

— Wróbel należy do działu zwierząt kręgowych, do gromady ptaków rzędu pierwszego, jak szczygieł, gil, sikora, opierzony jest szaro, mieszka w pobliżu człowieka, lecz się oswoić nie daje, żyje gromadnie i tylko w porze wysiadywania jajek dzieli się na pary, samiczka niesie pięć do sześciu jaj.

Tu się chłopak zatrzymał.

— W jakich strefach przebywa?

— W umiarkowanych.

— Czy chłopcy dobrze czynią—zapytał p. Marcin—wydzierając gniazda wróble?

— Bardzo źle—odpowiedział chłopiec.

— Czemu?

— Obliczono, że jedna para wróbli znosi, w tygodniu jednym, pisklętom swoim do trzech tysięcy pięciuset gąsienic.

— Wybornie — pochwalił p. Marcin.

Panna Zofia dała chłopcu pierożek jeden więcej.

Egzamen ten improwizowany miał swój ciąg dalszy. Pani Marcinowa zagabnęła jednego z chłopców znienacka o mąkę, z jakiej zrobiono knyszyki. Odpowiedział bez zająknięcia:

— Z pszennej.

— Dobrze — odparł p. Marcin — powiedz mi jednak, co ty o pszenicy wiesz?

— Wiem o pszenicy, że to zboże, które bywa ozime i jare, sieje się na gruncie każdym, ale źle udaje się na glince i na ziemi mokrej.

— Wybornie — przerwał p. Marcin. Powiedz-że mi, ile w rodzinie waszej potrzebujecie zboża każdego gatunku na przeżycie roczne.

Chłopak wykonał obliczenie z pamięci, podając ilość dokładną w korcach i garncach i dostał za to pierożek jeden więcej.

Gawędka ta z dziećmi zafrasowała wielce młodego barona. Przedstawiła się mu ona nakształt objawienia, którego jednak nie zrozumiał dokładnie. Coś mu się tam po głowie roiło, wyobraził sobie atoli, że wyuczenie owo chłopiąt jest czemś nakształt fantazyi matki jego, prowadzącej do rozmiłowania się w pieskach, w małpeczkach i pa-

pugach. Od baronowej papugi wyuczyły się także odpowiadać na pytania różne. Nie pochwycił praktycznej tej nauki strony — nie umiał w głąb' jej wglądnąć. Zajęła go jednak, a to tem bardziej, że widział Zosię zajętą ogromnie. Rozdawała, rozpytywała. Znalazło się dzieci parę takich, w rodzinie których był ktoś chory; dowiadywała się więc o zdrowie i o lekarza, czy się do niego zgłaszano. Gdy wreszcie chłopak ostatni podarunek otrzymał, wówczas nauczyciel wystąpił, rękę podniósł, dał nią znak i tak się odezwał:

— No, a teraz.

Chłopaki się nastawiły; słyszeć się dało pomiędzy niemi chrząkanie, niby gardł strojenie. Nauczyciel począł takt znaczyć i wskazał nagle palcem na jednego z chłopców, który wnet zaintonował:

„Ludzka praca—boża wola,
Kmieć to boży—pług i rola.“

Nutę śpiewu podchwycili inni i zabrzmiała pieśń chóralna, na podziękowanie panu Marcinowi za gościnność.

Po odśpiewaniu tej pieśni, gospodarz i gospodyni pożegnali uprzejmie gości małoletnich i ci wynieśli się z pokoju.

Po dzieciach wkrótce wynieśli się księdzowstwo, ekonomstwo i nauczyciel z małżonką i z dziatwą.

Państwo Kalinowscy, panna Zofia i młody baron przeszli do pokoju bawialnego.

— No—odezwał się p. Marcin—skończony dzień radości. Niebawem i nam trzeba będzie na spoczynek się udać.

— Możemy pozwolić sobie dziś dłużej trocha—odrzekła p. Marcinowa.

— O wy, mieszczki!—podchwycił p. Marcin żartem. Ja wieśniak, o dziewiątej czuję już pociąg do poduszki.

— Panie w Łyczakowie nie bawią się z wieczora dłużej niż do jedenastej—wtrącił Julek.

— Nigdy dłużej—odparła p. Marcinowa.

Zawiązała się krótka o czasowaniu wieczornem rozmowa, o którą na mocy powinowactwa materyi, zaczepiła się rzecz o wieczorze upłynionym. Julek wyznał, że wszystko co widział i słyszał, było nowością dla niego.

— A przecie, nie jest to nowość żadna — odparł p. Marcin.

Pani Marcinowa zauważyła, że w dawniejszych czasach nie odbywało się to zupełnie tak, jak w Kalinowej.

— Zapewne. Czas przynosi modyfikacye pewne, do potrzeb się stosujące, które zwyczaje stare, jedne zmieniają, drugie usuwają. Za pradziadów naszych oświata ludu była wilkiem żelaznym; ktoby o niej był wspomniał, poczytanoby go za waryata.

Dawniej przeto dawano kolendnikom po groszu i to wystarczało. Dziś co innego. Oświata ludowa przez waryata chyba uznawaną jest za niepotrzebną: trzeba zatem zwyczaje dawne do nowych naginać potrzeb.

— Nie wszędzie się to jednak robi—odrzeka pani Marcinowa.

Pan Marcin za odpowiedź całą ramionami ruszył.

Młody baron zapytał:

— Cóż zawierały pakieciki owe?

— A, o tem niech Zosia pana objaśni, jej to bowiem wynalazek.

— Pakieciki owe zawierały—odpowiedziała panna Zofia—niespodzianki różne: książki, wzory kaligraficzne, ołówki, kałamarzyki, piórniki, nożyki.

— Oto uciecha na wsi będzie!—zawołał p. Marcin, który, jak się zdaje, nie był wtajemniczony w zawartość pakiecików.

— Wyobrażam sobie!—dodała Zosia z naciskiem.

— Panią cieszy uciecha dziatwy chłopskiej—rzekł ze zdziwieniem niejakiem młody baron.

— Ach! panie, od zeszłorocznych świąt Bożego Narodzenia myślałam o tem i powoli, przez rok cały z oszczędności różnych, do gromadzenia których mama się przyczyniła, skupowałam przedmioty na niespodziankę tegoroczną. Zrzekłam się dla nich sukni jednej i kapelusza.

Powiedziała to z taką swobodą i z takim spoko-

jem, jakby ani przypuszczała, ażeby Julek pomyśleć mógł: „A, to waryacya czysta!“

Czy on tak pomyślał, pozostaje to tajemnicą dla mnie, pomimo, że to tajemnicą nie jest, iż panienka ze sfery panny Kalinowskiej zrzekła-by się raczej czegoś dla sukni i kapelusza, nie zaś sukni i kapelusza dla czegoś — dla czegoś zwłaszcza takiego, jak sprawienie uciechy dziatwie wiejskiej. Suknia i kapelusz.... święty Boże! — a toć-to przedmioty wagi największej. Julek osłupiał prawie, usłyusłyszawszy wyznanie to z ust kobiety pięknej *nota bene.*

Z konieczności rzeczy, Zosia Kalinowska nie była i być nie mogła ideałem na wzór i podobieństwo Zosi Horeńkównej. Społeczność nasza innych już wymaga ideałów niewieścich. Kobieta z polorem i ze zdrowym jeno rozsądkiem często się znaleźć może w położeniu, które czyni niemożliwem spełnienie funkcyi anioła opiekuńczego w domowem ognisku. Zresztą—anioł?—cóż to jest? Wytwór ów imaginacyi ludowej, jest to istota doskonała, dobra i rozumna: nigdzie i nigdy nie spotkałem się z twierdzeniem, ażeby aniołowie ciemnymi być mieli. Przyrównanie to wklucza wiedzę w rozmiarach jak najszerszych, jako warunek konieczny. Ta, która ma być aniołem, w jaknajwiększem do tego

ideału fantastycznego przybliżeniu, powinna umieć jaknajwięcej. Zależy tu rzecz cała od sposobu przyjmowania nauki.

Zdaje się, że dziewczyna, co się zrzekła sukni i kapelusza, w celu obdarzenia dzieci chłopskich przedmiotami pomocy naukowej, bliższa jest anielstwa od aniołków, strojących się na bale, dawane na cele dobroczynne. Kto zaprzeczy temu?

Ktoś zarzucić gotów, że na pomysł ten wpaść mogła i bez nauki. Zapewne—tylko, że w razie takim byłby on czystym przypadkiem, w tym zaś razie wypłynął z pojmowania rzeczy. Czemuż aniołki balowe nie wpadają na ten pomysł, że ubodzy bezporównania dostaliby więcej, gdyby oddawano na nich, nie dochód z wyprzedaży biletów lecz rozchód na stroje? Czemu?—rzecz naturalna: aniołki są motylkami, ptaszkami, kwiatkami —lecą, świecą, czarują, ale nie myślą, nie zastanawiają się, nie umieją sprządz następstw z przyczynami, kierują się przeczuciem, poczuciem, instynktem, te zaś prowadzą je, raz do uczynków pięknych, znów do niedorzeczności i wyrzeczenia się uczuć. Miłosierdzie, niepodszyte rozumem, doprowadza do rezultatów najsmutniejszych. Jedna nędzy połowa jest nędzą istotną, druga jest dziełem miłosierdzia. Uczucie, ażeby pożytecznem okazać się mogło, kierować się musi koniecznie rozumem, któremu nau-

uka daje fundamenta i wytyka drogę. Bez niej bywa się rozumnym na ciemno.

Słowa powyższe są odpowiedzią niejako na zapytanie, jakie postawił sobie Julek po rozstaniu się w bawialnym pokoju z państwem Marcinowstwem i z p. Zofią. Ta ostatnia oczarowała go i przeraziła zarazem—przeraziła tem, że wywracała w głowie jego rusztowania wszelkie, na jakich on sobie typy niewieście budował. Typy, nie ideały—powiadam wyraźnie. Ideału nie znał nasz baron młody; typów zaś pełną miał głowę, zaczynając od matki swojej rodzonej, nieznającej prawa wyższego nad kaprys własny, kończąc na metodystce sztywnej, nadzianej psalmami i tekstami Pisma Świętego, a udającej niewiastę biblijną. Pomiędzy dwiema temi skrajnościami przesuwała się przed oczami jego cała typów galerya: wyzywające lamparcice pół-świata, upadłe z honorem anioły, wyzwolone niewolnice Salomona, naiwne pensyonarki, poczciwe gosposie, sawantki, z restrykcyami i bez restrykcyj, literatki, artystki, zapoznane istoty, wielkoświatowe i małomiasteczkowe dewotki, mniszki, sznurujące usta i spuszczające oczy, i tym podobne. W galeryi tej na Zosię miejsca nie było. Młody baron rozumieć jej nie mógł, nie umiał, nie posiadał umysłu, za pomocą którego byłby w stanie przedstawić sobie to, co było kobietą jak należy.

Co najbardziej z tropu go zbijało, to brak absolutny przesady wszelkiej, nieobecność absolutna komedyi—rzecz niesłychanie rzadka przy „dobrem“ wychowaniu.

Położył się i myślał o pannie Kalinowskiej. Gdy świecę zgasił, ukazywała się mu ona w szeregu obrazów, w których na pierwszym znajdowała się planie, a zawsze tak otoczona, że przystępu do niej nie było. Raz przed nią i obok niej stały niewiasty jakieś w draperyach posągowych; nie wiedział, coby to były za jedne, domyślał się tylko, że przedstawiały one wiedzę w jej gałęziach pojedynczych. Znów widział ją w gronie dzieci—sama ona wówczas przedstawiała się niby geniusz. Dalej, oglądał ją pomiędzy ojcem z jednej, a matką z drugiej strony. Następnie wydało mu się, że zpoza ramion jej strzeliły duże, jak śnieg białe skrzydła, które ona rozwinęła, i wzniosłszy się ponad ziemię, wahała się w powietrzu, płynąc powoli z wyciągniętemi, jakby do błogosławieństwa, dłoniami. Czy tak jednak, czy tak, czy owak, nieprzystępność do niej dla niego była mu widoczną.

Zasnął.

Nazajutrz zbudził się dość późno.

— Która? — zapytał lokaja, który na obudzenie się jego czekał.

— Wpół do dziewiątej, jaśnie panie.

— Powstawali już?

— Od kiedy! Państwo tutejsze już po kawie.

— A panna?

— Panna zerwała się raniej niż wszyscy, była w krowiarni, w kurnikach, w chlewach, w kuchni, w piekarni. Co się tyczy pokojówki, o której mi jaśnie pan opyt wziąć nakazał, tej tu niema.

— Co powiadasz!

— Niema, jasny panie. Ja nic nie rozumiem. Pani tutejsza kazała się jaśnie pana zapytać: gdzie jaśnie pan kawę pić chce—tu czy w sali jadalnej?

— Przynieś mi tu.

Lokaj wyszedł i nim powrócił, młody pan z łóżka wstał. Byłby wypił kawę w łóżku, lecz chciał się ubrać prędko. Śniadanie podanem mu zostało według reguł szyku wiejskiego: kawa w imbryczku kamiennym, śmietanka z kożuszkiem w garnuszeczku, sucharki, strucla, chleb żytni, masło świeże. Lokaj nalał, Julek wypił i wnet się zabrał do toalety, przy której rzucił zapytanie:

— Wybierają się państwo zapewne do kościoła?

— Poszli już, proszę jaśnie pana.

— I panna?

— I panna.

Pośpieszać więc z toaletą nie było co. Julek zasiadł do golenia się, pomadowania, fiksatoarowania, oczyszczenia paznogci, przypatrywania się w zwierciedle, wiązania krawatu i t. d. Odbywał czynność tę z namaszczeniem i powagą, jakby cho-

dziło o rzecz ważną niezmiernie. W życiu próżniaczem, toaleta stanowi jeden ze środków nienajpośledniejszych do zabijania czasu. Zabijał przeto czas godzinę blizko, aż ruch w pokoju przyległym i mówienie głosu dało mu znać, że gospodarstwo znajduje się już w domu. Dokończył więc ubierania się żwawiej i wyszedł na pokoje.

W pokoju bawialnym zastał p. Zofię, przechadzającą się samotnie.

Ubrana była odświętnie w suknię popielatą w paski, w tiunikę ciemnoszamoa z wyłożonemi kołnierzykami, ochwytującą kibić jej w pewien rodzaj draperyi, uwydatniającej powiewność kształtów: włosy uczesane miała jak w dniu wczorajszym. Na wejście Julka, zwróciła się ku niemu z wdzięcznym uśmiechem i pozdrowiła go dłoni uściskiem.

— Wstyd mi, doprawdy—odezwał się ten ostatni. Nie wiem jak się tłómaczyć i usprawiedliwiać.

— Mój Boże! — zawołała Zosia z przerażeniem udanem. Popełniłeś pan występek jaki?

— Przybyłem w gościnę i przywiozłem ze sobą zwyczaje swoje. Powinienem był wstać z łóżka razem ze wszystkimi.

— Zbrodnia nie wielka.

Miałem ochotę towarzyszyć państwu do kościoła, nie spodziewałem się jednak, ażeby się nabożeństwo tak rano odbyło.

— Wieś. Tu ludzie i w święta nawet do stracenia czasu nie mają dużo.

— Dla kolatora jednak mógłby ksiądz proboszcz mszę opóźnić nieco.

— Tato o ile możności wyróżnienia się unika, i za nicby się nie zgodził na mszę umyślnie dla niego odprawianą.

— Kościołek napełnionym być musiał.

— Jak zwykle w święto wielkie. Przytem, z powodu zimy, włościanie czasu mają więcej niż w innej roku porze, schodzą się więc do kościoła w liczbie większej.

— Ludek pobożny — wtrącił Julek, przypomniawszy sobie ów frazes stereotypowy, który się powtarza często.

— Nie wiem — odparła p. Zofia. W Kalinowej przynajmniej postrzegać się nie daje pobożność zbyteczna. Włościanie od kościoła nie stronią, lecz nie garną się doń z gorliwością nadzwyczajną.

— Zapewne z winy księdza. Nie umie ich zwabić, ani zmusić.

— Ani zmusza, ani wabi. Proboszcz nasz jest człowiekiem bardzo zacnym, którego tu wszyscy poważamy. Szkoda, żeś pan nie słyszał kazania dzisiejszego.

— A? kazania? — zapytał Julek tonem, wyraźnego niedowierzania.

— Nie odzywałbyś się pan z lekceważeniem

gdybyś był słyszał naukę o braterstwie, jaką proboszcz nasz wysnuł z rocznicy przyjścia na świat Chrystusa. Proboszcz nasz nie wdaje się w subtelności żadne, wzorem kaznodziejów stołecznych, lecz czerpie treść do kazań swoich z praktyki życia, ze stosunków towarzyskich. Moralność, jakiej on naucza, jest moralnością przystępną i ludzką.

W miejscu tem rozmowę przerwało wejście pana Marcina.

— Dzień dobry panu! — odezwał się z proga. Spało się długo, ale.... czy dobrze?

— Nie najgorzej.

— Na nowem miejscu, nigdy się odrazu nie sypia należycie.

— Tak, zapewne. Na mnie jednak miejsce wrażenia nie wywiera. Ja—podróżowałem tyle.

Zawiązała się o podróżach gawędka, która jednak nie trwała długo, albowiem p. Marcin zaproponował wizyty, zapytując Julka: czyby towarzyszyć nie zechciał.

— Z największą ochotą.—odpowiedział tenże.

— Dzień piękny, chociaż mroźny. Pójdziem najprzód do księdza, następnie do ekonoma, wkońcu do nauczyciela i na obiad do domu wrócimy.

Panna Zofia poszła w celu wzięcia na siebie ciepłej odzieży. W chwilkę później wszystko troje wychodzili ze dworu, zmierzając przez podwórze

ku bramie. na ścieżaj rozwartej, a dalej ku cerkiewce drewnianej, błaszanemi połyskującej krzyżami.

Kalinowa, jako pejzaż zimowy, przedstawiała się wdzięcznie i wcale pięknie. Młody baron obejrzał się dokoła, zatrzymując wzrok kolejno, to na wzgórzach okrytych szronem i jakby zadumanemi smutnie drzewami, to na młynie nadającym się na obrazek osobny, to na cerkwi, to znów na budowli nacechowanej pewnemi architekturalnemi pretensyami, którą wziął zdaleka za karczmę.

Powiedzieć, że księdzowstwo i ekonomstwo radzi gościom byli, byłoby to podawać czytelnikowi za nowinę to, o czem on jest z góry przekonany. Jako nowinę możnaby jedynie powiedzieć, że w ugoszczeniu nie było przesady owej, z jaką niżsi względem wyższych występować zwykli. W domkach znalazł nasz Julek schludność wielką, w przyjęciu uprzejmość przyzwoitą. I tu i tam gospodynie proponowały przekąskę, od której atoli pan Marcin się wymówił, tłómacząc się, iżby obiad popsuł sobie.

Z ekonomii skierowali się ku budynkowi z architekturalnemi pretensyami. W miarę jak się do niego zbliżali, Julek spostrzegał, że się omylił w przypuszczeniu pierwotnem. Nie, nie była to karczma, pomimo, że nad budowlą wznosił się fronton oparty na kolumnach, podobny do tego, jaki pospolicie dbali o propinacyę obywatele nad

karczmami wznoszą. Proporcya okien, gzemsy, ozdoby, znamionowały, że stawianiu budowli tej przewodniczyła myśl architektoniczna. Był to gmach, w odniesieniu do domów i chat wiejskich; wyglądał wspanialej aniżeli dwór; nie nosił jednak na sobie znamion przybytku, służącego za pompę, za pomocą której zarobki pracy ciężkiej wpływają do kieszeni próżniaka. Julek przypatrywał się gmachowi, nie odgadując przeznaczenia onego, aż, gdy do środka wszedł, domyślił się, że się znajduje w szkółce wiejskiej.

Przez ganek obszerny weszli do obszernej sieni, z której, na lewo, było pomieszkanie nauczyciela.

Pan nauczyciel i pani nauczycielowa przyjęli gości również uprzejmie, jak poprzedni i z wizyty tej nie mielibyśmy do zanotowania nic, gdyby nie odwiedziny szkoły, która uderzyła młodego barona. Uderzył go pozór klass, przeznaczonych na naukę dla dziatwy wiejskiej. Klassą była tu sala obszerna, o dużych oknach i o wysokim suficie, przepierzona na dwie osobne połowy. Nauczyciel obie połowy dozorować mógł z katedry, umieszczonej po środku, na linii przepierzenia, nie sięgającego od ściany jednej do drugiej. W dwóch kątach stały dwa duże globusy, ziemski i słoneczny, przy drzwiach wisiały termometr i barometr, na ścianach mapy geograficzne, rysunki do wykładów historyi naturalnej i różnej szerokości za szkłem

półki, zawierające okazy trzech królestw przyrody, zbierane w okolicy Kalinowej. Środek zajmowały ławki i pulpity do pisania.

— A!—wyrwał się Julkowi okrzyk, gdy do izby szkolnej wszedł.

Okrzyk ten przebrzmiał bez echa. tylko panna Zofia podniosła na młodego człowieka wzrok; w oczach jej przemknął wyraz, którego, dla błyskawicznego zniknienia onego, określić bliżej nie umiemy. Zwróciła się wnet do nauczyciela i pytania mu zadawać poczęła. Wpadł jej w oczy szkielet ptasi, którego nie poznała.

— To pelikan...

— Ah!—zawołała. Jakżeś pan do posiadania go przyszedł?...

Nauczyciel uśmiechnął się i rozpowiadać począł historyę o pojawieniu się tych ptaków na wodach Bystry. Dano mu znać o wypadku tym; on dał znać panu Marcinowi i ten zastrzelił jednego ze sztucca.

— Nie można było wypchać? — zapytała panna Zofia.

— Ba... Chciałem to zrobić; lecz zdarzenie miało miejsce latem, w gorąca wielkie i nie mogłem pospieszyć z przysposobieniem tego egzemplarza do wypchania...

Julek uczynił uwagę, że, z wyjątkiem pelikana,

widzi, tak pomiędzy czworonożnemi jak pomiędzy ptakami, same jeno okazy pospolite.

— Których znajomość jest najpotrzebniejszą — odparł pan Marcin.

— Któż nie zna kur, gęsi, kaczek?...

— Z widzenia... Znajomość z widzenia jest półznajomością, a chodzi bardzo o to, ażebyśmy poznali najpierw i jaknajdokładniej to, co nas najbliżej otacza i dotyka... ażebyśmy nie sięgali po rzeczy dalsze, często nieprzystępne, nie wiedząc nic, albo bardzo mało o tych, które nieustannie przed oczami mamy... Tej reguły trzymamy się w szkole naszej... Od poznawania rzeczy znajomych przechodzimy do poznawania nieznajomych... Dziecko dowiaduje się o lwach i słoniach, strusiach i kolibrach, oznajomiwszy się pierwej dokładnie ze zwyczajami, obyczajami i istotą wołu, owcy, kury, kaczki, wróbla i t. p.

Młody baron nic na to do odpowiedzenia nie miał. Kwestya edukacyjna była dla niego prawdziwym wilkiem żelaznym. Zauważył jeno, że p. Zofia posiadała we względzie tym wiadomość rzeczy zupełną; czyniła postrzeżenia i uwagi, których on doniosłości i znaczenia nie rozumiał wcale. Wszakże obchodzić go one poczęły trocha.

Za powrotem do domu podano wnet obiad.

Po obiedzie, niechcący jakoś, sam Julek dotknął sprawy oświaty ludu. Wywiązała się ztąd rozmo-

wa dłuższa, która przedmiotu nie wyczerpała, nie przeszła wszakże bez pozostawienia pewnych wrażeń w umyśle młodego człowieka, zmuszonego, chcąc niechcąc, słuchać rzeczy zupełnie dla siebie nowych i do pewnego stopnia ciekawych.

Naprzykład: potrącono o brak nauczycieli i Julek wyraził zdanie, że brakowi temu zapobiedz-by można, gdyby się oświatą ludu zająć chciały kobiety nasze.

— Tak, panie—odparł p. Marcin—pod warunkiem jednak, ażeby pierwej oświeciły się same. Jak pan chcesz, ażeby oświecał nieoświecony?

Postrzegłszy się, że byka ustrzelił, młody człowiek, chcąc się poprawić, powiedział, żeby ciężar ten włożyć należało na duchowieństwo.

— Jeszcze gorzej—odrzekł p. Marcin. Duchowieństwo, stojąc na gruncie odrębnym, wprowadza oświatę na manowce. Oświata, ażeby pożytek przynieść mogła, kroczyć winna drogą własną, niepodległą, zależną jedynie od pewników sprawdzać się dających.

— A wiara—wtrącił Julek.

— To rzecz zupełnie inna, z nauką najmniejszej styczności nie mająca, dlatego też odrębnie trzymać się powinna.

Julek odwołał się do dawnych czasów.

— Nieszczęście nasze—odpowiedział p. Marcin— że odwołujemy się na ślepo. Dzieje nas uczą, że

kiedy łączono i właśnie dlatego, że łączono *sacra cum profanis*, wówczas panowanie rozpościerała największa ciemnota, szerzył się najsroższy ucisk, górę trzymały najdziksze namiętności. Oświata: z trudem olbrzymim, zaledwie skorupę tę przebiła, Mamyż ją znów takową powlekać? Szanujmy tradycyę dla tradycyi, ale nie kujmy z niej sobie pęt! Wiara w rozwoju ludzkościowym stoi jako fakt dziejowy, któremu zaprzeczyć nie sposób, i który oddziaływać nie przestaje w czasach obecnych. Z faktem tym, jako z takim, liczyć się potrzeba, spożytkowując go na rzecz postępu, w etycznym zwłaszcza względzie, lecz się w nim zasklepiać nie wolno, pod karą cofnięcia się w tył. Postęp, panie, jest prawem i obowiązkiem naszym. „Bądźcie doskonałymi, jak ojciec wasz niebieski doskonałym jest;“ że zaś z doświadczenia wiemy, że drogą tego doskonalenia t. j. postępu duchowieństwo prowadzić nie może, zatem własne jego dobro wymaga, ażeby się od oświaty usunęło.

Dla Julka wszystko to były rzeczy nowe, i dla nowości swojej, ciekawe. Czas spędzany na gawędzie, głównie z p. Marcinem—pani Kalinowska bowiem i Zosia kiedyniekiedy tylko słówka od siebie dorzucały—upływał mu tak prawie prędko, jak przy stoliku zielonym. Prawda, że dzień był krótki, o czwartej zapadł zmrok, o wpół do piątej

wniesiono światło. O zmroku siadła p. Zofia do fortepianu.

— Nie śpiewa pan?—zapytała.

— A pani?—odpowiedział.

— Trochę. nieuczenie. Jest jednakże słuchaczy dwoje, którym się śpiewanie moje podoba.

— A to?

— Mój tato i mama moja.

— Może ja będę trzecim — odezwał się Julek z' zacięciem szarmanckiem.

— Może, zobaczymy.

Wzięła akordów parę, zanuciła jakby na próbę, następnie zaśpiewała:

„Rosła kalina z liściem szerokiem.“

Po kalinie nastąpiła dumka:

„Zakotyusia misiać w chmary.“

Dumkę zmienił Krakowiak, po którym odegrała jeden z polonezów Ogińskiego.

Granie jej nie było mistrzowskie; ze śpiewem nie mogłaby się popisywać; wszakże wlewała w klawisze to, czegoby jej niejeden pozazdrościł artysta—czucie; srebrzysty zaś jej głos wnikał słuchaczowi do duszy i sprawiał w niej lube jakieś drżenie.

— Serdecznie pani dziękuję—odezwał się Julek, gdy skończyła. Od chwili tej niech mnie pani uważa jako trzeciego wielbiciela grania i śpiewania swego.

— Wielbiciela!—podchwyciła. Jeżeli o uwielbienie chodzi, to pan będziesz jedynym. Przyznaj się pan raczej, żeś zbyt wysoko skalę pochwały podniósł.

— Tłómaczę wrażenie, jakiego doznawałem.

— Sprawiłam panu przyjemność, to przypuszczam, i rada temu jestem. Za doznaną atoli przyjemność nie płaci się uwielbieniem.

— Czyż to pani co szkodzi przyjąć zapłatę wyższą trochę?

— Szkodzi i bardzo—odpowiedziała półżartem· Kupiec rzetelny, jeżeli mu kto przez omyłkę więcej za towar da, corychlej naddatek zwraca.

— Co za skrupuły!—zawołał młody baron.

W chwili tej odezwał się p. Marcin głosem podniesionym:

„Ej ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?“

I przedeklamował od początku do końca, z małemi opuszczeniami, poemat cały—jedno z arcydzieł literatury polskiej.

Gdy skończył, p. Zofia zwróciła się do Julka.

— Tato— rzekła— rozkochany w Malczeskiego *Maryi*.

— Alboż nie ma w czem!—podchwycił p. Marcin. Proszę jeno uważać.

Powtórzył ustępów parę ze środka, zaopatrując każdy odpowiednim komentarzem zachwytu, który

dzięki żywości, z jaką go wyrażał, udzielał się słuchaczom. Zachęcona zachwytem ojca, Zosia zaczęła:

„Pod staremi lipami miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiędłej głowie utrapień ciężary.“

Przedeklamowała ustęp ten cały, i następny, i jeszcze następny. Z ust jej odmalowany przez poetę obraz niewiasty młodej, której uroda zamglonym świeci promieniem, wyszedł posągowo. Sama ona podniosła się niby i ożywiła. Młody człowiek wpatrzył się w nią w milczeniu i w dziwnem jakowemś natężeniu.

Na drugi dzień świąt, a na trzeci pobytu naszego barona pod strzechą dworu w Kalinowej, państwo Kalinowscy i panna pobudzili się rano, jak zwykle, i jak zwykle rozpoczęli dzień od zajęć, jakie każdemu przypadały. Gdy się zbliżyła godzina śniadania, panna i pani zeszły się w sali jadalnej; pierwsza krzątała się około przyrządzania kawy, druga zasiadła w oczekiwaniu na przybycie pana, który nie wrócił był jeszcze z obchodu obór i stajen. Powrócił wreszcie; tupnął w sieniach nogami, otrząsając śnieg z obuwia, wszedł do sali i zajął miejsce swoje.

— Gość nasz wybiera się—rzekł po chwili.

— O?—odparła p. Marcinowa.

— Kazał konie zakładać.

— A miał zabawić dłużej.

— Widać, nie podobało mu się u nas.

Panna Zofia chrząknęła zlekka na słowa te.

— Ha—ciągnął p. Marcin. Trudno. Zachodzi pomiędzy nami niejednakowość mianowników, na co ponoś żadna nie zaradzi operacya. Dziwi mnie nawet: co go sprowadziło do Kalinowej.

Pani Kalinowska spojrzała na męża i w stronę córki lekko głową skinęła. Pan Kalinowski ręką machnął.

W chwili tej Zosia po śmietankę wyszła.

— Cóż Zosia?—zapytał p. Marcin.

— Zdaje się. jakby się namyślała.

— Niema jednak pomiędzy niemi porozumienia żadnego?

— Najmniejszego.

— I zdaje się być nie może. Pomiędzy nią a nim przepaść.... Chociaż—dodał—dzieją się na świecie cuda, o których się filozofom nie śniło.

W chwili tej jednemi drzwiami weszła Zosia z garnuszkiem, w drugich ukazał się młody baron.

Po zamienieniu życzeń dobrego dnia, p. Marcinowa zaczepiła:

— Pan odjeżdża?

— Odjeżdżam, pani.

— Pan miał intencyę zabawić u nas dłużej nieco.

— O pani!—była odpowiedź młodego człowieka,

który. dając ją, patrzał pilnie na Zosię. Nie dopatrzył się snadź jednak niczego, albowiem dodał z przyciskiem: Muszę odjeżdżać.

I westchnął, westchnieniem tłumionem.

— Lubi pan kawę słodko? - zapytała Zosia.

— Słodko, do usług pani—odpowiedział tonem, w głębi którego gniew niby czuć było.

— I mocno mleczną?

— O! mleczną.

Wyraz ostatni był jakby łzami nabrzmiały.

Krzątająca się przy imbryczkach i garnuszkach p, Zofia, nie zważała zapewne na te głosu modulacye. zachodzące przy okazyi odpowiedzi, dawanych na pytania, tyczące się cukru i śmietanki. Odpowiedzi w sposób podobny daje dzieciak nadąsany. Modulacye owe jednak nie uszły uwagi państwa Kalinowskich. Spojrzeli po sobie, ramionami lekko wzruszyli i zawiązali rozmowę o pogodzie i o drodze samej, na którą aspekta były jaknajlepsze.

Rozmowa ta zajęła cały przy śniadaniu czas, pod koniec którego słyszeć się dały na podwórzu dzwonki. Julek zerwał się.

— Żegnam państwa!

W dwóch tych wyrazach czuć było wzruszenie głębokie, które się udzieliło i państwu Kalinowskim i p. Zofii.

— Panu śpieszno – odezwała się ta ostatnia.

— O! — zaczął młody człowiek; coś chciał dodać, ale coś mu przeszkodziło. O! — powtórzył — spieszno mi. Uciekam.

Na wyraz ostatni nie było do odpowiedzenia nic. Państwo Kalinowscy nie mogli wyrazu tego podnosić, przez poczucie godności osobistej. Toż samo p. Zofia. Jak się zdaje, młody baron nie pomyślał nad tem, co wywołać chciał i z niewłaściwym wyrwał się wyrazem, który też swój sprawił skutek. Kto ucieka, ma do tego powody jakoweś. Ani rodzicom panny, ani pannie w powody one wnikać nie wypadało. Przyjęli więc wyraz do wiadomości i p. Kalinowska tylko, tonem sztywnym trochę, dodała:

— Spodziewam się, że pan o Kalinowej nie zapomni.

— Nie, nie zapomnę — odparł młody człowiek. O! nie zapomnę.

Uścisnął po kolei dłoń paniom i panu i wybiegł. Wsiadłszy do sanek krzyknął na stangreta:

— Ruszaj!

— Wio! — odpowiedział tenże.

Konie wielkim kłusem ruszyły z miejsca, jakby w rzeczy samej uciekającego wywoziły.

Wizyta owa przeminęła dla mieszkańców Kalinowej, jakby jej nie było. Należała ona do tego rodzaju, co-to sprowadza niepokój. Wielki pan zwrócić raczył oczy na ubogą panienkę. Fakt po

dobny rzuca zazwyczaj perturbacyę ogromną, i w zwyczajnym rzeczy stanie, ojciec, matka i córka byliby nie omieszkali obsaczyć go sieciami, z których, gdyby się wymknął, nastałby zły humor, sprowadzający sceny domowe. Jedno na drugie zwalałoby winę niepowodzenia. Ktoś z trojga musiałby dźwigać ciężar odpowiedzialności. W Kalinowej nie zaszło nic podobnego, pomimo, że młody baron wywarł wrażenie niejakie — wrażenie, które dałoby się zestopniować w sposób następujący: najmniejsze, większe i największe. Pierwszemu uległ p. Marcin: wyniknęło ono z niejednakowości mianownika; drugie odbiło się na p. Marcinowej, która nie byłaby od tego, ażeby jedynaczka jej bogato za mąż wyszła; trzecie odnosiło się do p. Zofii.

Panna Zofia miała już do czynienia z pretendentami do ręki swojej. Wspominaliśmy o poetycznym Stanisławie. Mielibyśmy do przytoczenia parę jeszcze imion ludzi młodych, którzy, zafrasowani rzadką jej pięknością, radziby byli na kobiercu z nią stanąć. Wszystkich ich odepchnęła ona, dając powód jeden i ten sam: nie kochała—to znaczy, nie uczuwała do nich tego pociągu sympatycznego, dzięki któremu wstąpienie w stan małżeński byłoby zespoleniem się harmonijnem dwóch istot moralnych. Do zespolenia się na życie całe ze Stanisławem, równie jak z każdym z dwóch in-

nych, czuła wstręt, którego sobie nie tłómaczyła, z powodu braku czasu. Nie chciała ona i nie mogła oddawać się, ani dlatego tylko, ażeby nie zostać starą panną, ani za pieniądze, ani też dla innych jakich względów, którychby, w całej niepokalanej onych czystości, postawić nie mogła przed sądem sumienia własnego w chwili uroczystej, zaręczania serca na kochanie dozgonne. To w niej wstręt budziło, nie zaś pan Stanisław, pan Paweł, pan Piotr. Pojmowała wysokie rodzinnego ogniska zadanie i w zadanie to włożyć pragnęła duszę swoją całą. Czekała przeto na przyjście do niej takiego, co w sercu jej miłość obudzi, zdecydowana, raczej samotnie przejść przez życie, aniżeli oddawać rękę, dlatego tylko, ażeby za mąż wyjść.

Doczekała się.

Przyszedł baron Juliusz Homoński.

Zosia poczuła do niego pociąg sympatyczny i niemal powiedziała sobie: „Oto on.“

Gdyby nie była taką, jaką była, zrobiłaby z dwóch jedno: albo na oślep, ręce wyciągnąwszy, w objęcia-by się młodemu człowiekowi rzuciła, albo też, skoncentrowałaby na niego ogień kokieteryi niewieściej i usidliła młodego pana.

Zosia nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Zamknęła się w sobie, i przed młodym człowiekiem i przed młodym panem. Wobec niej jeden przeszkadzał niejako drugiemu. Ślepą nie była. wi-

działa więc, co się święci. Gdyby człowiek nie był panem, kto wie, azali nie ośmieliłaby go sama. Pan zawadzał jej. Nie ufała sobie sama; nie wiedziała dokładnie: czy bogactwa Julka nie odgrywają roli jakiej w tym pociągu sympatycznym, jaki poczuwała w sobie. Uczucie godności osobistej nakazywało jej ostrożność. Że zaś, z drugiej strony, czasu nie miała na to, ażeby „przemarzać długie chwile i godziny,“ więc puściła sprawę tę w odwłokę, oczekując rozwiązania zagadnienia od czasu.

W rzeczy samej, czas jeden mógł to rozwiązanie sprowadzić, jeżeli nie inaczej, to na drodze lekarskiej, w odniesieniu do rany sercowej. Głównie chodziło jej o to, ażeby nie przeszkodzić sobie. To też, im mocniej serce upominało się o prawa swoje, tembardziej trzymała je na wodzy. Zajęcia naukowe podawały jej we względzie tym pomoc wielką. Przy krosienkach, przy igiełce, przy lekturze, przy muzyce, przy wszystkich owych, tak zwanych „robótkach,“ wynalezionych na zabałamucenie kobiety, byłaby o niebieskich marzyła migdałach, i rzecz prosta, usychała z miłości. Przy nauce odniosła korzyść podwójną: i nie usychała i wzbogacała umysł.

Sympatyczny pociąg jej do młodego człowieka, wyraził się zapomocą uczucia politowania, które miarkował w niej majątek barona Homońskiego; widziała go nizko, na ziemi prawie. Gdyby nie ma-

iątek ten, z jakąż ochotą podałaby mu rękę, podniosła i powiedziała:

— Bądź człowiekiem!

Z jakąż rozkoszą zabrałaby go ze sobą na wyżyny wiedzy!

Majątek odpychał ją od niego i zmuszał do mienia się na baczności. Pilnowała się; odgrywała rolę zimnej, obojętnej; nie dawała otuchy, ani słówkiem, ani gestem; trzymała Julka zdaleka, tak zdaleka, że ten wyjechał z Kalinowej z rozpaczą niemal w duszy, znękany, upokorzony i zawstydzony. Zawstydzenie pochodziło głównie ztąd, że on, wobec kobiet zuchwały i przedsiębierczy, wobec niej pary z ust—jak to powiadają—puścić nie ośmielił się.

Wyjechał. Zosia za odjeżdżającym przez okno patrzała, i gdy za wrotami z oczu znikł, westchnęła.

Było to wszystko. Do tego dodała jeszcze to, że zwróciła się do matki i spojrzała na nią z tkliwym w oczach wyrazem. Pani Marcinowa powiedziała do niej:

— Dziecko moje.

Ona na to nie odpowiedziała nic.

Aż wszedł ojciec, który gościa na ganek odprowadzał, i zaczął:

— Nie, nie masz pomiędzy nami mianownika spólnego. On idzie po tej drodze, co w przeszłość zapada, my idziemy po tej, co w przyszłość wcho-

dzi. Trudno zejść się, idąc w kierunkach odwrotnych.

— Nie można się z jednego na drugi zwrócić?—zapytała Zosia.

— Zwróciłabyś się?—odparł p. Marcin, patrząc córce w oczy.

— Tej ochoty nie czuję w sobie—odpowiedziała, jakby zawstydzona — ale, gdy droga jedna prowadzi w jasność, druga w ciemność, to zwrócenie z tej ostatniej kroczącego po niej jest rzeczą przypuszczalną.

— Zapewne—bąknął p. Marcin.

— Nieinaczej — ciągnęła — odbywa się postęp, jak zapomocą zwracania się ludzi z manowców na drogi coraz-to prostsze i pewniejsze.

— Ufasz tak w siebie?

— Mój ojcze—odrzekła, jakby zapytaniem zmieszana—ja o sobie wiem tak mało!

— Miej się więc na baczności i wiedz o tem, że ludzie, co nowe otwierają drogi, dużo przetrwać muszą. Muszą się i krwawić boleśnie. Bez tego nic.

Ogólnika, jaki ojciec jej rzucił, Zosia nie zrozumiała dokładnie. Wzięła go w znaczeniu przenośni poetycznej, przypuszczając, że p. Marcin zostaje jeszcze pod wrażeniem wieczora wczorajszego i słyszy jeszcze podzwonne niejako wyrazów, któremi Malczeski zobrazował *Maryę*:

„Przy nim młoda niewiasta nad księgą żywota,
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary i skrzydły drżącemi,
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.“

Z księgą żywota i ona do czynienia miała, tylko, rzecz naturalna, księga owa miała się do tamtej, nad którą siedziała Miecznikówna, jak mowa człowieka dojrzałego do szczebiotania dziecinnego. I ona „wzbijała ducha wiary pod jasności wrota,“ ale wiara jej była wiarą w postęp, jasność zaś, do której dążyła, była jasnością wiedzy. Zatem, nie szukała gniazda swego „daleko od ziemi,“ ale, przeciwnie, szukała go wśród ludzi, wśród obowiązków, jakie jej, na tym padole, przypadały w udziale. Dla nich oświecała sobie umysł, przez co poznawała, że jest jednostką w składzie społecznym, znaczącą w nim i przezeń. Nadawało to egotyzmowi jej kierunek zapatrywania się na siebie nie w odosobnieniu, lecz w życiowej łączności z ludźmi, w spółce wielkiej, wymagającej przedewszystkiem wkładek z duszy i z serca. Osobistość swoją stawiała przez to na drugim niejako planie, uważając się za pracownicę w Winnicy Pańskiej,—mającej prawo do wynagrodzenia, lecz jedynie w stosunku do pracy.

Takie rzeczy pojmowanie dodało jej sił do przeniesienia tego, co dla każdej innej byłoby ciosem

wielkim. Pokochany porzucił! Nadarzyła się okazya do smutków rozpaczliwych; nadarzył się pozór do dumań przy księżycu. Zosia nie korzystała, ani z okazyi, ani z pozoru. Cios dotknął ją samą tylko; nie była tego przekonania, ażeby posiadać miała wyłączne jakoweś do faworów fortuny prawo: przyjęła więc to, co ją spotkało, spokojnie i została sobą nadal.

Wakacye zimowe przeminęły dla niej jak zwykle. Po święcie Trzech Króli, p. Marcin żonę i córkę odwiózł do Łyczakowa.

W Łyczakowie, śród zajęć naukowych, przychodziło Zosi na myśl niekiedy:

— Powróci. czy nie powróci?

Czekała, nadaremnie jednak.

Minął rok, drugi i trzeciego połowa. Nadeszły wakacye wielkie, które dla Zosi rozpoczynały się wcześniej, niż dla uczącej się młodzieży płci męzkiej, a to dlatego, że wykładający jej professorowie odrywali się do egzaminów i zatrudnień urzędowych, pochłaniających im czas cały.

Ta trzeciego roku połowa stanowiła zwrot w jej życiu. Ukończyła nauki zakreślone programatami szkolnemi, to znaczy, stanęła na tym punkcie, z którego iść należy dalej o sile własnej. Professorowie, jeden po drugim, oznajmiali jej: kurs skończony; ostatni zaś powiedział do niej:

— Panno Zofio! panno Zofio! gdybyś pani mogła egzamen zdać. Szkoda!

— Czego?—zapytała.

— Ano. tego, żeś się pani urodziła, nie mężczyzną, lecz kobietą.

— Trudna rada — odpowiedziała Zosia z uśmiechem.

— A tak — rzekł professor z miną przekonania głębokiego. Pani wraca na wieś?

— Wracam.

— Szkoda—powtórzył.

— Czego?—zapytała znów.

— Tego, że pani na wsi zagrzebie wiadomości tyle. Ja-bym radził.... radziłbym — mówił z namysłem, zażywając tabaki. Radziłbym — strzepnął palce — nie zostawać w Łyczakowie. ale nie wracać na wieś. Radziłbym — tu nieco myślał— udać się dokądści. gdzie kobiety cenią się inaczej niż u nas, nie do Lwowa jednak. ani do Krakowa, ani do....

Myślał szanowny professor, nic nie wymyślił. i żadnej rady nie udzielił.

Zosia wróciła do Kalinowej. Trafiła w porę koszenia i gromadzenia siana. Robocizna odbywała się z zapałem. któremu za podnietę służył urodzaj, jakiego nie bywało oddawna. Siana było wbród; zboże wykłosiło się świetnie i okwitało w warunkach pomyślnych. Bohaterka nasza przybyła

z książkami, których nie rozpakowywała nawet; zaledwie się rozpatrzyła w domu, natychmiast udała się na łąki do gromadzielników, jak to od lat najmłodszych we zwyczaju jej było, wzięła grabie w ręce i siano gromadzić pomagała. Dziewczęta wiejskie i mołodyce przyjęły ją do grona swego z radością wielką. Pojawienie się jej dodało robociznie bodźca. Piosnki się ozwały; piosnkom zawtórowały śmiechy głośne; dąbrowa poblizka brzmiała echami, które wielką niby, śpiewaną prowadziły kłótnię. Zpod pokosów wymykały się od czasu do czasu przepiórki i zajączki młode, za któremi dzieci pogonie odbywały. Parobcy z pod oka spoglądali na pannę, która, nie przebierając się w odzież wieśniaczą, umiała się z wieśniakami na równi postawić i prześlicznie wyglądała w płóciennkowej letniej sukience, w kapeluszu ze skrzydłami szerokiemi, z uśmiechem, jaki jej oblicze opromieniał. Brnęła w trawie po kolana i zgarniała siano, odpowiadając na prawo i na lewo na zapytania, jakiemi ją ta i owa zaczepiała:

— Czy to prawda — odezwała się jedna — że się już wasza, pannusiu, nauka skończyła?

— I skończyła się i nie skończyła — odrzekła — nauka nie kończy się życie całe.

— Tak, no, rozumiem ja to. Przecież nastaje taki moment, w którym już do książki nie napędza nikt. Ot, i w momencie tym nauka się kończy.

— Moment taki nastał już dla mnie oddawna.

— E?—zawołała wieśniaczka zdziwiona. Uczyliście się z ochoty własnej?

— Trochę z ochoty, trochę z potrzeby — odpowiedziała p. Zofia.

— Teraz atoli dosyć jest! — odezwała się z kobiet jedna:—Skończyło się utrapienie wasze.

Zosia, rzecz prosta, powiedzieć nie mogła, że się utrapienie nie skończyło, sama bowiem nie wiedziała jeszcze, jak będzie dalej, a nawet doznawała obawy niejakiej w myśleniu o tem. Dla przerwania więc rozmowy tej, zaczepiła wieśniaczkę zapytaniem jakiemś, niemającem z nauką styczności. Rozmowa, przeplatana okrzykami i przyśpiewkami, potoczyła się, jako ustawiczna przygrywka do pracy, która postępowała raźnie przy spółudziale panny, co wprost z miasta przybyła.

Zosia opływała w rozkoszy. Nie była to dla niej praca, w ścisłem tego wyrazu znaczeniu, lecz rekreacya, której oddawała się duszą całą. Gromadziła do południa. O południu zasiadła w cieniu drzew w gronie wieśniaczek i poczęła im opowiadać o istocie traw i ziół, o ich życiu. Słuchaczki zdziwiło to. Nie przypuszczały tego, ażeby rośliny żyć miały. Zosia wyłożyła im zrozumiale, na czem życie to polega.

— To, rzeczą taką, kosiarze, ścinając trawę, zabijają rośliny—odezwała się jedna.

— Zabijają. Czy to człowiek zabija jedno to tylko!

Nie wdawała się w objaśnienia głębsze, zabijania owego się tyczące. Zoczyła nieopodal poziomek czerwonych krzaczek, poskoczyła ku niemu i jęła się poziomki zbierać. Następnie stanęła z grabiami znów i gromadziła do wieczora.

Nad wieczorem zaszło zdarzenie, które uwagę jej zwróciło na siebie, o tyle jednak tylko, o ile zafrasowało inne gromadzielnice. Drogą, mimo łąk prowadzącą, toczył się zaprzężony czterma końmi w lejc pojazd elegancki. Kozioł zajmowało służących dwóch, stangret i lokaj; w powozie, którego buda spuszczoną była, siedział podróżny jeden. Odległość znaczna nie pozwoliła twarzy jego rozpoznać. Zresztą, gdy powóz się toczył, kurzawę wzbijając, nikt nań nie zważał. Nagle jednak zatrzymał się; podróżny wychylił się z siedzenia i przed oczami jego pojawiło się oburącz trzymane pudełko niby czarne, w którem dwa kółka zwierciadlanym biły blaskiem.

— Pannuńciu! o! proszę no! — zawołało razem dziewcząt kilka, na pojazd palcami ukazując. Pan ten z czegoś do nas celuje.

Zosia poznała w czarnem narzędziu binokle podróżne. Poznała oraz, że przejezdny na nią je nastawił.

— Co tu on robi? – zapytała z kobiet jedna.

— Przypatruje się nam przez szkła przybliżające.

— Na cóż to jeszcze?

— Ciekawy. A może to jaki gospodarz dobry, ogląda pokosy nasze, ażeby wiedzieć, czy takie jak u niego.

Żartowała, czując atoli na sobie niejako promienie wzroku nieznajomego, doznawała przykrości niemałej. Domyślała się, że uwagę podróżnego obudzić musiało to, że pomiędzy gromadzielnicami zoczył gromadzielnicę w sukience i w kapeluszu ryżowym. Nasunęła więc kapelusz naprzód, tak, ażeby twarz zasłonić sobie i nie przerywała roboty, pewną będąc, że inspekcya ta niespodziana zakończy się wkrótce. Omyliła się jednak. Pojazd wciąż stał i stał. Podróżny binokli od oczu nie odrywał.

— Pókiż tego będzie!—mówiła do siebie w duchu niecierpliwie.

Zosia gromadziła; podróżny się przypatrywał.

— O to jakiś ciekawy! — odzywały się wieśniaczki.

Zosia milczała i zpod kapelusza ku pojazdowi spoglądała, posyłając mu życzenie odjazdu jaknajśpieszniejszego. Życzenie to nie ziszczało się.

— Któżby to być mógł?—zapytywała sama siebie. *On* chyba?

Przypatrywała się—poznać w żaden sposób nie

mogła. A poznałaby—tak się jej zdawało—pomimo, że go nie widziała i nic o nim nie słyszała, od lat dwóch i pół.

Czytelnik domyśla się, co-to za *on* bohaterce naszej na myśl przyszedł.

— On? Nie, nie on—mówiła w duchu—ktokolwiekby to był jednak, ustąpić mu potrzeba — inaczej oględziny te nie skończą się chyba.

Złożyła grabie i odniechcenia, manewrując w ten sposób, ażeby się podróżny nie domyślił, że przed nim uchodzi, usunęła się w las i znikła w gęstwinie. Wkrótce potem pojazd ruszył.

Niedawne są te czasy—wszakże z dziś żyjących nikt ich nie pamięta—kiedy ludzie myślący nawet zadawali sobie pytanie: czy nauka jest potrzebną? Były to czasy wygórowanego egoizmu. Jednostki miały przedewszystkiem na widoku szczęście własne, i z tego wychodząc punktu, odpowiadały przecząco na pytanie powyższe. Nauka, w rzeczy samej, nie potrzebną jest do szczęścia, ani w życiu doczesnem, ani w przyszłości: w doczesnem przeszkadza pozostawać w niewiadomości złego; w odniesieniu do przyszłego nie pozwala ludziom być ubogimi duchem. Zapatrywanie się takie tyczyło się płci obu. Jak dla mężczyzny, tak dla niewiasty, nauka uwa-

żana była za rzecz zupełnie zbyteczną, mianowicie zaś we względzie szczęścia.

Pogląd ten zmienił się w czasach naszych: uznano naukę za potrzebną, do szczęścia nawet, dla mężczyzny i za szaleńca-by poczytano tego, coby opinii tej nie podzielał. Rozchodzi się jednak jeszcze kwestya co do kobiet. Nie rzadko spotkać można męża poważnego, który powiada z powagą całą i z namaszczeniem:

— Nauka dla kobiety nie potrzebna.... nie potrzebna....

Znałem obywateli takich!

My im, rzecz naturalna, racyi nie przyznajemy, a to, chociażby dlatego tylko, że przekonani jesteśmy, iż oświata, ażeby kroczyć mogła swobodnie naprzód, wymaga sił całych, jakie ludzkość w łonie swojem posiada, sił, połowę których stanowi kobieta. Że ta połowa jest słabszą, nie idzie zatem ażeby ją od pracy odrywać. Gdy jednak odsunięcie stało się faktem, mającym powagę tradycyi za sobą, przeto sam fakt ów usprawiedliwia poniekąd obywateli, których słowa przytoczyliśmy powyżej. Wzgląd zwłaszcza na szczęście niemałoważną odgrywa rolę. W rzeczy samej, mając wzgląd ów na uwadze, zapytać się godzi: do czego kobiecie nauka?

Pan Marcin nie miał snadź względu tego na uwadze, kiedy na edukacyę racyonalną jedynaczki swojej zahazardował majątek. Czyniąc to, postąpił

sobie wzorem zapamiętalców upartych, idących naprzód bez względu na nic. I dopiął swego. Doszedł do mety. Zrobił z Zosi człowieka. Umiała wszystko, co młodzieniec w jej latach umieć może i powinien; umiała zdawać przed sobą sprawę z zadań życia; obejmowała myślami horyzont szeroki i pojmowała stanowisko swoje w społeczności, otaczającej ją, najpierw, kółkiem rodzinnem, następnie, kółkami coraz to szerszemi, z których ostatnie nazywa się ludzkością; wiedziała więcej i rozumiała lepiej, aniżeli dziewięćdziesiąt dziewięć setnych ludzi, zaliczających się do warstwy oświeconej.

Na co jej się to zdało?

Ona sama nie zadawała sobie pytania tego w sposób stanowczy.

Zadał je sobie p. Marcin, który, gdy córka na wieś, po skończeniu edukacyi, powróciła, stał się dziwnie jakoś zamyślonym i markotnym.

Nie uszło to uwagi Zosi. Zrazu myślała, że ojciec nie zdrów. Zapytała i otrzymała odpowiedź opryskliwą:

— Daj mi pokój!

Zapytała więc matki:

— Co ojcu?

Pani Marcinowa nie umiała odgadnąć przyczyny złego humoru męża, który zazwyczaj był łagodnym i wesołym, a otwartym. Spostrzegła tylko, że przy-

miot ten ostatni, jakby wygasł w nim nagle. Pan Marcin miał tajemnice jakieś, dla których, w porze robocizny tak gorącej, jak kośba, wyjeżdżał z domu razy kilka i bawił po dni parę. Wyjeżdżał w humorze złym, powracał w jeszcze gorszym. Kobiety gubiły się w domysłach, coby to znaczyć miało. Nie domyślały się. Dziwiła je skrytość, która w nim była niezwykłą. Nie umiały wytłómaczyć sobie racyi zachowywania się jego wobec nich i nie wytłómaczyłyby sobie jej nigdy, gdyby pan Marcin sam, powróciwszy z podróży, która dni trzy zabrała, nie odkrył im tajemnicy. Przyjechał złamany, usiadł naprzeciwko żony i córki zwiesił głowę, milczał przez czas niejaki, wreszcie ręką machnął i zaczął:

— Dłużej już ukrywać nie można. Muszę się przed wami obwinić.

— O co?—zapytały, w strwożeniu, obie kobiety razem.

— Popełniłem w rachunku błąd fatalny.... Posłuchałem Kowalskiego, który mi doradził buty ostatnie sprzedać, a Zosię uczyć.

Pani Marcinowa i p. Zofia patrzały na niego oczyma zaciekawienia.

— Krótko powiem—ciągnął. Wydawałem więcej, niż wydawać mogłem.... Zadłużałem się z roku na rok. Długi z roku każdego porastały w procenta, i dodawane jedne do drugich, doszły do sum-

my. równej prawie wartości Kalinowej. Jam to przewidywał przy zaciągnięciu pożyczki pierwszej, ale.... ale.... — rzekł z mocą — z jednej strony, nie miałem siły zdobyć się na odwagę zaniechania edukacyi Zosi; z drugiej, pocieszałem się tą nadzieją, że zdołam, gdy Zosia nauki ukończy, powoli, stopniowo, opłacając procenta, spłacać zarazem częściowo i kapitał i w ten sposób oczyścić mająteczek. Liczyłem na to, że mi w tem ku pomocy będziecie — tu spojrzał wyraziście na kobiety swoje — lecz, niestety! nie liczyłem na nieużytość wierzycieli, którzy.... nacisnęli mnie.... i.... rady niéma. Domagają się zwrotu długów.

— Więc, i cóż?—zapytała p. Marcinowa.

Jesteśmy zrujnowani.

— I tem się, ojcze, martwisz! — odezwała się Zosia.

— Alboż niéma czem? Ogołociłem ciebie z fortunki. Po sprzedaży Kalinowej zostanie nam—nic prawie, tysięcy parę. Kalinowa w obce przejdzie ręce.

— To najgorzej — podchwyciła p. Zofia — że przejście Kalinowej w obce ręce, narazi byt szkółki wiejskiej, biblioteki, kassy zaliczkowej.

— Cô to, to nic — przerwał p. Marcin. Byt zakładów naszych wiejskich zapewniony jest na wieczne czasy.

— Jeżeli tak, to cios, jaki nas dotyka, ciosem jest dlatego tylko, że obejmuje nas troje. Co się

mnie samej tyczy, nie przyznaję mu mocy nad sobą.

— Cha, cha — zaśmiał się p. Marcin. I ja sam nad sobą mocy mu nie przyznaję.

— Ani ja nad sobą—dodała p. Marcinowa.

— O cóż więc chodzi?— zapytała Zosia.

— Chodzi o to— odparł p. Marcin — żem ci dał edukacyę, którą będziesz musiała pod korzec schować.

— Żałujesz tego, ojcze?

— Hm? czy żałuję? trocha. Powinienem był, albo wychować cię na córkę obywatelską, na pannę na wydaniu, zaopatrzoną w posażek jaki taki, albo też, rzecz poszczególnić, dać ci w ręce fach jakiś.

— Co do tego ostatniego—podchwyciła Zosia— o fachu myślałam i ja, i przekonałam się, że on jest dla kobiety niemożliwym do osiągnięcia na drodze naukowej; co zaś do pierwszego, przeciwko temu jaknajmocniej protestuję. Nie rozumiałabym, to prawda, upokorzenia własnego, gdybym wychowaną została na „pannę na wydaniu,“ i zapewne, rada-bym była sobie; wychowana jednak inaczej, poznaję, że nie mam żałować czego, i że, ojcze, głęboko ci wdzięczną być powinnam, za uczynienie ze mnie człowieka.

— Który z pod człowieczeństwa swego piedestał utracił.

— A! nie mów tego—odparła.

— Jakże? Skończyłaś nauki i jesteś, jak ów ter-

minator w rzemiośle, który doskonałym został czeladnikiem, mógłby być majstrem znakomitym, ale nie ma za co warsztatu nabyć. Warsztacik twój żyd zabierze, ty zaś.... rąk nie masz zaczepić o co.

— Rozpatrzmy się w sytuacyi—rzekła, przerywając.

— Sytuacya jasna.

— Pozostanie nam?

— Tysięcy trzy. cztery najwięcej.

— Cóż z niemi, ojcze, począć zamyślasz?

— Co?—odrzekł z zastanowieniem. Jam jest do niczego, z wyjątkiem roli, z którą się obchodzić umiem jakotako.

— Dobrze więc. To fach, który spożytkować można niezwłocznie, tylko....w jaki sposób? — zapytała.

— W dwojaki: albo gospodarząc na rachunek cudzy przy zarządzie majątkiem czyimś, albo też. pracując na gruncie zadzierżawionym. Gospodarzenie na cudzy rachunek, jest dogodniejszem, pod warunkiem jednak znalezienia posady odpowiedniej. to jest, takiej, do której nie potrzebaby czynić ustępstw, tyczących się sumienia; gospodarzenie na dzierżawie przedstawia się z góry pod postacią ryzyka.

— Które jednak — wtrąciła Zosia — umniejsza znacznie asekuracya.

— Tak—rzekł p. Marcin półgłosem, zamyślając

się. Nie masz jednak assekuracyi przeciwko nieurodzajowi, cenom nizkim, pomorkowi na bydło.... Ale—dodał—niéma co. Jesteś grzybem, leż w barszczu. Jesteś żołnierzem, idź w ogień. Jesteś rolnikiem, idź na ryzyko.

— W czem-że to ryzyka niéma! — rzekła Zosia. Na ryzyku opierają się wszystkie przedsiębierstwa samoistne, to jest te właśnie, zapomocą których rozwija się handel i przemysł. Wolną jest od niego służbowa jeno karyera.

Dlatego też, wolałbym wynaleźć sobie posadę rządcy. Jednakże—dodał — z zastrzeżeniem co do sumienia.... Gdybym był młodszy trochę, nie wahałbym się ryzykować....

—Ryzykujmy wewspółce—wtrąciła Zosia, której, jak się zdaje, służbowa karyera do gustu nie przypadała. Nie nabyłam fachu żadnego, nabyłam jednak uzdolnienie do każdego. Będę, ojcze, przy tobie terminowała w rzemiośle rolniczem.

— Chyba, ha!—odparł p. Marcin. Taką rzeczą pojechać mi potrzeba do Łyczakowa celem dowiedzenia się o dzierżawinie jakiejś i wyszukania jej; na was tedy — tu zwrócił się do żony i córki —zostawiam Kalinowe, w której pozostawać mamy do jesieni jeszcze.

— Będzie to moja pierwsza praktyka. — odrzekła Zosia na to.

Pani Marcinowa głęboko westchnęła i łzy się jej w oczach zakręciły.

Łzy zakręciły się i w oczach p. Marcina.

Żal im sprawiła myśl, że rozstawać się muszą z wioską, w której przeżyli lat tyle, że opuścić będą musieli dworek, stawiany przez pradziada pana Marcina i noszący na sobie ślady restauracyi pokoleń kilku, dworek, posiadający historyą własną, zawartą w legendach i podaniach, istne gniazdo szlacheckie, przeobrażające się stopniowo i będące rodzajem muzeum narodowego, którego innowacye nie przerobiły na pałac. Z gniazda tego, wylatywały orły niegdyś. Ród p. Marcina był gałęzią rodu tego samego, co w innej swojej gałęzi wydawał hetmanów. Głosy Kalinowskich, prapradziadów p. Marcina, brzmiały na sejmikach i sejmach; skrzydła ich szumiały, proporce wiały w szeregach hussarskich. Lamus pełen był pozostałości z czasów dawnych. W szafie, śród zwitków pargaminowych i papierowych, przechowywały się pamiątki cenne, odnoszące się do gniazda szlacheckiego. Wszystko to przyszło p. Marcinowi na myśl; żal mu serce ścisnął; i kiedy, ze łzą za powieką, spojrzał na żonę, ta płaczem wybuchnęła.

Zosia przy oknie usiadła. Pojęła ona rodziców smutek i podzielała go duszą całą.

Pan Marcin chodzić począł po pokoju krokami

szerokiemi, marszcząc od czasu do czasu czoło i rozgładzając sobie wąsy.

— Ha!—odezwał się wreszcie—moja wina.

— Ojcze, nie mów tego—odparła Zosia z przyciskiem.

— Postawion zostałem na straży, i nie dopilnowałem.

Westchnął głęboko.

— Cóż czynić miałeś, ażeby dopilnować?

— Co? — zapytał, zatrzymując się i na córkę wzrok zwracając.

— Założyłeś szkołę, nie powinieneś był zakładać jej, obciążyłeś majątek zapisem wieczystym na utrzymanie nauczyciela dobrego, nie powinieneś był czynić tego; założyłeś bibliotekę i wyznaczyłeś fundusz na nią, nie powinieneś był czynić tego: łożyłeś na edukacyę moją, powinieneś był, wychowując mnie na lalkę szczebiotliwą, zostać kutwą, pijawką w odniesieniu do włościan i do ziemi, złym obywatelem i złym ojcem: byłbyś dopilnował! Miałabym posag i wyszłabym za mąż, za kogoś, co... kto odgadnie, co-by z gniazda naszego zrobił!.. co-by z niego wysnuł!.... Widzimy do koła ruiny bezowocne i występne.... Możeby i Kalinowa losowi podobnemu uległa, bez szkoły, bez biblioteki, bez kassy zaliczkowej, bez poczucia obywatelskości, wszczepionego w ducha mieszkańców, to jest, bez dopełnienia tej powinności, jaką na szlachcica

polskiego włożyła w pierwocinach swoich instytucya stanu rycerskiego, to znaczy, bez spłacenia długów przez praojców naszych względem społeczeństwa zaciągniętych i nam w spadku przekazanych.. I byłbyś dopilnował, ojcze! —Tu wstała; głos jej brzmiał ironią. Byłbyś miał w banku, na procentach. posag dla mnie! Byłbyś w sumieniu własnem spokojny; zachowałbyś bowiem gniazdo i w gnieździe tem ptaszka, co, dzięki posażkowi. jakibyś dla niego uciułał, i liczku pięknemu. jakiem go natura obdarzyła, zwabiłby sobie na małżonka, jakiegoś mniej lub więcej bogatego amatora wdzięków niewieścich. dzielącego czas pomiędzy toaletę, smakowanie w wytworach kuchennych, kieliszek, karty, gawędzenie o błazeństwach. wyścigi konne i palenie cygar wybornych,—za jakiegoś może bankiera poważnego, spekulanta szczęśliwego. barona zcudzoziemczałego.... O! ojcze, byłbyś dopilnował.... A!....

Pan Marcin stał przed córką, osłupiały niby. Ta mu recytowała, giestykulując lekko ręką, a wyglądając tak, jakby w postać dziewiczą wcieliła się istota wprost z nieba zesłana. Na lica jej wybił rumieniec zapału; w oczach świecił blask natchnienia; dokoła głowy promienił się niby nimb świetlany; zdawało się, że stała się wyższą — że ziemi nie dotykała stopami.

— Ojcze — mówiła dalej. zmieniając ton. Nie

obwiniaj się ty.... Niech grzechy twoje lekkiemi ci na sumieniu będą. Spełniłeś powinność swoją.... spłaciłeś dług, zalegający od wieków, przez co, sprawiłeś to, że, wyrzucony z gniazda osobą swoją, pozostaniesz w niem duszą, której, ani żyd, co się we dworze osiedli, ani nikt, wyrzucić nie zdoła. Usuńmy się spokojnie. O mnie się nie troszcz, żem bezposażna. Bezposażną nie jestem, bom młoda, zdrowa i do pracy przywykła, posiadam zatem fundament przyszłości własnej, z którego, jeżeli stosownego nie zrobię użytku, będzie to już wina nie twoja, lecz moja. Jedź, wystaraj się posady lub dzierżawki na nas troje: stanowimy razem potęgę, która coś warta.

Pan Marcin ręce wyciągnął, wziął głowę córki w dłonie i w czoło ją pocałował.

— Jam czuł wyrzuty sumienia właśnie na myśl o tobie, dziecko moje.

— Niesłusznie, ojcze, najniesłuszniej — odrzekła z przymileniem.

— Bez posagu i bez specyalności żadnej.

Tak nie jest. Mylisz się. Potrafiłabym natychmiast zarabiać na życie, więc posiadam specyalność jakąś, pomimo, że nie da się ona określić bliżej. Obok tego, mam i uzdolnienie i czas przed sobą do nabycia fachu, jaki mi się nada najlepiej. Zaczynam przecież rok dwudziesty drugi dopiero.

— Ah! westchnął p. Marcin, podszedł do płaczącej żony, zasiadł obok i za rękę ją wziął.

Z drugiej strony matki zasiadła Zosia.

Pani Marcinowa, łzy prędko obtarłszy, spoglądała z uśmiechem, to na męża, to na córkę i odezwała się po chwili:

— Przykro to jednak rozstawać się z kątami temi.

— Cóż robić!—odparła Zosia. W ludzkości odbywa się ustawiczne ustępowanie jednych drugim, ustawiczne łuzowanie się na posterunkach, które ze swojej strony zmieniają wartość i znaczenie... Chodzi o to jedynie, ażeby z posterunku zejść z czystem sumieniem. My tak właśnie czynimy. Zakończyliśmy służbę naszą jako szlachta, i wsiąkamy napowrót w łono tego ogółu, co nas przed wieki wydał. Taka kolej rzeczy na świecie; taką jest logika ruchu dzisiejszego, w stosunku do rozwoju życiowego w społecznościach ludzkich. Umiejmyż z logiką tą się zgodzić i nie upadajmy na duchu.

— Pomyśleć atoli, że żyd tu zamieszka! — westchnęła p. Marcinowa.

— Żyd, czy nie żyd, to wszystko jedno.

Z czytelników nikomu, jak się zdaje, na myśl nieprzyjdzie, zarzutem obarczyć mnie, z tej przyczyny, że Zosia tak mądrze mówi. Nie dziw: uczyła się przecie, mogła więc racyami rozumnemi uspokoić ojca i matkę. Mogła wprawdzie dokazać tego sa-

mego na innej drodze—na drodze rozczulenia się. Wypłakaliby się we trójkę aż do skutku i stałoby się, co się stać musiało. Zapewne! Następnie, poszliby po omacku, i albo-by gdzieś trafili, albo nie. Nie lepiej-że, iż oni odrazu całą sytuacyę swoją rozumieli? Czy co na tem tracili? Nic, ani troche — mnie się zdaje; zyskiwali zaś to, że, nie spuszczając się na żadne nadzwyczajne czynniki, nie kroczyli poomacku, że wiedzieli, co i dlaczego ich spotkało. Świadomość ta niesłychanie jest ważną. Gdyby ją posiadali wszyscy, co majątki tracą, o, ileż-to mniej byłoby podłości na świecie! Znałem jednego, co w karty fortunę puścił: pojąć nie mogła, jak Opatrzność na to pozwoliła; rzucił się na drogę kawalerstwa przemysłowego, fortunę odzyskał i zwabił na tor swój naśladowców mnóstwo ogromne. Bardzo mu się powiodło szczęśliwie, pomimo, że rozumu tego, co Zosia, nie posiadał ani w setnej części. A ileż-to kobiet, bez odrobiny rozumu, szczęśliwie ratują się z toni! Przykłady tego rodzaju nie stanowią przeciwko rozumowi dowodów; stanowią owszem tę stronę ujemną w społeczności, która jad zepsucia szerzy, i przeciwko której za lekarstwo rozum właśnie służy—rozum, jako środek etyczny, urabiający w człowieku ów względem samego siebie szacunek, który mu nie pozwala w błocie się walać. Rozum

i moralność, to brat i siostra, ziemskiem złączeni wiązadłem.

Nie wiem ja jeszcze, co się z bohaterką naszą stanie: czy jej nauka do karyery posłuży? czy wyjdzie za mąż dobrze? czy będzie miała pole do zużytkowania wiadomości nabytych? czy zmarnieje? Na wszystkie te pytania odpowiedź znajdzie się na końcu powieści. Obecnie wiem tylko, że, co się mnie tyczy, odmówić nie mogę szacunku tej pionierce, o której śniłem oddawna, a do której zastosować się nie da żadna ze znanych apostrof poetycznych. Nie można przemawiać do niej, ani: „Kobieto, puchu marny!“ i t. d., ani: „Kobieto, królowo, szatanie, aniele, motylu, głazie, kwiecie!“ i t. d., ani nijak, w sposób podobny. Była ona kobietą-człowiekiem, pomimo, że kochała barona. Przyjęła cios, jaki ją na wstępie do życia spotkał, ze spokojem, z odwagą, bez komedyi, i nie poszła marzyć o nieszczęściu, nie wpatrywała się w bladą księżyca twarz, nie przychodziło jej wcale na myśl, odebranie sobie życia, jak poczciwym Wiedeńczykom, kiedy ich *krach* oporządził. Kiedy ojciec wyruszył na poszukiwanie pozycyi społecznej, wzięła się z gorliwością całą do gospodarki rolnej.

Prawda—otoczyła ją pomoc wszelka.

Ekonom, który się dowiedział o losie p. Marcina, oświadczył Zosi, że będzie się starał, ażeby ze zbiorów jedno nie poszło marnie ziarnko.

Włościanie ofiarowali się z robocizną zadarmo.

Włościanie ze wsi sąsiednich zbiegli się tłumnie na żniwo za pół ceny.

Nauczyciel podjął się rachunków.

Ksiądz proboszcz zapowiedział przez siedm niedziel siedm mszy śpiewanych na intencyę p. Marcina.

Pani ekonomowa i pani nauczycielowa umówiły się posyłać kolejno dzieci na wygon, gdzie się pasły gąsięta dworskie, z nakazem pilnowania ich jak oka w głowie.

Wieśniaczki, nic nie powiadając nikomu, chodziły codziennie wieczorem do podlewania kapusty.

Chłopaki wzięły pod opiekę szczególną cielęta i prosięta.

Słowem, ze stron wszystkich śpieszono i narzucano się z usługami, tak, że Zosia wypraszać się musiała. Ułatwiało to jej znacznie zadanie, które polegało na wydobyciu ze stojącego na pniu zboża i z ruchomego inwentarza grosza w ilości jaknajwiększej. Darowizn, rzecz naturalna, nie przyjmowano. Nie przyjąć atoli nie mogła gorliwej a ochoczej robocizny, która się objawiała pod postacią niższego żęcia, pilniejszego zbierania kłosów, nadawania większej objętości snopom, wcześniejszego wychodzenia na robotę dzienną i t. d. Pod dozorem jej, paliło się —jak to powiadają—robotnikom w rękach. Szli na wyścigi jedni z drū-

gimi i w końcu stało się tak, że przyszli do dworu przewodnicy gromady z propozycyą, która polegała na tem, ażeby p. Marcin zabrał z kassy zaliczkowej, sposobem pożyczki, fundusz cały, funduszem tym dług spłacił i przy Kalinowej pozostał. Propozycya ta do głębi rozrzewniła p. Marcinowę i Zosię. Nie wiedziały, co na nią odpowiedzieć. Decydować bez p. Marcina nie mogły, odłożyły więc sprawę tę do powrotu jego, spodziewanego lada moment. Wyjeżdżając, wybrał się on na dwa tygodnie, a już trzy minęły. Wyglądano więc go wieczora każdego; od chwili zaś propozycyi, przez chłopów uczynionej, wyglądać poczęto z niecierpliwością żywą, która usprawiedliwiała się sama przez się.

Gromada, czy też gmina wsi Kalinowej, czyniła propozycyę nader korzystną. Ofiarowała pożyczkę po 5%, spłacalną sposobem amortyzacyjnym. Do 5% p. Marcin dopłacałby jeszcze po 2% i umarzał kapitał z roku na rok. Chłopi obliczyli dokładnie, przedstawili rachunek p. Marcinowej i p. Zofii i tym propozycya ich do przekonania trafiła. Nie wątpiły, że p. Marcin przyjmie ją. Chodziło jeno o to, ażeby się gdzie nie związał kontraktem lub słowem. Dlatego-to z żywą niecierpliwością powrotu jego wyglądały.

Minął dzień, minął drugi; p. Marcina widać nie było. W dniu drugim, nadwieczorem, słyszeć się dał turkot; p. Zofia na ganek wybiegła i osłupiała prawie ze zdziwienia. Ujrzała w bramie pojazd, ten sam, co się był zatrzymał na drodze, gdy, powróciwszy z Łyczakowa, gromadziła na łące. Pojazd wjechał na podwórze, zatrzymał się przed gankiem; lokaj z kozła zeskoczył, drzwiczki otworzył; przed p. Zofią stanął, młody baron. Juliusz Homoński.

Młody baron—powiadamy; młody starzec—powiedzieć-byśmy powinni.

Julek wyłysiał, pożółkł, skóra mu się na obliczu pomarszczyła, zpod okularów wyglądały pręgi sine oczy okalające.

— Pan Homoński!—zawołała Zosia.

— Witam panią — odrzekł, wpatrując się w nią przez okulary i zapytał: Udzielisz mi pani gościny i posłuchania?

— O panie! proszę.

Poszła przodem, prowadząc go do pokoju bawialnego.

— Ojca w domu niema—zaczęła.

— Wiem—przerwał baron. Widziałem się z panem Kalinowskim. Wiem o wszystkiem.

— Cóż ojciec? Kiedy wróci?

— Panno Zofio! — przerwał znów głosem wzru-

szonym. Widzisz pani przed sobą człowieka w rozpaczy.

— Panie! — rzekła Zosia, poruszona wyrazów tych tonem.

— Ratuj mnie!

— Cóż przecie?

— Ożeniłem się, a kocham ciebie! Litości! przebaczenia!

Przy słowach tych, na kolana padł i dłonie złożył.

Zosia zbladła, odstąpiła kroków parę; widać było jak walczyła sama ze sobą; w oczach jej przemknął wyraz żalu, politowania i wzgardy; westchnęła westchnieniem tłumionem, po którem, widocznie, zapanowała nad sobą i odrzekła:

— Cóż znów! Wstań pan.

— Przebacz mi, panno Zofio!

— Wstań pan!

— Wysłuchaj mnie! — odezwał się prośby błagalnej tonem.

— Wstań pan!—powtórzyła po raz trzeci. Do przebaczenia nie mam panu nic; do słuchania mam, zapewne, niewiele.

— Przeciwnie — odparł, z klęczek się podnosząc — chodzi tu o mnie, o panią, o ojca twego i o matkę. Wysłuchaj mnie.

— Usiądź pan — odparła, ukazując mu krzesło ręki skinieniem.

Julek usiadł i tak zaczął:

— Uczynię najpierw spowiedź serca przed panią. Pokochałem panią od pierwszego niemal pobytu mego pod Nr 15 przy ulicy Szerokiej. Pokochałem, ale nie śmiałem miłości mojej wyznać, nie rozumiałem jej. Nie wiedziałem co mi jest. Był to osobliwy jakiś miłości rodzaj, który mnie dziwił, gniewał, niecierpliwił, którego nie znałem, który był dla mnie rzeczą tak niepojętą, jak ty, pani, byłaś niepojętą istotą. Nie wiedziałem co z tem począć; miotałem się, stałem się był cieniem twoim, przyjechałem za tobą do Kalinowej, pamiętasz? na wizytę, i... i... uciekłem. Miałem się za chorego, za obłąkanego, leczyłem się, rzuciłem się w wir życia, chciałem zapomnieć, zagłuszyć się. Zyskałem to tylko, żem majątek mój rozniósł cząstkami po Paryżach, Wiedniach, Rzymach, *wodach* i Homburgach... że w końcu nie pozostało mi nic innego, jak tylko, albo w łeb sobie strzelić, albo ratować się za pomocą ożenienia. Wybrałem to ostatnie. Posagiem żony spłaciłem długi, jakiemi majątek obciążyłem, i kiedym po dokonaniu spłat wracał, ujrzałem cię, pani, na łące, w wiejskich dziewcząt gronie. Cała miłość moja odżyła w spotęgowaniu! O pani!

Wykręcił się na krześle, jakby zamierzał znów na kolana paść. Panna Zofia powstrzymała go ręki skinieniem i zapytała spokojnie:

— I cóż to ma za styczność z ojcem moim i z moją matką?

— Ach!—odparł. Co za styczność? W Łyczakowie dowiedziałem się o katastrofie, jaka spotkała ojca pani. Szukałem go, znalazłem, widziałem się z nim, ofiarowałem się mu z pomocą, z pożyczką, nie przyjął.... Nie mogłem mu wypowiedzieć pobudek, z których płynęła ofiara moja. Pośpieszyłem więc do Kalinowej, w celu wyspowiadania się przed panią i wymodlenia przyjęcia pomocy, która będzie, mówię to szczerze, pierwszym moim dobrym uczynkiem. Wyspowiadałem się przed panią z pobudek, zawierających się całkiem w miłości, która,—którą,—z którą,– nie wiem w końcu co począć. Pani—zniżył głos do tonu prośby—nie odmawiaj mi, nakłoń ojca, nie sposób, żebyś nie miała przewagi nad nim, przyjm ofiarę moją... a ja... a ja... będę uszczęśliwiony.

Zosia zamyśliła się. Baron patrzył czas jakiś na nią w milczeniu, wreszcie przerwał takową:

— Cóż? rzeknij słówko.

— Nie – odparła. Nie sposób.

— Pani!

— Nie, panie – przerwała. Niech się panu nie wydaje, ażeby mną powodować miały inne, aniżeli te, które panu powiem, względy.

— Ofiara moja ze szczerego płynie serca.

— Nie wątpię. Ojciec mój jednak nie podziela

zdania tych, co utrzymują, że na pieniądzach, z wyjątkiem stempla mennicy, innego żadnego niema. Jest na pieniądzach stempel inny jeszcze, stempel źródła, z którego płyną.

— Co!—rzucił się Julek.

— Ofiara pańska przeszła przez kanały owego życia wirowego, w którem pan szukałeś lekarstwa, a które ci dało najpierw utratę majątku, następnie odzyskanie takowego. Utrata, odzyskanie ważą się na szalach i bodaj, czy odzyskanie utraty nie przeważa. Gdybyś był po utracie przyszedł do mnie.. to..

Zawahała się nad tem, co ma powiedzieć dalej.

— To co? zawołał Julek. To nie miałbym do ofiarowania nic, chyba tylko samego siebie...

— Ha! — uśmiechnęła się, ramionami lekko ruszyła i oczy do góry wzniosła.

— Panno Zofio—przemówił prośby tonem. Pozwól mi rehabilitować się.

— W ten sposób? — zapytała. W sposobie tym zachodzą przeszkody natury niezmiernie drażliwej, dla mnie zwłaszcza.

— Odkryłem przed tobą głąb' duszy mojej, ażebyś mnie sądziła.

— Sądzę właśnie, i o to, co odpowiem panu: jeżeli chcesz pan rehabilitować się, na to są sposoby inne, aniżeli ten, z którym przyjechałeś do Kalinowej.

— Ten, natchnęła mi miłość dla pani.

— Nie mów pan o miłości tej — przerwała Zosia z naciskiem prośby.

— Pani! ona przenika mnie, ruinuje wszystkie ducha mego władze, panuje nad nim.

— Słaby to duch, co się tak opanować daje. Nie ma w niem fundamentów i szkarpów. Nie o to jednak chodzi, lecz o sposoby rehabilitacyi, odnoszącej się, rzecz naturalna, do własnego sumienia pańskiego. Środki, jakiemi rozrządzasz, obróć na spłacenie długów.

— Jakich? spłaciłem wszystkie.

— Obywatelskich.

— Obywatelskich? — zapytał młody baron, nie rozumiejąc znaczenia wyrazów tych.

Rozumiał: „obowiązki obywatelskie,“ „zasługi obywatelskie,“ „cnoty obywatelskie,“ „nagrody obywatelskie,“ „wieńce obywatelskie,“ — obijało się mu to o uszy nieraz; ale o „długach obywatelskich“ usłyszał w życiu swojem po raz pierwszy.

Panna Zofia nie znajdowała się w usposobieniu ducha, pozwalającem na długie a szczegółowe tłómaczenie. Odrzekła więc krótko:

— Tych, które ojciec mój spłacił instytucyami, jakie w Kalinowej założył. Obróć pan na cel ten bogactwa swoje, a zrehabilitujesz się wobec sumienia własnego.

— I wobec pani?

— Cóż ja?

— Pani! miej litość nademną. Kiedym raz lody przełamał, to pragnąłbym nie znać z całej mowy ludzkiej wyrazów innych, tylko te dwa: kocham ciebie.

— Dosyć tego!—odezwała się p. Zofia wstając.

— Przez miłość dla ciebie, gotów jestem zrobić wszystko, zaczynając od spłacenia.... długów obywatelskich.

— Zaczynaj więc. Stawiaj czyny, nie słowa. Na to ostatnie pora była dawniej, nie dziś. Dziś,.. zapóźno już.

— Skruszę więzy, co mnie krępują. Rozwiodę się.

— Nie, panie Homoński — odparła z powagą. Kochać cię już nie mogę, niemogąc szanować. O miłości pomiędzy nami mowy być nie może. Zdobyć się jeszcze mogę dla ciebie na szacunek, jeżeli nań zasłużyć potrafisz. Proszę — dodała — bardzo proszę nie przemawiać już do mnie językiem miłości.

— Dlatego, żem żonaty! — wtrącił baron, z przekąsem ironicznym.

— Nie dlatego tylko. Uwolnij mnie pan jednak od tłómaczenia bliższego i uczyń prośbie mojej zadość, inaczej bowiem... zmusisz mnie.

— Zostań pani—odrzekł Julek ponuro — zostań i patrz.

To mówiąc, sięgnął ręką do kieszeni, wydobył rewolwer i podniósł go do góry. Zatrzymał atoli

w powietrzu narzędzie śmierci, pierwej, nim wiedzieć można było, w czyją ma zamiar skierować je pierś. Chwilka — i rewolwer z ręki mu wypadł. Przyczyną tego, była postawa, jaką bohaterka nasza przybrała, skoro tylko, co się święciło, poznała. Spojrzeniem tem chłonęła go niejako. Julek wypuścił rewolwer. W chwili tej słyszeć się dał, w pokojach przyległych, głos p. Marcinowej.

— Wstydź się — przemówiła p. Zofia. Podnieś to i schowaj.

Julek, niby student posłuszny, schylił się i rewolwer szybko do kieszeni włożył.

Pani Kalinowska weszła. Nastąpiło przywitanie, proszenie siedzieć, rozpytywanie się o zdrowie. Julek, jak mógł, konwersacyę utrzymywał, odpowiadał, zapytywał. Panna Zofia, która czas jakiś w zadumanem pozostawała milczeniu, obudziła się niejako, i do rozmowy się wmieszawszy, naprowadziła ją na drogę, na której mogła matce następujące zadać pytanie:

— Wie mama, w jakim celu p. Homoński nas odwiedził?

— W celu odwiedzenia dawnych znajomych.

— I—dodała p. Zofia — wystudyowania edukacyjnych i kredytowych zakładów Kalinowej, ażeby na ten wzór i podobieństwo pozaprowadzać porządki w dobrach swoich.

— A!—zawołała p. Marcinowa. Pan w rzeczy samej zamiar ten powziął?

Młody baron schyleniem głowy dał odpowiedź potwierdzającą.

— Przekonaliśmy się—rzekła p. Marcinowa—że zakłady te ogromne przynoszą korzyści, oświecają umysły, podnoszą i gruntują moralność, bronią od lichwy.

— Urabiają przytem poczucie solidarności — dodała p. Zofia.

— Są jednak warunki pewne, które przy zakładaniu zachować należy.

— A to? — zapytał młody człowiek, zniewolony interesować się sprawą, nie przedstawiającą jeszcze dla niego interesu wiele.

— Przedewszystkiem, pilnować się tego trzeba, żeby zakładanie wyglądało, ze strony właściciela większego, nie jako łaska, ani jako dobrodziejstwo, ale jako prosta inicyatywa, poczęta w duchu pełnienia obowiązku, spłacania długu obywatelskiego.

— Długu obywatelskiego—powtórzył Julek, któremu się dług ów jasnym robić począł.

— Następnie, zabezpieczyć potrzeba seryo byt instytucyj gminnych. Jest to warunek ogromnie ważny.

— Na czemże on polega?

— Na wyposażeniu donośnem i stałem.

— Obciąża się przez to hipoteka.

— Zapewne, ale się obciąża ciężarem pożytek niosącym.

— I zwrotnym — dodała p. Zofia. Wkład ten nie przepada, obraca się bowiem na melioracye, podnoszące wartość kapitału, reprezentowanego przez summę ogólną sił produktywnych majątku.

Julek nie zrozumiał tego; wytłómaczyła mu więc wpływ szkoły na produktywność roli. Rozmowa się ożywiła; gospodyni i gość przenieśli się do sali jadalnej, gdzie, przy herbacie, rozmawiali dalej, nie puszczając się wątku, poczętego w pokoju bawialnym. Wybiła dziewiąta. Pani Kalinowska wmówiła w gościa, że spocząć potrzebuje. Rozeszli się. Julek udał się do pokoiku, w którym już spędzał nocy dwie.

Czytelnik z łatwością przedstawić sobie może, jak on noc tę spędził. Myśli i zamiary różne tłumiły mu się w głosie. Razy parę po rewolwer sięgał, za każdym razem jednak napomnienie „wstydź się!“ w uszach mu zabrzmiało i samobójczą dłoń obezwładniało. Nad ranem, okno otworzył i pod wpływem świeżego powietrza, patrząc na gwiazdziste niebo, wsłuchując się w szum wody na łotokach, uspokoił się. Stał tak do rana: widział gwiazdy gasnące, słyszał świergot budzących się ptasząt; powziął był zamiar, kazał natychmiast konie zaprzęgać i powtórnie z Kalinowej, bez pożegnania tym razem, uciekać, lecz zamiaru tego do skutku

nie doprowadził. Przeciwnie. Położył się w celu poleżenia chwilkę i wyjścia do śniadania, i jak go sen schwycił, tak nie puścił, aż o wpół do dwunastej. Zerwał się i na lokaja zawołał:

— Czemuś mnie nie obudził?

— Jaśnie pan nie kazał.

Począł się ubierać pośpiesznie.

Przy ubieraniu się uwagę jego zwrócił na siebie turkot bryczki na podwórze wjeżdżającej.

— Pójdź, dowiedz się, kto przyjechał—dał lokajowi rozkaz.

Lokaj po chwili powrócił, przynosząc wiadomość o przybyciu p. Marcina w towarzystwie jegomościa jakiegoś niemłodego.

Julek kontynuował ubieranie się, które zabrało mu czas do obiadu. Nie stroił się, nie miał jednak dobrej racyi śpieszyć się, ze względu na to, że nie chciał odegrywać roli trzeciego przy powitaniach pomiędzy gospodarzem domu a paniami. Ubrawszy się, zwlekał jeszcze wyjście. Wyszedł wreszcie, spodziewając się spotkać p. Marcina i kogoś nieznajomego.

Nie małem było zdziwienie jego, gdy w przypuszczalnym nieznajomym owym ujrzał p. Hugona Kowalskiego.

Większem jeszcze było zdziwienie jego, gdy pan Kowalski, powitawszy go serdecznem dłoni uściśnieniem, w następujące do niego odezwał się słowa:

— Winszuję ci, mój Julku, z serca całego winszuję. Grunt w tobie był zacny i ja też spodziewałem się zawsze, że ty trafisz na drogę dobrą.

Młody człowiek bąknął w odpowiedzi wyrazów kilka bez znaczenia.

— Wystudyuj zakłady w Kalinowej, pomogę ci w tem. Przypatrzenie się im zblizka, tem większą ci korzyść przyniesie, że teraz właśnie wartość ich na jaw najjaśniej wyjdzie.

Julek nie wiedział, do czego te ostatnie ściągają się słowa. Dowiedział się jednak o tem niebawem od pana Marcina, który wezwał go na świadka przy umowie, jaką z gromadą zawierał, umowie, skutkiem której wieś przechodziła na własność gminy. Gmina spłacała ciążący na Kalinowej dług, wchodziła w posiadanie gruntów dworskich i grunta te od siebie wypuszczała p. Kalinowskiemu w dzierżawę na lat trzydzieści, na warunkach, o które targ w odwrotnym odbywał się sensie: gmina żądała mniej, p. Marcin ofiarował więcej, gmina nie chciała żadnych w kontrakcie obostrzeń, p. Marcin obostrzenia wprowadzał. Po długich korowodach, zgodzono się nareszcie, dzięki interwencyi osób postronnych, jakimi byli p. Kowalski, Julek, nauczyciel i ksiądz proboszcz. Przy okazyi tej Julek poznał mechanizm kassy zaliczkowej, powstałej z niewielkiej pierwotnej wkładki i urosłej w ciągu lat kilkudziesięciu do kwoty po-

ważnej, wystarczającej na kupno wsi. Zainteresowało go to wielce; zafrasowała go świadomość włościan, oryentujących się swobodnie śród cyfr, wyobrażających dochody i rozchody, wpływy regularne i nieregularne, zyski i straty. Świadomości tej źródło tryskało w szkole. Julek z ciekawością rozpatrywać się począł w ustroju szkoły. Ciekawość pociągała go, ciekawość, którą popędzał niejako i zaostrzał wyraz „wstydź się!“ przypominający mu się zawsze, ilekroć do umysłu jego napływały myśli, a do serca uczucia, bądź niezgodne z rozpatrywanemi przedmiotami, bądź też neutralizujące zajęcie, jakie w nim takowe budziły. Niewidzialna niby ręka prowadziła go na drogę nową. Tydzień cały zabawił w Kalinowej i przez tydzień ten o niczem innem mowy nie było, tylko: o kassie zaliczkowej, o szkółce wiejskiej, o bibliotece, o hygienie, o pomocy lekarskiej, o moralności, o fundamentach takowej, o długach obywatelskich. O niczem innem mowy nie było, i Julek nie znudził się, owszem, gotów był bawić tydzień jeszcze, rozpatrywać się i przysłuchiwać. Nie wypadało jednak. Nadeszło „smutne jutro,“ przed którem z wieczora, „ostatnia upłynęła na rozmowie chwila.“

— No i jakże?—zapytał p. Marcin. Cóż pan wywozisz z Kalinowej.

— Postanowienie pójścia w ślady pańskie —odpowiedział stanowczo.

Zosia spojrzała na niego wzrokiem wyrazistym; p. Kowalski podchwycił:

— Świetnie! znakomicie!

— Ale ja nie podołam sam.

— Kowalski pomoże panu — odrzekł p. Marcin. Przyjechał w celu pomagania mnie, ale, ponieważ interesa moje wzięły obrót pomyślny, więc pozostaje w stanie rozporządzalności.

— Panie Kowalski?—zwrócił się do ex-nauczyciela swego młody baron z zapytaniem.

— Owszem — odpowiedział tenże i zapytał: Jedziem jutro?

— Jutro—odparł Julek i westchnął.

Smutne jutro nadeszło.

Zosia, odwożący młodego, człowieka — cudzego *nb.* męża — pojazd ścigała oczami tak długo, póki nie znikł, a gdy znikł, stała jeszcze, oczy wznosiła i wdal się wpatrywała, jakby wyglądała ztamtąd czegoś, kogoś. Nie pokazało się jednak nic. Postała więc czas jakiś, i udawszy się do ogrodu, długo, długo po alei chodziła w zamyśleniu. Chodząc, często wzdychała. Nareszcie, zatrzymała się nagle.

— Ach!—zawołała—a ja próżnuję!

I poszła pośpiesznie do przerwanej jakiejś roboty.

* * *

I cóż dalej?—Nic.—Powieść skończona?—Prawie. Na zakończenie, niech czytelnik ciekawy, zamiast

odbywania podróży za granicą, wybierze się w podróż do krainy, zwanej Lodomeryą i zwiedzi rozległe barona Juliusza Homońskiego dobra. Co tam za ład wzorowy! Pierwszy lepszy wieśniak rozpowie mu, że ład ów jest dziełem barona, którego, po ożenieniu, coś jakby nagle ukąsiło, dalejże zakładać, uposażać i nauczycielami wybornymi obsadzać szkółki wiejskie! dalej-że organizować po wsiach banki włościańskie! Opanowała go mania istna. Od barona mania ta, jak zaraza, poszła po okolicy. Właściciele więksi, *vulgo* szlachta, na wyścigi zaprowadzają szkoły i banki. Prawda, niejeden zaprowadził szkołę taką, że będzie mądry, kto się w niej czego nauczy. Bez usterków jednak nie sposób. Dosyć, że chęci się obudziły, a to dzięki przykładowi barona: Lodomerya bowiem jest krainą pod tym względem osobliwą, że tam nie zrobi się nic, póki przykładu nie da jaki baron, hrabia albo książe. Hrabiów paru wzięło się do pisania komedyj, i dziś komedye piszą tam wszyscy. Od hrabiów poszła komedyomania; od barona szkoła i banko-mania; mało jednak kto wie o tem, że na barona mania jego nie spłynęła z powietrza, lecz spadła z ręki Zofii Antoniny Anny Heleny Kalinowskiej, wyśnionej przez autora opowiadania niniejszego. Więcej powiemy: baron odgraża się, że córkom swoim, których ma trzy, da edukacyą, nie taką,

jaką otrzymały siostry jego, lecz taką, jaką otrzymała nasza Wyśniona. Jest więc nadzieja, że za przykładem tym pójdą wszyscy Lodomerczycy i w następnem pokoleniu nie będzie Lodomerczanki głupiej ani jednej. Że nadzieja ta nie jest bez podstawy, wnioskować o tem można ztąd, iż, na samą wieść o odgrażaniu się barona, Kalinowa stała się celem odwiedzin dla ojców i matek z sąsiedniej okolicy, mających córki do edukowania. Dowiadują się i zaglądają tam, przypatrują się i przysłuchują, rzecz naturalna. jedni narzekają na nowe kłopoty, na małpowanie cudzoziemszczyzny i na Darwina, drudzy drwią z nauk, które służą p. Zofii do nadziewania pierogów, inni gniewają się i oburzają, powiadają że prababki nasze o filozofii żadnej wyobrażenia najmniejszego nie miały, a co to jednak były za niewiasty! Z tem wszystkiem, jak przykład barona, co do szkół i banków, działa nakształt zarazy, tak odgrażanie się jego ciąży niby zmora na umysłach szlachty okolicznej, tak, że ciż sami, co narzekają, drwią i oburzają się, mimowolnie niejako poddają się prądowi, co z Kalinowej wyszedł. Panna Zofia wywiera na opinię publiczną w okolicy swojej wpływ potężny, pomimo, że nie widać go wcale, idzie bowiem kanałami tajemnemi, których dośledzić nie sposób. Nikt zresztą nie śledzi kanałów tych. Rzecz cała odbywa się bez wystawy, bez hałasu, w cichości—w cicho-

ści, wcieleniem której jest Wyśniona nasza, piękna, dobra, skromna, pracowita i rozumna. W Kalinowej jest ona prawdziwem ogniska domowego geniuszem. Popytajcie Kalinowian o nią!

KONIEC.